Jubileuszowy numer – 100 stron!

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 6(100)/2021 CZERWIEC 2021

HISTORIA

DO RZECZY

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-595X

DO RZECZY HISTORIA

Nr indeksu 329 031

Fałszywy mit PRL

JATKA POD LENINO

WYDAWNICTWO IPN

HISTORIA
PAMIĘĆ
TOŻSAMOŚĆ

ipn.poczytaj.pl

eprasa.pl 33efe048ab

/ CZASY I LUDZIE

.32 SOL MESSINGER
Płynąłem w „Przeklętym rejsie”

.36 LESZEK LUBICKI
Głupia śmierć wielkiego króla

.39 SŁAWOMIR KOPER
Dodek kolaborant

.42 PIOTR ZYCHOWICZ
Tragedia „Laconii”

.46 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Terror z prawa i z lewa

.50 PROF. CRAIG SYMONDS
Niemożliwa misja Doolittle’a

.54 MAREK GAŁĘZOWSKI
Carat biały, carat czerwony

.58 MIKOŁAJ IWANOW
Prokurator Wyszyński: Narzędzie zbrodni

.62 PIOTR SEMKA
Jak Litwini Kłajpedę zagarnęli

.64 JAKUB OSTROMĘCKI
Biała Komanczka

.68 MACIEJ ROSALAK
Seksmariaż Chrobrego

.72 TOMASZ KORNAŚ
Toporska: Arcyantykomunistka

/ TEMAT NUMERU

.08 KAMIL ANDUŁA
Mity bitwy pod Lenino

.12 MACIEJ ROSALAK
Krwawa batalia nad Mereją

.16 MICHAŁ MACKIEWICZ
Samozariadki dla kościuszkowców

.18 KAMIL ANDUŁA
Budowa mitu

.22 TOMASZ STAŃCZYK
Berling chciał być jak Piłsudski

.26 PAWEŁ PIOTROWSKI
Na szlaku LWP

.76 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Operacja „Sztorm–333”

/ TECHNIKA

.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Komputery

/ CO CZYTAĆ

.80 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Ostatni bard tamtego Lwowa

/ FELIETONY

.92 JACEK BARTOSIAK
Polacy nie są gorsi

.94 PIOTR SEMKA
Był sobie morski zew

.95 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Demokracja w działaniu

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Powrót Komorowskiego

/ KRESY

.88 TOMASZ STAŃCZYK
Na ziemi Mickiewicza i partyzantów AK

/ KOMIKS

. 98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Zagłada ORP „Grom”

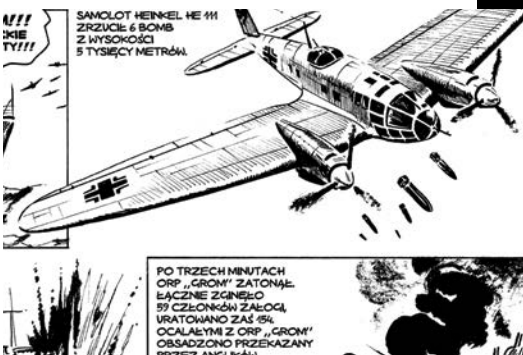

eprasa.pl 33efe048ab

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski,
Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska,**
Przemysław Traczyk
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Muzeum Wojska Polskiego**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski.**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, sierpień 1935 r.

Zespół kabaretu Cyrulik Warszawski. Na stole stoi Fryderyk Jarossy.

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Jubileusz „Historii Do Rzeczy"

Setny numer „Historii Do Rzeczy"! 100 miesięcy. Ponad osiem lat. Aż trudno uwierzyć, że czas pędzi w tak zawrotnym tempie. Pamiętam doskonale, jak pracowaliśmy nad pierwszym numerem naszego magazynu. Wydaje się, jakby to było wczoraj!

Ten jubileuszowy artykuł wypada zacząć od podziękowania dla osób najważniejszych. Czyli naszych wiernych Czytelników. Bez Państwa wieloletniego wsparcia i zainteresowania naszym magazynem „Historia Do Rzeczy" nie miałaby racji bytu. Miesięcznik nasz szykujemy co miesiąc z myślą o Państwu.

Wiemy bowiem, że łączy nas miłość do historii, fascynacja przeszłością. Dlatego staramy się przygotowywać dla naszych Czytelników jak najciekawsze artykuły. Zarówno dotyczące historii naszego państwa oraz narodu, jak i dziejów powszechnych. Przez minionych osiem lat „Historia Do Rzeczy" ugruntowała swoją mocną pozycję na rynku miesięczników historycznych. To Państwa zasługa.

eprasa.pl 33efe048ab

Przez ten czas na łamach „Historii Do Rzeczy” odbyło się wiele ciekawych debat i dyskusji. Poruszaliśmy tematy ważne dla opinii publicznej. Zajmowaliśmy się problemem postaw Polaków wobec Żydów w trakcie drugiej wojny światowej. Dużo miejsca poświęciliśmy ludobójstwu Polaków na Wołyniu.

Bardzo ważnym tematem są dla nas zbrodnie komunistyczne. Deportacje na Syberię i do Kazachstanu, Katyń, łagry. Operacja polska NKWD, obława augustowska. Gehenna polskich patriotów, którzy po wojnie przeszli przez katownie UB. O sprawach tych nadal mówi się zbyt mało.

Piszemy również dużo o zbrodniach niemieckich. Auschwitz, Palmirach, Piaśnicy, akcji T-4 i innych masowych okrucieństwach brunatnego okupanta. Systemy totalitarne – i popełniane w ich imieniu zbrodnie – to bez wątpienia jeden z kluczowych tematów „Historii Do Rzeczy”. Wiek XX, krwawa epoka Hitlera i Stalina, na naszych łamach zajmuje najwięcej miejsca.

Nie ograniczamy się jednak tylko do martyrologii. Piszemy o dziejach oręża polskiego. O zwycięstwach husarii i lisowczyków. O triumfie 1920 r. O kampanii wrześniowej. O bojach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie – Narwiku, bitwie o Anglię, Tobruku, Monte Cassino czy operacji „Market Garden”. O czołgistach Maczka i spadochroniarzach Sosabowskiego.

Bliska nam jest tradycja Polskiego Państwa Podziemnego. Piszemy o jego sukcesach i klęskach, na czele z tragedią Powstania Warszawskiego. A także o Żołnierzach Wyklętych i oporze wobec – przyniesionej na sowieckich bagnetach – władzy komunistycznej. Staramy się publikować jak najwięcej rozmów ze świadkami historii. Jest to bowiem pokolenie, które odchodzi na naszych oczach. Należy ocalić jego doświadczenia przed zapomnieniem.

To oczywiście tylko niewielka część tematów, które pojawiają się na łamach „Historii Do Rzeczy”. Staramy się, żeby pismo było jak najbardziej zróżnicowane i interesujące dla Czytelnika.

Jako redaktor naczelny chciałbym podziękować moim współpracownikom, bez których trudno sobie wyobrazić „Historię Do Rzeczy”. To redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk i Piotr Włoczyk.

Nad wizualną stroną pisma czuwają Wojtek Niedzielko, Włodek Zakrzewski i inni graficy. Zdjęcia dobiera Edyta Bortnowska, a korektą kieruje Anna Zalewska. Marketing znajduje się w rękach Michała Frąckiewicza. Wszystkim Wam – moi Drodzy – bardzo dziękuję! Podobnie jak wszystkim naszym publicystom i autorom. „Historię Do Rzeczy” tworzy doskonały, zgrany zespół. To wielka przyjemność z Wami pracować.

Ten numer „Historii Do Rzeczy” poświęciliśmy bitwie pod Lenino. Bitwa ta była mitem założycielskim PRL. Propaganda komunistyczna twierdziła, że 12 października 1943 r. doszło do wspaniałego zwycięstwa Armii Czerwonej i tzw. Ludowego Wojska Polskiego nad siłami zbrojnymi III Rzeszy.

Imię bohaterów spod Lenino nadawano ulicom i placom. Budowano im pomniki. Na ich cześć nazywano statki. Lenino w PRL było wszechobecne. Problem w tym, że ten propagandowy obraz nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. W rzeczywistości Lenino było katastrofą.

Biedni polscy żołnierze byli dowodzeni w sposób dyletancki. Rzucono ich na straceńczy odcinek. Zostali zmasakrowani przez Niemców i fatalnie pudłującą sowiecką artylerię. 1. Dywizja im. Tadeusza Kościuszki – skrwawiona i pobita – została wycofana z walki. Na domiar złego kilkuset żołnierzy poddało się Niemcom. Z perspektywy polskich komunistów – totalne fiasko.

Zgodnie z założeniem – dowodzona przez oficera renegata Zygmunta Berlinga – polska jednostka miała do wypełnienia ważny cel propagandowy. Z rozwiniętymi sztandarami miała wkroczyć u boku Armii Czerwonej na teren „wyzwalanej” Polski i wywołać powszechny entuzjazm Polaków. Tymczasem, jak dowodzi znakomity specjalista Kamil Anduła, po bitwie pod Lenino dywizja była tak pokiereszowana, że ponownie do akcji weszła dopiero… latem 1944 r.

Oddajemy do rąk Czytelników ten jubileuszowy, setny numer „Historii Do Rzeczy”. Mamy nadzieję, że za kolejne osiem lat – w tym samym gronie – będziemy pracować nad numerem dwusetnym. ©℗

REKLAMA

„Prawda czasu, prawda ekranu”
Największe wpadki w kinowych hitach
BELLONA

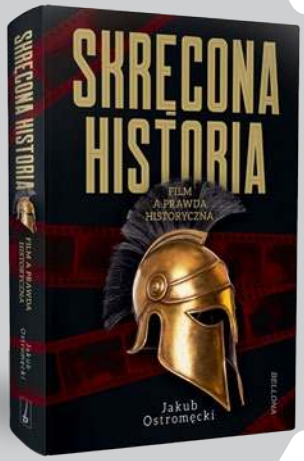

Piękne i piekielnie niebezpieczne - kobiety w akcjach likwidacyjnych polskiego podziemia

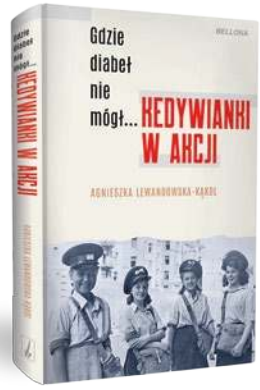

KSIĘGARNIE Świat Książki swiatksiazki.pl

eprasa.pl 33efe048ab

100 numerów

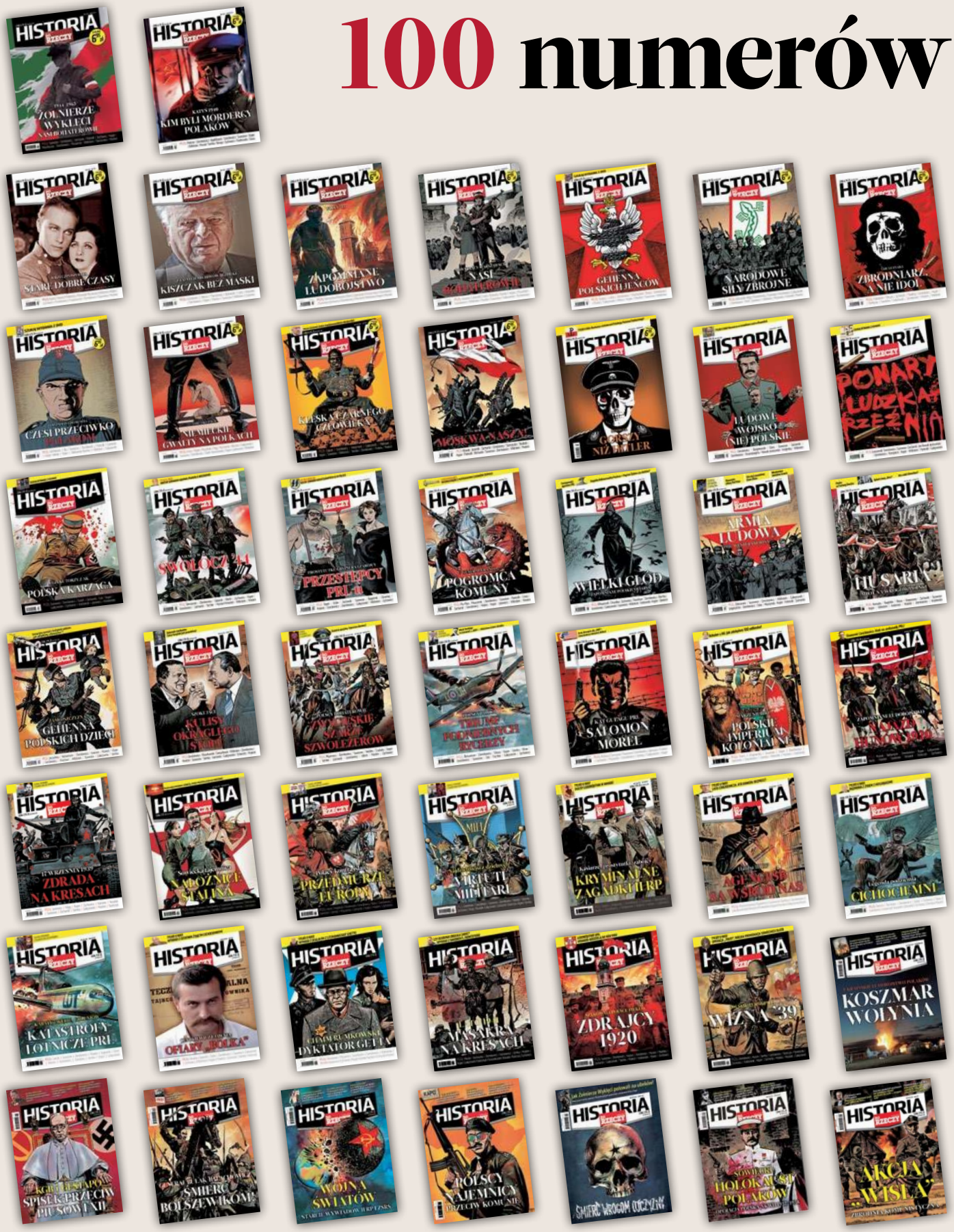

eprasa.pl 33efe048ab

„Historii Do Rzeczy”

eprasa.pl 33efe048ab

Druga wojna / Rozmowa z historykiem Kamilem Andułą

rozmawia Piotr Zychowicz

Michał Bylina „Lenino"
FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Mity bitwy pod Lenino

Propaganda PRL przedstawiała tę bitwę jako wielkie zwycięstwo. W rzeczywistości była to katastrofa

PIOTR ZYCHOWICZ: Bitwa pod Lenino była mitem założycielskim PRL. Wspólnym „zwycięstwem" Sowietów i polskich komunistów nad Niemcem. Jaka była prawda?

KAMIL ANDUŁA: Zanim rozłożymy ten mit na czynniki pierwsze, wspomnijmy, że Lenino w PRL rzeczywiście było wszechobecne. Ulicom, placom nadawano imię bohaterów spod Lenino. Był nawet statek, który nazwano „Lenino". Doszło do tego, że ktoś w miejscowości Kolno postanowił nazwać spółdzielnię mleczarską imienia „obrońców spod Lenino".

Obrońców?!

Tak, podczas gdy to Polacy byli pod Lenino stroną nacierającą. Bronili się zaś Niemcy. Komuś się wszystko pomyliło. Bitwa pod Lenino miała być początkiem drogi tzw. Ludowego Wojska Polskiego w kierunku Polski. Był to jednak początek, a zarazem koniec. Bitwa poszła bo-

eprasa.pl 33efe048ab

wiem kompletnie nie po myśli sowieckich dowódców. Wykrwawiona 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki została z niej po jednym dniu wycofana i ponownie użyta bojowo dopiero latem 1944 r. To była klęska.

Zanim przejdziemy do bitwy, powiedzmy dwa słowa o samej 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Kim był jej dowódca?

Pułkownik Zygmunt Berling, potem przez Sowietów awansowany na generała. Dezerter z armii Andersa. Jeden z niewielu polskich oficerów, którzy ocaleli z masakry w Katyniu. Stało się tak dlatego, że najprawdopodobniej był agentem NKWD i donosił na współwięźniów w Starobielsku. Sowieci umieścili go później w Willi Szczęścia pod Moskwą, gdzie z grupą innych oficerów opracował plany polskiej formacji wojskowej. To było jeszcze przed atakiem III Rzeszy na ZSRS. Związek Sowiecki miał w swoich planach agresję na Europę być może już latem 1941 r. Wówczas taka dywizja byłaby potrzebna jako jednostka propagandowa, która wchodzi razem z Armią Czerwoną na polskie ziemie i jest witana jako „wojsko polskie".

Dywizja była tworzona na wzór i podobieństwo Armii Czerwonej. Czyli byli w niej politrucy?

Stalin chciał gwarancji, że to wojsko będzie lojalne, że będzie realizowało jego linię polityczną. Taka dywizja to jest 14–16 tys. uzbrojonych Polaków. Dać tym Polakom broń do ręki i nie wiadomo, co zrobią. Jakieś powstanie? Rozbiegną się do lasów? Trzeba mieć metodę kontroli. Po pierwsze, delegowano więc oficerów sowieckich na stanowiska dowódcze. Po drugie, wprowadzono politruków.

Co to byli za ludzie?

Polscy komuniści – często niestety żydowskiego pochodzenia – którzy nie identyfikowali się z polskim patriotyzmem, uważali się za internacjonalistów. Ludzie ci wypełniali wolę Stalina. Krzewili w szeregach komunizm, propagandę. Na początku delikatnie, potem coraz nachalniej. Do tego organa kontrwywiadu – Smiersz. W Wojsku Polskim nazywało się to Informacją Wojskową. Jej oficerowie, z pomocą sieci agentów, kontrolowali nastroje. Jeżeli ktoś był zbyt szczery w rozmowach, to trafiał do aresztu, był wydalany z wojska. I często wracał do łagru.

O tym nie mówiliśmy. Skąd się wzięli szeregowcy służący w Dywizji?

To były na ogół osoby, które po 17 września zostały wysiedlone na Syberię, do Kazachstanu. Część z tych osób załapała się do armii Andersa i udało im się opuścić nieludzką ziemię. Ale nie wszyscy. Tych Polaków było bardzo dużo. Część z nich trafiła pod skrzydła Berlinga.

Czyli decydował łut szczęścia. Jaki jest pana stosunek do tych zwykłych chłopców, którzy trafili w szeregi Dywizji?

Pułkownik Ignacy Matuszewski nazywał ich niewolnikami systemu. To były ofiary totalitaryzmu. Dla mnie to przede wszystkim żołnierze frontu wschodniego, którzy cierpieli na równi z żołnierzami sowieckimi służącymi w podobnie ciężkich warunkach. Polacy zostali wprzęgnięci w machinę wojenną, która realizowała cele Stalina wobec ich ojczyzny. To wszystko było oczywiście pięknie podane. Żołnierze przyjeżdżali z łagrów i widzieli polskie sztandary, Orła Białego, patriotyczne hasła i polskiego księdza. W większości to byli ludzie prości i oni tę propagandę niestety pochłaniali. Zaprawieni politrucy nawet wyjątkowo sceptyczną osobę potrafili zachęcić do walki u boku Armii Czerwonej. Dla jakiejś przyszłej Polski, która będzie „wolna i demokratyczna". To były ogólne hasła, które wielu żołnierzy porwały.

Tym sposobem dotarliśmy do bitwy pod Lenino 12 października 1943 r. Jak wyglądał ten chrzest bojowy?

Miasteczko Lenino leży we wschodniej części Białorusi. Tam wówczas przebiegał front wschodni. Armia Czerwona chciała zdobyć strategicznie kluczowy punkt – Bramę Smoleńską. To pas ziemi położony między Dźwiną a Dnieprem. Ten, kto posiada Bramę, ten ma otwartą drogę do Warszawy. Bo przez ten korytarz można przeprowadzić masy czołgów i posłać je wprost na Zachód.

Albo na Wschód. Bo przecież przez Bramę Smoleńską nasza husaria w XVII w. szła na Moskwę.

Dokładnie. Trudno więc się dziwić, że w 1943 r. Armia Czerwona tak bardzo chciała ją zdobyć. Uderzenie miało pójść przez Lenino w kierunku Orszy nad Dnieprem.

Krzyż Bitwy pod Lenino

FOT. WIKIPEDIA

Jak przebiegała bitwa?

Teren po stronie polskiej był trochę niżej. Niemcy bardzo głęboko okopali się na wzgórzach. To była tzw. linia Pantery. Co zrobili Sowieci? Zgromadzili bardzo dużo ciężkiej artylerii i wyrzutni rakiet. Chcieli Niemców zarzucić tymi pociskami. Potem Polacy z 1. Dywizji – razem z dwoma sąsiednimi sowieckimi dywizjami – mieli zająć wzgórza praktycznie bez walki. A potem ruszyć dalej.

Jak to wyszło w praktyce?

Zupełnie inaczej, niż opisano to potem w książkach w PRL. Niestety na wykonanie planu nie starczyło amunicji. Nie dowieźli pocisków! To był październik 1943 r., a pamiętamy, jak wyglądał październik 1941 r., gdy Niemcy nacierali na Moskwę. Błoto, zatory, korki, zniszczone mosty. Z tymi samymi problemami borykała się Armia Czerwona, gdy nacierała w 1943 r. Wycofujący się Niemcy stosowali bowiem taktykę spalonej ziemi. Zgromadzono więc dużą ilość artylerii – moździerzy, haubic, wyrzutni rakiet. Sowieci nie mieli jednak do nich pocisków. Ostrzelano Niemców, ale niewystarczająco.

Jednak piechotę i tak puszczono na wzgórza.

Tak, taki był rozkaz. Trzeba było szturmować. Nie można było się wycofać. Rozkaz zdobycia Orszy i Bramy Smoleńskiej wydał sam Stalin w dyrektywie z 1 października. Ta dyrektywa musiała zostać wykonana.

Jak radzili sobie Kościuszkowcy?

Polacy zajęli pierwszą linię okopów. Zajęli wzgórze, niewielką wioskę. Jednak z prawej i z lewej sowieckie dywizje nie były w stanie dotrzymać im kroku. W efekcie żołnierze z 1. Dywizji znaleźli się pod morderczym ogniem z trzech stron. Z przodu oraz z prawego i lewego skrzydła. Polacy utknęli na zdobytym terenie – mniej więcej dwa na dwa kilometry. Teren ten był nieustannie ostrzeliwany przez niemiecką artylerię.

eprasa.pl 33efe048ab

Jeniec spod Lenino w jednym z zakładów pracy w Generalnym Gubernatorstwie
FOT. NAC

Cała potęga ognia nieprzyjacielskiego na tym odcinku frontu skupiła się na tym małym obszarze.

A czy to prawda, że na domiar złego ci biedni chłopcy zostali też ostrzelani przez artylerię sowiecką?

To kolejna wstydliwa tajemnica bitwy pod Lenino. Natarcie 1. Pułku rozpoczęło się od tego, że żołnierze zostali ostrzelani przez sowieckie ciężkie pociski rakietowe. Mówiono, że to katiusze, ale to było coś gorszego. To były pociski kalibru 300 mm. Olbrzymie. Odpalane z wyrzutni stacjonarnych. I to one spadły na nacierających Polaków. W dzienniku bojowym użyto określenia „szyki batalionu zostały spustoszone". Potem w trakcie odpierania niemieckich kontrataków artyleria Armii Czerwonej znowu strzelała niecelnie. Uderzała zarówno w Niemców, jak i żołnierzy 1. Dywizji.

Jak mówią Rosjanie – bardak.

Problem polegał na tym, że wszystko działo się na niewielkim obszarze. Żołnierze przesuwali się o kilkaset metrów w jedną lub drugą stronę.

Widzę, że wobec Polaków stosowano tę samą zasadę jak wobec żołnierzy Armii Czerwonej: „Ludiej u nas mnogo". Nikt nie liczył się z ich życiem. Czy żołnierzom 1. Dywizji również wydawano 100 g wódki przed atakiem?

To była norma przewidziana etatem. Oficer otrzymywał codziennie 100 g na rozruch. Dowódca 1. Brygady Pancernej codziennie wypijał ok. 100 g wódki lub spirytusu. Zmarł w młodym wieku. Gdy przeprowadzono sekcję zwłok, lekarze dziwili się, że żył tak długo, bo był tak wyniszczony alkoholem. Kolejny nałogowy alkoholik: gen. Karol Świerczewski, który z powodu zamroczenia alkoholowego nie był w stanie dowodzić w bitwie pod Budziszynem. W 1. Dywizji występował problem kadr. Tak jak wspominałem, zostali do niej delegowani oficerowie sowieccy. Żaden dowódca nie chce się jednak pozbywać swoich najlepszych ludzi. Jeżeli jakiś generał Armii Czerwonej otrzymał rozkaz przekazania do polskiej jednostki kilkudziesięciu oficerów, to wybierał tych najgorszych.

Wróćmy na pole bitwy pod Lenino.

Żołnierze znajdują się pod straszliwym ostrzałem. Pomiędzy nimi chodzą oficerowie polityczno-wychowawczy. Krzyczą, poganiają ich do ataku. „Nacierać!". Padają bardzo wulgarne słowa. Żołnierze próbują zrywać się i biec do przodu, ale są dziesiątkowani przez ogień karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Wtedy Niemcy jedną kompanią – około kilkudziesięciu ludzi – przechodzą do kontrataku przy wsparciu trzech dział szturmowych. W polskich szeregach wybucha panika. Żołnierze 1. Pułku zaczynają się wycofywać w kierunku swoich pozycji wyjściowych. To samo się dzieje na prawym skrzydle. Tam nadlatują niemieckie sztukasy, które zrzucają bomby na głowy tych biedaków.

Czy Sowieci próbowali pomóc?

Dowódca 33. Armii, generał sowiecki Gordow, postanawia rzucić do akcji 5. Korpus Zmechanizowany. 125 czołgów. Te czołgi wjechały na teren i w co najmniej kilku przypadkach rozjechały gąsienicami polskich żołnierzy. Cały ten korpus został

eprasa.pl 33efe048ab

dosłownie rozstrzelany przez niemieckie niszczyciele czołgów i działa szturmowe. Walczył do 18 października i poniósł straty rzędu 70 proc. Został wycofany z bitwy w stanie, który nie pozwolił na jego późniejsze użycie.

To była jatka pod Lenino.

Generał Gordow, który obserwował przebieg działań, stwierdził, że Polacy do niczego się nie nadają. Pod koniec drugiego dnia bitwy – 13 października – wydał rozkaz wycofania 1. Dywizji. Polska jednostka do rana 14 października opuściła pole bitwy. Jej miejsce zajęły dwie dywizje sowieckie i bitwa trwała dalej, do 18 października. Wiele więcej nie udało się jednak zdobyć. Sowieci wklinowali się w niemieckie linie na kilka kilometrów. I to wszystko. Próby zdobycia Bramy Smoleńskiej trwały przez kolejne miesiące i zakończyły się powodzeniem dopiero w czerwcu 1944 r.

Czyli fiasko.

Tak. Lenino było jedną z licznych bitew w tym rejonie, których celem było zdobycie Bramy. W kwietniu 1944 r. na biurko Stalina trafił raport na temat tych zmagań. Bitwa pod Lenino została podana tam jako przykład najgorszej przeprowadzonej operacji całej kampanii. Najkrwawszej. Sowieci na froncie wschodnim uczyli się na własnych błędach, ale kosztem życia własnych żołnierzy. Polacy mieli to szczęście, że ich wycofano po dwóch dniach. Sowieckie dywizje zostały na miejscu i dalej się krwawiły.

Straty polskie również były jednak wysokie – 23 proc. stanów wyjściowych. 500 zabitych, 1,8 tys. rannych.

To była klęska. Tak jak wspominałem, w założeniu Lenino miało być początkiem drogi. Polska dywizja po pobiciu Niemców miała, u boku Armii Czerwonej, przejść przez Bramę Smoleńską i „wyzwolić" Polskę. Tymczasem w wyniku bitwy pod Lenino została tak pobita, że do walki weszła po raz kolejny dopiero latem 1944 r. Propaganda przedstawiała to jednak w inny sposób: 1. Dywizja wykonała zadanie. Zdobyła pierwszą linię okopów. Czyli zwyciężyła.

Jak wyglądała sprawa jeńców. Czy to prawda, że ponad 800 żołnierzy 1. Dywizji poddało się Niemcom, bo nie chciało walczyć po stronie Sowietów?

Dysponuję niemieckim dokumentem z 11 października – to meldunek oficera wywiadu 4. Armii – w którym jest mowa o informacjach pozyskanych od grupy dezerterów z polskiej jednostki. Czyli jeszcze zanim zaczęła się bitwa, pierwsza grupka żołnierzy – pod pozorem rozpoznania niemieckich linii – uciekła na stronę nieprzyjaciela. I – co gorsza – przekazali informacje, że kolejnego dnia zacznie się ofensywa.

Hełm sowiecki FOT. DOMENA PUBLICZNA

Co jeszcze mówią niemieckie dokumenty?

W meldunkach jest mowa, że pierwszego dnia bitwy Niemcy wzięli do niewoli 443 żołnierzy. Część z nich to byli Sowieci, ale to znikomy odsetek. Zapewne kilkunastu. Reszta pochodziła z 1. Dywizji. Oni nie mieli woli walki, często uważali Sowietów za gorszego wroga niż Niemców. Gdy więc byli ostrzeliwani z obu stron, gdy kończyła im się amunicja, po prostu poddawali się. A Niemcy też umieli to wykorzystać. W straszliwą noc z 12 na 13 października grali Polakom przez głośniki „Mazurka Dąbrowskiego" i zachęcali do przejścia przez front. Po stronie niemieckiej służyło wielu żołnierzy ze Śląska, którzy krzyczeli po polsku do berlingowców, zachęcając ich do dezercji. Można sobie wyobrazić tę straszliwą presję psychiczną. Wokół poszarpane kawałki ciał, padają pociski… W literaturze PRL oczywiście o tym wszystkim nie było mowy.

Trudno, żeby komuniści przyznali się do tego, że podczas legendarnego „chrztu bojowego" LWP kawał Dywizji poddał się Niemcom.

To był zresztą powód wycofania Dywizji z linii frontu. Sowieci bali się, że w całości przejdzie na stronę Niemców.

Dysponuję niemieckimi dokumentami z przesłuchań żołnierzy wziętych do niewoli, które wskazują, że z najdrobniejszymi szczegółami opowiadali oni o Dywizji.

Kilku z tych żołnierzy Niemcy wozili po zakładach pracy Generalnego Gubernatorstwa. Urządzano masówki i oni opowiadali o realiach swojej służby w sowieckim wojsku.

Tak, propaganda niemiecka bardzo mocno to wykorzystała. Gadzinowa prasa szeroko opisywała ich losy. Podobno kilku zostało nawet wykorzystanych na froncie włoskim, gdzie namawiali żołnierzy Andersa do poddania się. Mówimy jednak o niewielkiej grupce. Większość trafiła do obozów jenieckich na Pomorzu, gdzie doczekała końca wojny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kamil Anduła jest historykiem Wojskowego Biura Historycznego i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Bada historię bitwy pod Lenino i tzw. Ludowego Wojska Polskiego.

eprasa.pl 33efe048ab

12–13 października 1943 r. / Pierwsza bitwa 1. DP im. Tadeusza Kościuszki

12 października o godz. 5.55 polskie działa otworzyły ogień...

FOT. ARCHIWUM „MÓWIĄ WIEKI"

Krwawa batalia nad Miereją

Maciej Rosalak

Dowódcy sowieccy wiedzieli, że stawiają kościuszkowcom zadanie pozorne. Polacy ginęli naprawdę

W połowie października 1943 r. Winston Churchill nosił się z zamiarem uderzenia wojsk alianckich w tzw. miękkie podbrzusze kontynentu – przez Bałkany na północ. Również po to, by środkowej Europy wraz z Polską nie zajął Stalin. Ten jednak zdawał sobie doskonale sprawę z sytuacji. Po przełomowym na froncie wschodnim zwycięstwie na Łuku Kurskim (lato 1943 r.) Armia Czerwona szykowała się do zadania jesienią następnego potężnego ciosu. Aby pokrzyżować plany brytyjskiego premiera, Stalin zadecydował, by uderzenie wyprowadzić na południu – na Kijów, a potem na Rumunię, Węgry, Jugosławię i Czechosłowację.

Celem wcześniejszej ofensywy w północnym dorzeczu Dniepru było tylko odwrócenie uwagi Niemców od głównej operacji strategicznej. Aby Kijów został zdobyty, trzeba było uniemożliwić spłynięcie niemieckich posiłków z północy. Głównym kierunkiem uderzenia stała się naddnieprzańska Orsza, znajdujący się w rękach niemieckich klucz do tzw. Bramy Smoleńskiej, a operacja ta – im bardziej krwawa, tym lepiej – miała zdezorientować Niemców.

Tutaj właśnie trafiła po kilkusetkilometrowym, wyczerpującym marszu koleją i pieszo 1. Polska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki pod dowództwem płk. Zygmunta Berlinga (stopień generała otrzymał tuż przed bitwą). Żołnierze byli niedoszkoleni również dlatego, że ćwiczenia przerwano, aby na front ruszyli 1 września, a nie 17 września. Mimo skierowania do niej oficerów sowieckich – również polskiego pochodzenia – w oddziałach brakowało piątej części dowódców.

Dywizję zorganizowano według wzoru gwardyjskiego. W takich dywizjach utrzymywano pełnoetatową obsadę, straty uzupełniano, żołnierze mieli regulaminowe uzbrojenie i wyposażenie, a cały taki związek taktyczny przewidzianą liczbę armat, moździerzy, ciężkich karabinów maszynowych i ciężarówek. Podstawowy skład dywizji – liczący niemal 12 tys. żołnierzy – stanowiły trzy pułki piechoty, pułk artylerii i pododdziały rodzajów wojsk oraz służb, a także jednostki ponadetatowe: pułk czołgów, dywizjon moździerzy, batalion kobiecy. Tworzono również zalążki lotnictwa myśliwskiego (do akcji weszło rok później).

Z początku dywizja miała działać na głównym kierunku ofensywy Frontu Zachodniego gen. Wasilija Sokołowskiego, ale trafiła do 33. Armii gen. Wasilija Gordowa, której zadaniem było związanie sił niemieckich natarciem w kierunku Dniepru znad Mierei. To zadanie było pozorowane, podobnie jak cała operacja Frontu, ale nie

eprasa.pl 33efe048ab

tylko żołnierzom 1. PDP, lecz także nawet ich dowódcy o tym nie powiedziano…

Zuchy Polacy!

1. PDP miała przełamać obronę niemiecką na dwukilometrowym odcinku: wieś Połzuchy – wzgórze 215,5, a następnie nacierać na zachód do rzeki Pniewka, po czym dalej – nad Dniepr. W pasie polskiego natarcia trzeba było przerzucić dwa mosty dla czołgów i artylerii oraz kładki dla piechoty. Na prawo od nas sowiecka 42. DP miała przełamywać obronę niemiecką na odcinku 1,5 km. Na lewym zaś do walki wysłano 290. DP. Obie sowieckie dywizje liczyły zaledwie po ok. 4 tys. żołnierzy i rychło okazało się, że na wsparcie z ich strony liczyć nie można.

Zgodnie z rozkazem dowódcy armii gen. Berling wysłał w pierwszym rzucie na prawym skrzydle 2. Pułk Piechoty ppłk. Gwidona Czerwińskiego, na lewym zaś 1. Pułk Piechoty ppłk. Franciszka Derksa. W odwodzie pozostał 3. Pułk Piechoty ppłk. Tadeusza Piotrowskiego. Piechotę miał wspierać 1. Pułk Czołgów ppłk. Anatola Wojnowskiego i 1. Pułk Artylerii Lekkiej mjr. Antoniego Frankowskiego, pułk moździerzy i batalion saperów, dwa sowieckie pułki artylerii lekkiej, a także sowiecka 67. Brygada Artylerii Haubic. Krótko przed bitwą Niemcy poznali plan natarcia od polskich żołnierzy, którzy oddali się w ich ręce.

Przedni skraj obrony niemieckiej biegł na wschodnich stokach wzgórz, za szeroką na kilkaset metrów bagnistą doliną Mierei. Bezdrzewny teren stanowił dogodne pole ostrzału. Cała obronna niemiecka „pozycja Pantera" dochodziła do 7 km głębokości, a krzaczaste wąwozy maskowały stanowiska broni ciężkiej. Polskie patrole rozpoznały przed bitwą umocnienia przedniego skraju. Ustalono stanowiska tylko dwóch batalionów.

Zgrupowanie niemieckie przed frontem 33. Armii liczyło ok. 20 tys. żołnierzy, 600 dział i moździerzy, 80 dział szturmowych i przeciwpancernych. W pasie natarcia 1. PDP bronił się cały 688. Pułk oraz – w drugim rzucie – kolejne dwa bataliony z 337. Niemieckiej Dywizji Piechoty. Do wsparcia służyły też odwody XXXIX Korpusu Pancernego. Niemiecka 337. dywizja liczyła ok. 18 tys. ostrzelanych i dobrze uzbrojonych żołnierzy oraz część sił 252. Dywizji.

RYS. JACEK GRAMBURG

11 października o godz. 20 gen. Berling otrzymał ze sztabu armii rozkaz przeprowadzenia 12 października o godz. 6 rozpoznania walką siłami jednego batalionu. Ponieważ ocenił, że oznacza to wysłanie batalionu na rzeź (często stosowana w Armii Czerwonej taktyka), prosił o zmianę decyzji lub użycie mniejszych sił. Generał Gordow nie zmienił rozkazu. Powiadomiony wieczorem o zadaniu dowódca 1. Pułku Piechoty przekazał zadanie dowódcy batalionu mjr. Bronisławowi Lachowiczowi dopiero o godz. 4 nad ranem. Do zaledwie pięciominutowego wparcia ogniowego przeznaczono tylko jeden dywizjon artylerii (zamiast regulaminowych trzech strzelających od kwadransa do pół godziny). „No, to 50 proc. mego batalionu już nie ma" – powiedział mjr Lachowicz.

12 października o godz. 5.55 polskie działa otworzyły ogień. Rozpoczęła się bitwa nazwana później ze względów propagandowych „bitwą pod Lenino", choć to miasteczko znajdowało się już w rękach sowieckich. Pod osłoną krótkotrwałego ostrzału artyleryjskiego ruszyły na wzgórze 215,5 obie pierwszorzutowe kompanie. Polacy przebrnęli rzekę, potem nadrzeczne mokradła, ale 200–300 m od wrogich okopów zaległy pod gęstym ogniem karabinów maszynowych i moździerzy. Strzelały nawet sześciolufowe „krowy" kalibru 158 mm. Niektórzy żołnierze wdarli się jednak do pierwszej linii rowów strzeleckich, inni okopali się przed zasiekami z drutu kolczastego. Niemiecki kontratak odrzucił ich wkrótce na 150 m przed przedni skraj, gdzie każdy, kto przeżył, okopywał się, jak mógł. Tylko co drugi przetrwał ponad trzy godziny – do nawały ogniowej przed natarciem całego pułku.

O godz. 9.20 zagrzmiały katiusze i działa, a godzinę później ruszyły do ataku bataliony obydwu pułków pierwszego rzutu. Szły w kłęby dymu, huk i błysk rozrywających się pocisków. Żaden z naszych żołnierzy nie widział jeszcze takiego przygotowania artyleryjskiego. A jednak żołnierze odważnie szli tyralierą w to piekło. To wtedy z ust sowieckich obserwatorów wyrwały się okrzyki: „Mołodcy Polaki, idut kak mariaki, na wies rost idut!" („Zuchy Polacy, idą jak marynarze, idą wyprostowani!").

Nawałę artylerii rozpoczęto jednak z opóźnieniem (żeby opadła mgła; nie wiadomo po co, przecież skrywała ona atakujących), a dodatkowo dowódca

eprasa.pl 33efe048ab

Za Miereją były bagniska – jeszcze trudniejsze do pokonania FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pułkownik Bolesław Kieniewicz był Polakiem z pochodzenia (podobnie jak mjr B. Lachowicz) FOT. WIKIPEDIA

33. Armii i dowódca artylerii uznali, że należy ją skrócić o 40 minut. Wbrew ich przypuszczeniom Niemcy się jednak nie wycofali, tylko opuścili pierwszą linię i ukryli w schronach. Gdy ogień przeniesiono dalej – wrócili na stanowiska i rychło zagrały ich śmiercionośne ckm-y MG 42.

Szturm obu pułków, które zdobyły pierwszą linię okopów i ruszyły na kolejną, zapowiadał pomyślny przebieg dalszych działań. Już na dwa, trzy kilometry Polacy wdarli się w głąb pozycji niemieckich. Jednak natarcie sąsiednich dywizji sowieckich szybko się załamało i nie ruszyło z miejsca aż do końca bitwy. W tej sytuacji żołnierze 1. PDP wysunęli się do przodu, odsłaniając skrzydła i umożliwiając Niemcom prowadzenie ognia z boku i krzyżowego. Dodatkowo artyleria sowieckich sąsiadów nadal bombardowała teren zajęty właśnie przez Polaków.

Wznowione uderzenia z konieczności zaczęły się rozchodzić. 2. PP atakował Połzuchy na prawej flance, a 1. PP – na lewej Trygubowo, wychodząc nawet poza tzw. pas dywizji. Obydwie miejscowości Niemcy zamienili w silne punkty oporu, lecz osamotnieni przez sowieckich sąsiadów Polacy musieli je zdobyć kosztem rosnących strat. Coraz dramatyczniejsza była sytuacja resztek batalionu mjr. Lachowicza, który każdy atak prowadził osobiście, podrywając żołnierzy do kolejnego wysiłku. Aż zginął (od kuli?, granatu ppanc.?, wybuchu miny?). Dowództwo objął por. Paziński, ale i on wkrótce poległ. Trygubowo jednak opanowano (1. PP), podobnie jak w tym czasie na prawym skrzydle (2. PP) Połzuchy.

Kryzys bitwy

Zaczęło brakować amunicji, czołgi nie wsparły jeszcze piechoty, a Niemcy, rozpoczęli kontrataki ze skrzydeł i od czoła, dążąc do odbicia utraconych pozycji. Mgła podniosła się wyżej i do akcji wkroczyło niemieckie lotnictwo szturmowe i bombowe. Pierwszy kontratak na Trygubową został odparty, ale drugi przy wsparciu czołgów i dział pancernych wyrzucił 2. Batalion z Trygubowej. Część żołnierzy zginęła, a część dostała się do niewoli. Walczące w centrum resztki 1. Batalionu atakowane przez czołgi zostały zmuszone do wycofania się, a kontratak 3. Batalionu 1. PP tylko częściowo zmienił sytuację. Artyleryjskie wsparcie zaczęło słabnąć. Kolejny niemiecki kontratak odrzucił Polaków na zachodnie stoki wzgórza 215,5.

W tym położeniu haniebnie zachował się dowódca pułku ppłk Derks, który porzucił walczące bataliony, ze stanowiska 2. PP zameldował o rozbiciu 1. Pułku Piechoty i zniknął. Po bitwie odnalazł się na stanowisku dowodzenia 33. Armii i włos mu z głowy nie spadł, chociaż powinien zostać na miejscu rozstrzelany. Dowództwo przejął zastępca dowódcy 1. PDP płk Bolesław Kieniewicz, który stanął wyprostowany przed żołnierzami, poprowadził ich z powrotem do boju i odparł kontratak. Następnie zorganizował pod ogniem i bombami niemieckimi obronę pułku.

Zdobyte około południa Połzuchy szybko utracono w wyniku niemieckiego kontrataku wspartego czołgami. Wywiązała się dramatyczna walka ogniowa. Brakowało amunicji, zaczęto się powoli wycofywać, ale rychło Połzuchy zaatakowano ponownie z dwóch kierunków, a jeden z batalionów dokonał obejścia i miejscowość odzyskano. I znów kontratak wroga, wsparty czołgami i lotnictwem, wyparł Polaków z wioski. Niebezpieczeństwu rozbicia 2. Pułku zapobiegł ogień zaporowy 67. Brygady Haubic. Połzuchy odzyskano ponownie, walcząc na bagnety i tracąc wielu żołnierzy i oficerów, jednak dalsze natarcie załamało się. Do godz. 14 pułk został ponownie odrzucony z rejonu Połzuch i zmuszony przejść do obrony.

Około południa rozpoczęła się przeprawa czołgów przez Miereję. Niestety, wcześniej nie przygotowano podejść do mostów. W 2. Kompanii Czołgów na podejściach do przeprawy ugrzęzło pięć, a dwa zostały uszkodzone. Pozostałe trzy nie mogły się przeprawić. 1. Kompania miała przejść po moście w Lenino, ale gdy doń podeszła, została zbombardowana. Po południu udało się przejechać

Bilans bitwy 1. PDP

1. PDP nie wykonała w pełni postawionego zadania, ale pozostała jedyną, która przełamała taktyczną strefę obrony na 2–3 km w głąb oraz zadała Niemcom znaczne straty: 1,5 tys. poległo i zostało rannych, a 326 wzięto do niewoli. Zniszczono im 72 karabiny maszynowe, 42 działa i moździerze, 2 czołgi oraz strącono 5 samolotów.

1. PDP straciła 3054 żołnierzy, w tym 168 oficerów, 633 podoficerów i 2253 szeregowców. Stanowiło to 23,7 proc. ogólnego stanu dywizji. Poległo lub zmarło z powodu odniesionych ran 510 żołnierzy, rannych zostało 1776, 116 dostało się do niewoli, a zaginęło bez wieści 652 żołnierzy. Wyjątkowo duże straty poniosły walczące bataliony, zwłaszcza 1. PP. Sięgały one 47 proc., a w 1. Batalionie 1. PP – nawet 60 proc. Kompanie liczące przed bitwą po 155 żołnierzy po bitwie liczyły od 20 do 26 zdolnych do walki.

eprasa.pl 33efe048ab

kilku czołgom. Moździerze i lekkie działa pułkowe przenoszono na plecach, wyrywano z bagna, by trafiły na drugi brzeg.

13 października

Dopiero w późnych godzinach popołudniowych gen. Berling zdecydował się wprowadzić 3. PP na miejsce 1. PP, który w chwili wchodzenia do bitwy liczył ponad 2,8 tys. żołnierzy, a w chwili wycofania zaledwie 500. O godz. 19.20 gen. Berling wydał rozkaz wznowienia natarcia przez pułki 2. i 3. wsparte 16 czołgami, ale nie zdobyto ponownie Trygubowej i Połzuch. Nocą walki nie przerwano, a toczyła się na odległość karabinu; trudno było rozróżnić, gdzie swój, a gdzie wróg. Uderzał 3. PP, ale bez większego powodzenia, a 2. PP odparł w nocy aż pięć kontrataków, ale utrzymał linię obrony.

O godz. 20 gen. Berlingowi wyznaczono zadanie na następny dzień. O 7.45 miała się rozpocząć 15-minutowa nawała artylerii, a o 8 powinna ruszyć do natarcia piechota wsparta czołgami. Tyły dywizji wraz z zaopatrzeniem wciąż pozostawały daleko za linią frontu, więc nocą zebrano amunicję z trzech dywizji drugiego rzutu i dostarczono ją na pierwszą linię. Rano mimo mgły rozpoczęto natarcie. Niemcy natychmiast podjęli przeciwdziałanie. Tylko 2. Pułk wsparty sześcioma czołgami opanował Połzuchy, ale 3. Pułkowi nawet czołgi nie pomogły i nie zdobył Trygubowej.

Czołgi, które uszły cało, wycofano. Potem piechota, atakowana przez samoloty atakujące falami od kilku do nawet 24 maszyn, krwawiła, odpierając kontrataki wroga i 2. Pułk ostatecznie utracił Połzuchy. Pułki przeszły do obrony. Od początku do samego końca walk nie pojawiły się na niebie samoloty sowieckie. Po ostrej wymianie zdań między Gordowem i Berlingiem nocą z 13 na 14 października dywizję wycofano do odwodu 33. Armii. Potem walki kontynuowano tu do 17 października bez naszej dywizji, ale i bez sukcesów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Skrzypek na czołgu

Maciej Rosalak

Wspaniały to był rocznik studentów historii, którzy w połowie lat 60. rozpoczęli szkolenie w Studium Wojskowym Uniwersytetu Warszawskiego. Kilku wprawdzie zostało profesorami, inni nauczycielami, pracownikami naukowymi archiwów i muzeów, wydawcami czy dziennikarzami, ale to pestka. Najważniejsze, że ukończyli przesławne Studium, zaliczając w pocie czoła tak wymagające przedmioty jak musztra, taktyka plutonu piechoty, kopanie okopu, strzelanie w pozycji stojąc i leżąc, budowa kałasznikowa czy rzut granatem zaczepnym, ale też – ho! ho! – obronnym. Z tym że ludowe wojsko chyba celowo oszczędzało i na uzbrojonych granatach i na ostrej amunicji dla studentów. O tzw. natarciu w dym wybuchu nie było więc mowy, bo nasze granaty były atrapami i nie wybuchały. Natomiast jedyne „strzelanie seriami" z kałasznikowa odbyło się za pomocą sześciu nabojów, czyli jedną „serią" z trzech obowiązkowych wysyłaliśmy średnio dwa pociski (możliwy był jeszcze układ 3-2-1). Cóż, na obóz wojskowy w Morągu trafiliśmy w 1969 r., a Marzec '68 mocno utkwił w pamięci kierownictwa Ludowego Wojska Polskiego.

Dowódcą Studium był płk Maksymilian Sznepf, sprawdzony przez towarzyszy radzieckich w obławie augustowskiej (1945) porucznik LWP, który u boku NKWD wiódł kompanię kościuszkowców, by wyłapywali ukrywających się w lasach „faszystów" z Armii Krajowej. Urywały się śmiechy i dowcipy podczas przerw w zajęciach, gdy wiecznie chmurny przechodził korytarzem. Z kolei dzieci z ulicy na mój widok – w przeciwieństwie do granatów – wybuchały. Śmiechem mianowicie. Przez dwa tygodnie na semestr chodziliśmy bowiem w dawnego kroju furażerkach i sięgających kostek płaszczach. Jak te, które Kraj Rad „zaiwanił" po 17 września 1939 r. „Urwał się spod Lenino!" – często słyszałem za sobą. Bo o Lenino wszyscy, nawet dzieci, słyszeli, a w kronikach filmowych oglądali bez przerwy to samo ujęcie, jak kilku wyprostowanych żołnierzy w długich płaszczach niknie w dymie. Tych właśnie, którzy „szli najkrótszą drogą do Polski". W przeciwieństwie do tych z Zachodu, którzy bardzo źle wybrali drogę.

Nasi oficerowie – niemal wszyscy z demobilu LWP, co to „nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera" – wymawiali niektóre słowa ze swoistą elegancją wyższych sfer PRL. Oni na przykład szli do Polski: „najkrótszO drogO…" (ci od Andersa szli „z ziemi WŁOSKI"), a tArzyszem RAKOSKIM był u nich towarzysz Rakowski. Pierwszą Dywizję Piechoty IMIENIEM Tadeusza Kościuszki wspominali z patosem. Tak jak towarzysze z samego Biura Politycznego KC PZPR. Czyli tak, jak powinno być. Niektórzy z kadry oficerskiej potrafili wprowadzić nas w dobry humor pytaniami w stylu: „Ilu lita jest lufa?" (okazuje się, że lufa jest jednolita) lub „Ej, wy dwaj, co za jeden?". A kpt. Konstanty K., zresztą były bokser, rozmarzył się kiedyś przy kopaniu przez nas rowu strzeleckiego na Wawrzyszewie i ze śpiewnym akcentem wraził piękną jak ów rów prawdę: „Wiecie, chłopcy, na współczesnym polu walki pierwsze skrzypce grają czołgi!". Przed wybudowaniem wawrzyszewskich osiedli rowy strzeleckie na leżącym odłogiem polu kopały w końcu lat 60. studia wojskowe wszystkich stołecznych uczelni. Dziś tu żaden kapitan Kostek nie tęskni już „do grających wierzb, malowanych zbóż"… ©℗

eprasa.pl 33efe048ab

Samozariadki dla kościuszkowców

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Wśród indywidualnego uzbrojenia strzeleckiego żołnierzy znalazły się karabiny samopowtarzalne Tokariewa

W drugiej połowie lat 30. XX w. do uzbrojenia Armii Czerwonej wprowadzono dwa nowe wzory karabinów: automatyczny AWS wz. 1936 stworzony przez Siergieja Simonowa oraz broń opracowaną przez jego konkurenta Fiodora Tokariewa – samopowtarzalny SWT wz. 1938. W toku eksploatacji wyszły na jaw liczne wady AWS, stąd do masowej produkcji skierowano karabin Tokariewa, który po drobnych modyfikacjach oznaczono wzorem 1940.

SWT działał na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie, które to poprzez tłok działały na suwadło sprzęgnięte z zamkiem, uruchamiając tym samym cały mechanizm. Zamek pozostawał w trakcie strzału zaryglowany, a jego odryglowanie następowało poprzez przekoszenie w płaszczyźnie pionowej. Dziesięcionabojowy magazynek pudełkowy zasilał karabin, który dostosowano też do zakładania bagnetu siecznego. Sowieckie czynniki wojskowe traktowały karabiny samopowtarzalne i automatyczne (AWT – wersja SWT dostosowana do prowadzenia ognia ciągłego) jako przyszłą podstawową broń żołnierzy piechoty, stąd też w 1941 r. ich produkcja stała się priorytetowa. Do końca tego roku fabryki opuściło przeszło 1 mln egzemplarzy.

Rzeczywistość frontowa objawiła wiele niedostatków tej broni, mechanizmy zawodziły w trudnych polowych warunkach, źle przeszkoleni żołnierze nie potrafili radzić sobie z zacięciami, wiele do życzenia pozostawiała żywotność części, a także jakość amunicji. W 1942 r. produkcja uległa znacznemu spowolnieniu, a karabiny systemu Tokariewa zaczęto stopniowo wycofywać z jednostek pierwszorzutowych, zastępując je sprawdzonymi mosinami wz. 1891/30. Problemy z tą bronią znalazły odzwierciedlenie także we wspomnieniach i w dokumentach dotyczących 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Sądząc na podstawie zdjęć, żołnierze Berlinga zostali obficie doposażeni karabinami SWT i AWT.

„W ugrupowaniach strzeleckich źle się dzieje – czytamy w jednej z relacji z walk o Połzuchy. – Wszyscy ci żołnierze, którzy wyfasowali w Sielcach dziesięciostrzałowe półautomatyczne SWT – ku ówczesnej zazdrości kolegów – teraz przeklinają tamten dzień. Samozariadnaja wintowka Tokariewa ogromnie łatwo chwyta piasek. Doprawdy jakby miała magnes w sobie, a ziarenka piasku były z żelaza […]”. Także Sowieci dostrzegli problemy trapiące polskich strzelców. Z pobitewnego meldunku Rady Wojennej Frontu Zachodniego dowiadujemy się, iż pod Lenino „niektórzy żołnierze skarżyli się, że w walce zawodziły automaty [być może karabiny AWT – przyp. M.M.] i karabiny samopowtarzalne, co faktycznie zaistniało za sprawą nieumiejętnego obchodzenia się z nimi. Niektórzy żołnierze zwracali się o pomoc do naszych bojców, którzy uczyli ich, jak należy używać automatów i karabinów samopowtarzalnych i jak usuwać zacięcia spowodowane zapiaszczeniem”.

Dało tu o sobie znać stosunkowo krótkie i pobieżne szkolenie strzeleckie, tym bardziej że opanowanie tajników skomplikowanej w sumie broni automatycznej i półautomatycznej wymagało szczególnej uwagi. Poza nadmierną wrażliwością na zabrudzenia SWT miał problem z ekstrakcją łusek po strzale, wynikający z nadmiernego ciśnienia gazów w momencie odryglowywania. Poza tym karabiny wojennej produkcji cechowały się niewątpliwie gorszą jakością wykonania.

Dane taktyczno-techniczne karabinu SWT: kaliber – 7,62 mm, nabój – 7,62 x 54 mm, długość broni – 1226 mm, długość lufy – 625 mm, waga (bez amunicji) – 3,9 kg, zasilanie – magazynek 10-nabojowy (wymienny), prędkość początkowa pocisku – 840 m/s. ©℗

eprasa.pl 33efe048ab

T-34 spod Lenino

W zbiorach MWP w Warszawie znajduje się cenna pamiątka związana z walkami na froncie wschodnim – czołg T-34. W jego karcie katalogowej zapisano: „Szlak bojowy – Smoleńsk – Lenino – Lublin – Warszawa – Bydgoszcz – Gdynia – Gdańsk. Zasługi bojowe: 4 czołgi, 7 bunkrów, 22 różnych dział, 25 C.K.M. Przeszedł w bojach 6269 km". T-34 o numerze 3051391 pochodzi z fabryki nr 112 „Krasnoje Sormowo" w Gorkim i trafił do obozu w Sielcach w lipcu 1943 r. Uzbrojony w armatę kal. 76 mm posiada charakterystyczną odlewaną wieżę z dużym trapezowatym włazem. W skład jego pierwszej załogi weszli: dowódca-celowniczy chor. Wacław Feryniec, mechanik-kierowca kpr. Józef Derlatko, ładowniczy szer. Józef Lisiecki i strzelec-radiotelegrafista Stanisław Pawelczyk. Pod Lenino pojazdowi – noszącemu od sierpnia 1944 r. numer taktyczny 114 – nie udało się sforsować bagnistej Mierei i być może dlatego przetrwał. Wziął udział w kolejnych walkach, a podczas przełamywania Wału Pomorskiego otrzymał trafienie z pancerfausta.

Ślady bitewnych uszkodzeń czytelne są do dzisiaj. Zimą 1945 r. kolejnym dowódcą czołgu został chor. Bolesław Mierzejewski: „W czasie walk w rejonie Żabinek (Wał Pomorski) – czytamy w relacji spisanej w muzeum – został mi przydzielony czołg nr 114 z następującym składem załogi: 1. dowódca czołgu – chor. Bolesław Mierzejewski, 2. mech. kierowca – sierż. Bronisław Rosowiecki, 3. ładowniczy – sierż. Stanisław Stanisz, 4. strzelec-radzista sierż. Stanisław Pawelczyc. Z załogą tą brałem udział w walkach od Wierzchowa do Gdyni-Gdańska, a następnie jako jedyny czołg z działem 76 mm przejechaliśmy z Gdańska do Siedlec. Pozostałe czołgi były z uzupełnienia z działem 85 mm. W roku 1946 pozostający w Brygadzie sierż. Stanisław Stanisz osobiście przygotowywał czołg celem przekazania go do Muzeum WP". ©℗

Mundurowe oszczędności

W początkowym okresie wojny niemieckie umundurowanie i wyposażenie produkowano z materiałów najwyższej jakości. Potem szukano oszczędności, stosując więcej syntetyków. W kurtkach (Feldbluse) rezygnowano z perfekcyjnego wykończenia, ciemnozielonych kołnierzy i naramienników, profilowane klapy kieszeni zastąpiono prostymi etc. Letnie sorty mundurowe produkowano z drelichu, złożone z kurtki (Drillichbluse) o identycznej formie jak wersja sukienna oraz spodni (Drillichhose). Taki komplet ma na sobie żołnierz artylerzysta na zdjęciu. W 1943 r. doszedł także nowy wzór sukiennych spodni, różniący się od poprzedniego zwężającymi się nogawkami zakończonymi troczkami. Wynikało to ze skrócenia cholew butów marszowych (oszczędność materiału), a także coraz powszechniejszego stosowania wiązanych trzewików ze spinaczami. Wprowadzono wtedy także polową czapkę z daszkiem (Einheitsfeldmütze) jak u strzelców górskich, przyjętą w oddziałach z wielkim entuzjazmem. ©℗

Niemieckie ukaemy

W czasie drugiej wojny światowej armia niemiecka dysponowała najlepszą na świecie automatyczną bronią zespołową – karabinami MG 34 i MG 42. Konstruktorem tego pierwszego był Louis Stange z zakładów Rheinmetall. MG 34 był pierwszym uniwersalnym karabinem maszynowym łączącym zalety cekaemu i erkaemu. Dostosowano go do ognia ciągłego i pojedynczego, a zasadę działania oparto na krótkim odrzucie lufy; dodatkowe pchnięcie mechanizmu dawała część gazów prochowych zatrzymanych w stożku wylotowym, który kierował je do tyłu. Przystosowaną do szybkiej wymiany lufę umieszczono w perforowanej osłonie. MG 34 zasilano z magazynków bębnowych lub bezpośrednio z nowoczesnej 250-nabojowej metalowej taśmy nabojowej. Cechą szczególną broni była opcjonalna trójnożna podstawa, która zapewniała doskonałą regulację i kontrolę broni. Realia trwającej wojny zmuszały do oszczędności. Perfekcyjnie wykonanego, ale skomplikowanego i drogiego MG 34 zastąpił MG 42 (na zdjęciu). Prototyp opracowano w 1939 r. w firmie Metall und Lackierwarenfabrik Johannes Grossfuss AG. MG 42. Zastosowano w nim nowatorski sposób ryglowania – rozchylanie symetrycznie rozmieszczonych rygli; rolki umieszczone w tłoku zaporowym rozsuwane były podczas ryglowania skosami klina, a podczas odryglowania zsuwały się dzięki skosom komory zamkowej. Zapewniało to niezawodne działanie, odporność na zanieczyszczenia i wysoką szybkostrzelność sięgającą 1,2 tys. strz./min. ©℗

eprasa.pl 33efe048ab

PRL / Lenino: horror i kłamstwa – mówią świadkowie

Polscy żołnierze w bitwie pod Lenino FOT. DOMENA PUBLICZNA

Budowa mitu

Kamil Anduła

Obraz bitwy wykreowany za pomocą cenzury nijak miał się do wspomnień skrzętnie ukrywanych w wojskowych archiwach i pamięci weteranów

Bitwa pod Lenino, stoczona w dniach 12–18 października 1943 r. pomiędzy sowiecką 33. Armią a niemieckim XXXIX Korpusem Pancernym, była jedną z wielu nieudanych operacji Armii Czerwonej. Ze względu na udział 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki komunistyczna propaganda wykreowała fałszywy obraz tej bitwy, ukrywając prawdę o krwawej ofierze, jaką zapłacili niedoświadczeni żołnierze Dywizji Kościuszkowskiej.

Od 1952 r. rocznica bitwy pod Lenino była świętowana jako Dzień Wojska Polskiego, otrzymała tym samym rangę narodowego symbolu. Liczba wydanych drukiem publikacji poświęconych bitwie pod Lenino jest liczona w setkach. Lwia część literatury to wydawnictwa popularnonaukowe, kierowane do masowego odbiorcy. Wystarczy wspomnieć kieszonkową serię „Żółty Tygrys" czy „Historyczne Bitwy". Lenino szeroko opisał Alojzy Sroga w obszernym reportażu wojennym „Początek drogi. Lenino", który był wzorowany na dziełach Melchiora Wańkowicza. O Lenino traktował nakręcony z patosem film „Do krwi ostatniej" w reżyserii Jerzego Hofmanna.

Obraz Lenino stworzony przez czerwoną propagandę był pozbawiony cech, które obecnie są kojarzone z okrucieństwami wojny. Cenzura uniemożliwiała cytowanie relacji, które zbyt dosadnie opisywały dramat żołnierzy. W zmian za to wplatano w narrację książek anegdoty i dialogi, które nadawały opowieści o Lenino cechy literatury młodzieżowej. Krytykę Armii Czerwonej uważano za zupełnie niedopuszczalną. Z biegiem lat ukształtował się mit Lenino, który nijak miał się do wspomnień świadków skrzętnie ukrywanych w wojskowych archiwach i pamięci weteranów.

Niniejszy artykuł ma na celu przybliżyć te aspekty bitwy pod Lenino, które z powodów cenzuralnych nigdy nie były

eprasa.pl 33efe048ab

ujawniane. Cytowane poniżej relacje w okresie PRL były publikowane po ingerencjach cenzury lub nie mogły ujrzeć światła dziennego.

Furia „Waniuszy"

Planując ofensywę pod Lenino, sowieckie dowództwo zgromadziło ponad 2,5 tys. dział różnego kalibru. Była to siła nieprzeciętna, która powinna zagwarantować żołnierzom 1. DP przewagę w starciu z żołnierzami Wehrmachtu. Plany te pokrzyżowały trudności z zaopatrzeniem. Niemcy, wycofując się na Zachód, pozostawili po sobie „spaloną ziemię", zaś jesienne deszcze zmieniły drogi w rzeki błota. Służby tyłowe nie zdołały dostarczyć wymaganej ilości amunicji artyleryjskiej. Zmusiło to sowieckie dowództwo do zmian w planie użycia artylerii. Dowódca 1. DP, gen. Zygmunt Berling, nie był w stanie nadążyć za kolejnymi modyfikacjami harmonogramu: „Straszliwy chaos zapanował na polu walki. […] Cały rozkład ognia w czasie i przestrzeni poszedł w diabły i każdy obserwator strzelał, jak umiał. Trochę na nieprzyjaciela, trochę po własnej piechocie (Z. Berling, „Wspomnienia", t. 2, Warszawa 1991).

W czasie walki doszło do kilku przypadków ostrzelania własnej piechoty przez sowiecką artylerię. Tak się stało w momencie, gdy żołnierze 1. DP zdobyli ufortyfikowaną wieś Połzuchy, jednak zanim wiadomość o sukcesie dotarła do dowództwa, wieś została zrównana z ziemią przez sowieckie haubice. Chorąży Jan Zawadko, który znajdował się w płonących Połzuchach, nadał dramatyczny meldunek: „Wioska jest wolna. Nasze wojska są w wiosce. Przerwać ogień artylerii, gdyż bije po naszych wojskach". Do analogicznej sytuacji doszło podczas walk o Trigubowo. Gdy polscy żołnierze zdobyli tę wieś, Niemcy wykonali kontratak. Bój „rozstrzygnęła" sowiecka artyleria, która położyła ogień na obie walczące strony. Oficer artylerii, kpt. Leon Dubicki, opisywał: „Po pewnym czasie piechota zaczyna wycofywać się przed Niemcami, rezygnując z walki. W tym momencie na rejon Trigubowa spada potężna nawała ogniowa, odcinając drogę odwrotu naszej piechocie. Wioska (ruiny) i przylegający do niej teren zakryte są zasłoną kurzu i dymu. W ogniu nawały oprócz Niemców giną także nasi żołnierze, którzy bronili jeszcze rejonu wioski. Nawała ogniowa ustaje, kurz i dym opadają. Po kilkunastu minutach wychodzą na północny skraj Trigubowa, posuwają się w kierunku północno-zachodnim, odcinając drogę odwrotu pododdziałom 1. Pułku Piechoty, które były wysunięte do przodu, na zachód od Trigubowa. Pozostali przy życiu żołnierze, broniący Trigubowa i terenu na północny zachód od wsi, zostają wzięci przez Niemców do niewoli".

Jednym z symboli Armii Czerwonej była katiusza – wyrzutnia rakiet zamontowana na ciężarówce, strzelająca rakietami kal. 132 mm. Broń ta była nazywana przez Niemców „organami Stalina", ze względu na przeciągły ryk odpalonych rakiet. Katiusze uczestniczyły w bitwie pod Lenino, ale tylko w liczbie kilkunastu sztuk. Na dużo większą skalę użyto mniej znanych wyrzutni o nazwie Waniusza, strzelających rakietami kal. 300 mm. Te potężne pociski były odpalane ze stacjonarnych skrzyń. W pasie natarcia 1. DP znajdowało się 147 takich wyrzutni. Waniusze były bronią niedoskonałą, nie tylko z powodu niskiej mobilności, lecz także ze względu na słabą celność, o czym boleśnie przekonali się żołnierze 1. DP.

Czołg T-34 FOT. WIKIPEDIA

Tuż po rozpoczęciu bitwy doszło do fatalnej w skutkach pomyłki. Sowieci przedwcześnie odpalili salwę z waniuszy. Wystrzelono 541 rakiet, które spadły na pozycje zajęte już przez polskich żołnierzy. W dokumentach 1. DP zapisano: „Salwa spustoszyła szeregi 1. batalionu, zmuszając go do zatrzymania się na pewien czas". Kapitan Dubicki wspominał: „W pewnej chwili zobaczyłem kpt. Powińskiego niesionego na noszach. Był blady i zakrwawiony. […] Na moje pytanie: „Co się stało?", opowiedział krótko o tym, jak batalion został zmasakrowany przez własną artylerię, a szczególnie przez pociski rakietowe". Pomimo krwawych skutków salwy gen. Berling nie omieszkał podziękować Sowietom za celne wystrzelenie rakiet...

„Piła do kości"

Naprzeciwko 1. DP broniła się niemiecka doświadczona 337. DP. Niemcy okopali się za rzeką Miereją, na umocnionych wzgórzach, z których mieli doskonały wgląd w teren poniżej. Ich pozycje obronne były najeżone karabinami maszynowymi typu MG42, które wśród żołnierzy alianckich cieszyły się ponurą sławą. Szybkostrzelność MG42 przekraczała 1,2 tys. strzałów na minutę, z tego powodu broń była nazywana „piłą do kości", gdyż dźwięk wystrzeliwanych serii nasuwał skojarzenie z pracą piły tarczowej.

Gdy tylko piechota 1. DP ruszyła do ataku, od razu popadła w krzyżowy ogień karabinów maszynowych. Straty potęgowało to, że żołnierze szli wyprostowani, ufni w siłę własnej artylerii. „Po wyskoczeniu z okopu żołnierze w pełen wzrost, równając do prawego szli do przodu, jak na zwyczajnych ćwiczeniach taktycznych. Miało się początkowo wrażenie, że nie było to natarcie na froncie w pierwszej linii, lecz ot, takie sobie, zwyczajne ćwiczenie lub jakieś większe manewry" – zapamiętał plut. Bronisław Jakimowicz (B. Jakimowicz, „Walczyłem pod Lenino", Wrocław 2005). Gdy Niemcy otworzyli ogień, rozpętało się piekło. Szeregowy Daniel Rudnicki wspominał: „Przykuci do ziemi, pod ogniem wroga, leżymy, czekając na nadejście drugiego

eprasa.pl 33efe048ab

rzutu naszych sił. Niemcy biją do nas jak do kaczek. Dookoła słychać jęki, wołania o pomoc. Lżej ranni próbują jakoś sami wypełznąć do tyłu. Batalion poniósł ogromne straty. Dość powiedzieć, że z mojej kompanii, liczącej ok. 120 ludzi, nie znalazłem po bitwie nawet dziesiątki pozostałych przy życiu" („Sztandar Młodych", 1974). Kapral Franciszek Wyrwała opisywał: „Gdy poszliśmy do natarcia i przeszliśmy Miereję, myślałem, że tyraliera zaległa. A to leżeli zabici 1. batalionu. Poruszyłem jednego, drugiego – byli martwi. Podszedłem do jednego rkm-isty i chciałem go o coś zapytać, a on nie odpowiada. Ja patrzę bliżej, a on cały siny i nieżywy". Kapral Stefan Miedziński zapamiętał krajobraz po walce: „Na polu walki widać było nieruchome ciała żołnierzy, którzy polegli. Leżeli w różnych pozycjach, tak jak zastała ich śmierć. Gdzieniegdzie słychać było rannych żołnierzy wzywających pomocy, której nikt nie udzielał. Sanitariusze poginęli lub byli na innych odcinkach walki. Patrzyliśmy na pola zroszone krwią naszych kolegów, którzy pozostali na tym skrawku ziemi na zawsze. Słoneczko okrasiło czerwienią niebo, zapadł zmrok".

Ślepe czołgi

1. Dywizja Piechoty posiadała własny pułk pancerny w składzie 39 czołgów T-34 i T-70M. Na skutek karygodnych zaniedbań kadry oficerskiej czołgi utknęły w torfowisku nad rzeką Miereją. Dopiero następnego dnia bitwy, 13 października, udało się przeprawić czołgi przez błota. Jako że dowódca pułku, ppłk Anatol Wojnowski, był w stanie nietrzeźwym, wejście czołgów nie zostało poprawnie zaplanowane. Nie oznaczono m.in. trasy przejazdu czołgów przez pozycje własnej piechoty. Konsekwencje tego zaniedbania wspominał kpt. Dubicki: „Czołgiści pochłonięci walką w kurzu i dymie nie zwracali zbytniej uwagi na to, gdzie i jak przechodzą przez okopy. W związku z tym było sporo wypadków, że pod gąsienicami czołgów zginęli piechurzy i artylerzyści. Jeden z takich »ślepych« czołgów przejechał przez mój punkt obserwacyjny, przygniatając jednego ze zwiadowców, który zginął pod jego gąsienicami. Żołnierz ten […] leżał na dnie okopu, gdy czołg »przełaził« przez niego, ściana okopu osunęła

Pomnik ku czci Polaków poległych pod Lenino na Powązkach Wojskowych

FOT. PANKRACY/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

się i ziemia »sprasowana« gąsienicami czołgu przygniotła chłopaka". Ofiarą tego wypadku padł także chor. Teodor Kurjanowicz: „Rozpoczęła się straszliwa rzeź, czołgi bowiem – jadąc wzdłuż transzei – miażdżyły kryjących się tam polskich żołnierzy. Przez mój okop przetoczyły się dwa czołgi, cudem uniknąłem śmierci. […] Straciłem pamięć, byłem w szoku, głuchy, poparzony odłamkami, straszliwie poturbowany" („Dziennik Bałtycki", 1973, nr 244).

„Dawaj na Berlin!"

W realiach wojny na froncie wschodnim 1943 r. brutalne obchodzenie się z ujętymi żołnierzami nieprzyjaciela było częstą praktyką. Nie dziwi, że do podobnych przypadków doszło pod Lenino. W początkowych godzinach bitwy udało się żołnierzom 1. DP wziąć do niewoli ok. 80 jeńców. Jak wynika ze sprawozdania ppłk. Franciszka Derksa, czterech niemieckich żołnierzy zastrzelono na miejscu. Kolejnych jeńców rozstrzelały fizylierki z 1. Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. Dokładna liczba zabitych nie jest znana, ale można stwierdzić, że były to raczej pojedyncze przypadki. Większość jeńców została oddana Sowietom. Niekiedy obchodzono się z nimi brutalnie. Kapral Edward Toczek zapamiętał: „Grupa krasnoarmiejców pojawiła się za nami z tyłu i odbierała od naszych konwojentów niemieckich jeńców. Byłem zdziwiony, że nikt nie reaguje ze strony naszych dowódców. Zauważyłem, że na jednym z rannych jeńców, wlekącym się na czworaku, siedzi okrakiem krasnoarmiejec i waląc go po bokach wrzeszczy: »Dawaj na Berlin!«. Mimo że był to wróg, przeklęty faszysta, byłem oburzony, bo z jeńcem tak postępować nie wolno. Oni zamiast walczyć z wrogiem, szwendali się poza naszymi plecami i ograbiali jeńców i o zgrozo, naszych poległych żołnierzy" (E. Toczek, „Spełniłem żołnierski obowiązek", Gdynia 1997).

Tygrysy pod Lenino

Przez lata żołnierze, którzy przeżyli horror pod Lenino, nie mogli szczerze opowiedzieć o swoich traumach. Nawet tendencyjne pamiętniki gen. Berlinga ukazały się drukiem dopiero w latach 1990–1991. Bronisław Jakimowicz i Edward Toczek wydali swoje wspominania jeszcze później. Cytowany kilkakrotnie Leon Dubicki dosłużył się stopnia generała brygady. Swoje wspominania Dubicki opublikował w tomiku serii „Żółtego Tygrysa" pt. „Salwy nad Miereją", jednak komunistyczna cenzura wycięła z tekstu te fragmenty, które odsłaniały prawdziwe oblicze masakry pod Lenino. Cenzurze podlegały nawet edycje źródłowe dokumentów 1 DP, kierowane do wąskiego grona historyków. W wydanej drukiem wersji sprawozdania ppłk. Derksa próżno szukać fragmentów o zabijaniu jeńców. Nierzadko posuwano się do kłamstw. Tak na przykład przy publikacji relacji chor. Kurjanowicza polskie T-34 z 1. DP, które o mały włos nie pozbawiły go życia, zostały zastąpione niemieckimi czołgami typu TYGRYS (sic!), które rzekomo przedarły się na tyły polskich wojsk.

Przez cały okres zimnej wojny sowieccy sztabowcy szykowali się do konfliktu, który miał wybuchnąć pomiędzy NATO a Układem Warszawskim, którego PRL była członkiem. W przypadku wybuchu trzeciej wojny światowej miliony Polaków zostałyby zmuszone do służby w Ludowym Wojsku Polskim. Komunistyczna propaganda ukazywała to zniewolenie jako „sojusz bratnich narodów". Lenino stało się heroicznym mitem, który umacniał rzekomą przyjaźń. Prawda o masakrze pod Lenino była skrywana przede wszystkim przed tymi, którzy w realiach atomowego pola walki mieli podzielić los poległych żołnierzy 1. DP.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł powstał w wyniku realizacji projektu badawczego nr 2017/27/N/HS3/02926 ze środków Narodowego Centrum Nauki w Krakowie. Cytaty bez źródeł zaznaczonych w tekście – WBH-CAW.

eprasa.pl 33efe048ab

Historia

w naszym wydaniu -

PORUSZAJĄCA

I AUTENTYCZNA

HORYZONT znak

eprasa.pl 33efe048ab

Zygmunt Berling, dowódca 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki FOT. DOMENA PUBLICZNA

1939–1944 / Podpułkownik Zygmunt Berling

Chciał być jak Piłsudski

Tomasz Stańczyk

Złamał przysięgę żołnierską, zdradził, zdezerterował. Doprowadziła go do tego niepohamowana ambicja

Zygmunt Berling miał ładną patriotyczną przeszłość. Przed pierwszą wojną światową należał do Związku Strzeleckiego, ukończył kurs podoficerski. Wstąpił do Legionów, był żołnierzem II i III Brygady. Odniósł rany w bojach pod Mołotkowem, Rafajłową w Karpatach i Rudką Miryńską na Wołyniu. Po przebiciu się części II Brygady pod Rarańczą znalazł się wśród internowanych legionistów. W listopadzie 1918 r. rozpoczął służbę w Wojsku Polskim w stopniu porucznika. Brał udział w wojnie z Ukrainą, a następnie z bolszewicką Rosją.

W latach 1925–1925 Berling studiował w Wyższej Szkole Wojennej i po jej ukończeniu znalazł się w elitarnej grupie 1,2 tys. oficerów dyplomowanych. Był dobrze oceniany. Opinia szkolna stwierdzała: „Bardzo dobry oficer. Charakter spokojny i pewny. Pracowity, sumienny, jednak nieco powolny. Doświadczony, ma praktykę w dowodzeniu. Posiada sąd, decyzję i zimną krew, czasami brak mu giętkiego umysłu. Nie osiągnął takich rezultatów, jakich można było się spodziewać po jego lokacie osiągniętej przy egzaminie wstępnym". Opinia służbowa: „Bardzo dobry. Indywidualność silna, duża energia i inicjatywa, opanowany, stanowczy, bardzo ambitny w pracy. Oficer zdolny o zdrowym zmyśle taktycznym. Samodzielny, duży zmysł organizacyjny i kierowniczy" (za: P. Stawecki, „Oficerowie dyplomowani wojska Drugiej Rzeczypospolitej").

Podczas przewrotu majowego Berling opowiedział się po stronie marszałka Piłsudskiego. Awansował do stopnia podpułkownika, dowodził 6. Pułkiem Piechoty w elitarnej 1. Dywizji Piechoty Legionów, a następnie w ostatnich dwóch latach przed wybuchem wojny – 4. Pułkiem Piechoty Legionów. Jednak ten ostatni pułk zbierał złe oceny, co było wynikiem zaniedbań dowódcy w zakresie szkolenia i dyscypliny w jednostce. Generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz, inspekcjonujący pułk, postawił wniosek o pozbawienie Berlinga dowództwa.

Zapewne nie miała na to wpływu sprawa przed oficerskim sądem honorowym, rzucała ona jednak złe światło na Berlinga. Rozstając się z żoną, wziął od znajomej Rumunki pochodzenia węgierskiego pieniądze na koszty postępowania rozwodowego, nie chciał ich zwrócić, lecz nakłonił Rumunkę do małżeństwa. Traktował ją źle, izolując od znajomych. Relacjonujący historię małżeństwa gen. Tokarzewski pisał: „W swoich zeznaniach tłumaczył to Berling rzekomym wyśmiewaniem się z niego kolegów, że się ożenił z Rumunką, ona jednak zarzucała mu, że zrobił to, chcąc zabezpieczyć

eprasa.pl 33efe048ab

sobie swobodę współżycia z jakimiś innymi paniami, na finansowanie potrzeb których brał od niej pieniądze".

Tokarzewski, po lekturze akt sprawy i rozmowach z Berlingiem, doszedł do wniosku, że był on „na pewno winien wprowadzenia jej [żony – przyp. red.] w błąd co do swoich uczuć do niej oraz tego, że również świadomie, stosując coraz inną taktykę postępowania, chciał od żony wydobyć maksimum pomocy finansowej do przeprowadzenia rozwodu, a potem do innych swoich czy swojej rodziny potrzeb" (za: D. Bargiełowski, „Konterfekt renegata").

Ścieżka zdrady

W kwietniu 1939 r. Berling, po złożeniu wniosku o zwolnienie go z wojska, zdał dowództwo pułku, odszedł następnie z wojska na posadę w Państwowym Instytucie Rozrachunkowym. We wrześniu 1939 r. nie został powołany do służby wojskowej, choć – jak utrzymywał – starał się o to. Zamieszkał w Wilnie, lecz nie wstąpił do tworzącej się tam wojskowej konspiracji. Zgłosił się natomiast do władz sowieckich, gdy zarządziły rejestrację polskich oficerów. I wtedy już – zdaniem Daniela Bargiełowskiego, autora książki „Konterfekt renegata" – Berling złożył jakąś ofertę współpracy. Pisał bowiem we wspomnieniach o swoich rozmowach z sowieckim wyższym oficerem: „W końcu zapytał jednak, jak ja sobie tę współpracę czy współdziałanie wyobrażam. Odpowiedziałem mu, że sam jeszcze tego nie przemyślałem i bardzo trudno dać mi od razu konkretną odpowiedź". Wkrótce potem Berling został przewieziony do obozu w Starobielsku. Być może po to – jak przypuszczał Bargiełowski – by spośród więzionych tam oficerów – wyłowić takich, którzy również będą skłonni do „współpracy czy współdziałania z Sowietami". W Starobielsku, jak pisał historyk Stanisław Jaczyński: „Podpisał deklarację lojalności i zgodę na prowadzenie działalności wywiadowczej na rzecz Związku Radzieckiego w razie przerzucenia go na obszar okupacji niemieckiej. NKWD miało powody uważać go od tej pory za swojego człowieka". Była to oczywiście jawna zdrada.

Zygmunt Berling był wśród garstki spośród ok. 3,9 tys. więźniów Starobielska, których nie rozstrzelano. Wszyscy więźniowie byli przesłuchiwani, zanim zapadła decyzja w ich sprawie, wypełniali też ankietę, w której mieli odpowiedzieć na pytanie, dokąd chcą się udać, jeśli zostaną zwolnieni z obozu. Nieliczna grupa, ok. 60 osób, zadeklarowała chęć pozostania w ZSRS. I ci nie zostali rozstrzelani. Nie znaczy to jednak – jak podkreślał Bargiełowski – prosowieckich motywacji u wszystkich. Część oficerów mogła chcieć powrotu do domu znajdującego się na terenie pod okupacją sowiecką.

Spośród ok. 400 oficerów, którzy nie zostali rozstrzelani, nieliczna grupa deklarowała chęć wojskowej współpracy z Sowietami, należał do nich Berling. Był wśród kilku oficerów, których w październiku 1940 r. przewieziono do Moskwy na rozmowy z Berią, szefem NKWD, i jego zastępcą Mierkułowem. Oficerowie ci zadeklarowali nie tylko, że chcą walczyć o wyzwolenie Polski spod okupacji niemieckiej – w polskiej formacji, lecz także, że będą czynić wysiłki na rzecz przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Sowieckim.

Najambitniejszy w tej grupie był ppłk Berling. Pisał o nim Daniel Bargiełowski, że „był przekonany święcie o tym, że z mandatu bolszewii stanie się wkrótce dla swych rodaków mężem opatrznościowym. Drugim jakby wcieleniem marszałka Piłsudskiego".

Berling i jego współtowarzysze zostali umieszczeni w willi NKWD w Małachówce, trafiło tam kilkunastu oficerów, w tym tych o przekonaniach komunistycznych. „Oficerowie przebywający w Małachówce zostali poddani intensywnej indoktrynacji komunistycznej. Berling ustalił program zajęć, które miały wypełnić referaty z historii i życia Związku Radzieckiego oraz studia nad dziejami partii komunistycznej" – pisał Stanisław Jaczyński.

Kilkanaście dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej politbiuro zadecydowało o formowaniu polskiej dywizji w składzie Armii Czerwonej. A gdy wojna się rozpoczęła, grupa kilku oficerów, wśród których był Zygmunt Berling, wystosowała oświadczenie do władz sowieckich, nazywając się oficerami byłej armii polskiej. „Jako członkowie jednego z narodów uciśnionych przez faszystowskiego agresora jedyną drogę do wyzwolenia narodu polskiego widzimy we współpracy ze Związkiem Socjalistycznych Republik Rad, w ramach którego ojczyzna nasza będzie się mogła w sposób pełnowartościowy rozwijać" – stwierdzali.

Tak więc Berling i jego kompani uznali za oczywistość, że Polska stanie się jedną z sowieckich republik, i godzili się z tym. Oświadczenie kończyło się hołdem dla Sowietów: „Niech żyje ZSRR – ojczyzna pracujących całego świata! Niech żyje wyzwolenie uciśnionych przez faszyzm narodów! Niech żyje genialny wódz ludu pracującego i narodów uciśnionych tow. Stalin!". Sygnatariusze, widząc, że Sowieci porzucili tymczasowo plan powierzenia im zorganizowania polskiej dywizji, zadeklarowali gotowość wstąpienia do Armii Czerwonej.

W armii Andersa

Na mocy polsko-sowieckiego układu, zawartego w lipcu 1941 r., zaczęła powstawać w Związku Sowieckim polska

Wanda Wasilewska, Alfred Lampe i Zygmunt Berling FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 33efe048ab

armia. Jej dowódca, gen. Władysław Anders, wiedział o postawie ppłk. Berlinga i jemu podobnych, przyjął ich jednak do wojska. Nie chciał odmową drażnić Sowietów, a ci niedwuznacznie dawali do zrozumienia lub wprost to mówili, że nie ma powodu, by nie przyjmować do polskiego wojska zwolenników sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Oficerowie z Małachówki zostali zobowiązani do złożenia oświadczeń w sprawie ich zachowania się w niewoli. Berling złożył pokrętne oświadczenie: „Po przewiezieniu do Małachówki, gdzie byłem wraz z innymi kolegami, zajmowałem się pracą wojskową i czytałem literaturę polityczną". Przyznał się do tego, że zadeklarował chęć wstąpienia do Armii Czerwonej i że widzi konieczność współpracy ze Związkiem Sowieckim.

Berling został szefem sztabu 5. Dywizji Piechoty, z której to funkcji został odwołany, gdyż – jak pisał Bargiełowski – mimo zakazu poinformował sowieckiego oficera łącznikowego o rozmowie, którą miał odbyć dowódca dywizji z cywilnymi władzami sowieckimi. To był jednak drobiazg wobec faktu, że Berling pojechał do Moskwy i spotkał się z Mierkułowem, by powiadomić go o sprawach formowania armii i nastrojach w niej panujących. Z drugiej strony napisał list do gen. Sikorskiego z donosem na gen. Andersa, że ten agituje przeciw Naczelnemu Wodzowi i prowadzi propagandę antysowiecką. Co więcej, list ten pokazał oficerowi NKWD, a ten zażądał wprowadzenia poprawek.

„Jeśli ktoś miał do tej pory jakieś wątpliwości – pisał Bargiełowski – czy późniejszy organizator dywizji »kościuszkowskiej« był sowieckim pachołkiem, to otrzymuje w tym momencie od samego zainteresowanego dowód, z którego niezbicie wynika, że sowieckim pachołkiem on był".

W marcu 1942 r. Berling został komendantem bazy ewakuacyjnej w Krasnowodzku. Jak pisał Bargiełowski, oskarżano go o trwonienie zmagazynowanych dóbr i niedopuszczenie do wywozu tysięcy sztuk odzieży wojskowej.

Berling nie opuścił Związku Sowieckiego. Z jednej strony, jak wspominał gen. Zygmunt Szyszko-Bohusz, było to zgodne z przekazaną dowództwu armii sugestią generała NKWD Żukowa, z drugiej – zdaniem Bargiełowskiego – Berling bał się o własną skórę, gdy opuści Kraj Rad. „Pamiętamy wszak, przed czym ostrzegał swoich wspólników: »dostaniecie kulkę w łeb na pustyni albo zgnoją was w kryminale«. Otóż tego samego bał się panicznie w stosunku do swojej osoby. Zabrakło mu odwagi cywilnej. Zląkł się przyjęcia odpowiedzialności za dotychczasowe wyczyny. Zwyczajnie – stchórzył przed prawem". Albo samosądem.

Pomnik Zygmunta Berlinga w Warszawie, usunięty w 2019 r. FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIPEDIA

W 1943 r. Berling został skazany za dezercję na karę śmierci przez sąd wojskowy.

Ambicje i rywalizacja

W tym samym roku Berling został dowódcą 1. Dywizji im. Kościuszki i otrzymał od władz sowieckich stopień generała. Nie tylko nie uśmiechała się mu rola marionetki w rękach polskich komunistów, lecz także miał ogromne ambicje odegrania wielkiej roli w powojennej Polsce. Dlatego też podpisał się oburącz pod tzw. tezami numer 1, przewidującymi powstanie ustroju „zorganizowanej demokracji", w której armia miałaby ważne znaczenie. W tezach sformułowanych przez oficerów politycznych Włodzimierza Sokorskiego i Jakuba Prawina kierownictwo polskich komunistów dopatrzyło się – jak wspominał Jakub Berman w rozmowie z Teresą Torańską – „recydywy ciągot legionowych z czasów Piłsudskiego". Co więcej, tezy nic nie mówiły o roli partii komunistycznej. Sokorski i Prawin musieli się pokajać przed współtowarzyszami.

Berling znalazł się w ostrym konflikcie z najważniejszymi komunistami, z Wandą Wasilewską na czele. We wspomnieniach pisał o niej i jej towarzyszach: „Oto renegatka, kryminalistka, półgłówek i nieokrzesany nieuk i cham tworzą parawan, za którym elita wybranego narodu: Berman, Zambrowski, Minc i Szyr... Oni wiedzieli, jak przystąpić do dzieła. Nie zapomnieli dewizy Lampego, że masa to bydło, które musi być prowadzone na dobrym łańcuchu". Wasilewska zaś uważała Berlinga za nacjonalistę marzącego o roli dyktatora.

Zygmunt Berling został pozbawiony dowództwa 1. Armii Wojska Polskiego po nieudanym desancie żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego we wrześniu 1944 r. z pomocą dla powstańców w Warszawie. Ale to nie niepowodzenie ani złe dowodzenie tą operacją było przyczyną odwołania ze stanowiska ani też rzekoma samodzielna inicjatywa Berlinga. Desant odbył się za wiedzą i zgodą Stalina, a może nawet z jego inspiracji. Sowiecki dyktator wiedział, że przeprawa na drugi brzeg Wisły zakończy się katastrofą, ale mógł wykazać się przed zachodnimi aliantami, że – choć uważał powstanie za „awanturę" – chciał jednak pomóc żołnierzom Armii Krajowej.

Ostatnim aktem walki Berlinga o swoją pozycję, wkrótce po odwołaniu go ze stanowiska, był list do Stalina, w którym błagał go, by uwolnił Polskę od „bandy trockistów". Było to ciężkie oskarżenie, za „trockizm" skazywano w latach 30. w Związku Sowieckim na karę śmierci. Berman wspominał, że cios był wymierzony w niego, Minca i Zambrowskiego, komunistów pochodzenia żydowskiego. Stalin uznał jednak, że nie może się bez nich obyć podczas sowietyzacji Polski. W rewanżu sterowany przez komunistów PKWN stwierdził, że „gen. Berling swoim postępowaniem ujawnił swoje wrogie demokracji polskiej oblicze, postawił siebie poza nawiasem demokracji polskiej walczącej o wyzwolenie Polski".

Berling został więc zesłany do Moskwy na studia w akademii wojskowej. I tak skończyły się jego marzenia o podobnej roli, jaką odegrał Józef Piłsudski w pierwszych latach niepodległości.

Do kraju wrócił w 1947 r., ale nie odegrał już żadnej politycznej roli. Został komendantem Akademii Sztabu Generalnego. Po 1956 r., gdy jego główni antagoniści odeszli z władz, był wiceministrem leśnictwa i prezesem Polskiego Związku Łowieckiego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Już 21 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek

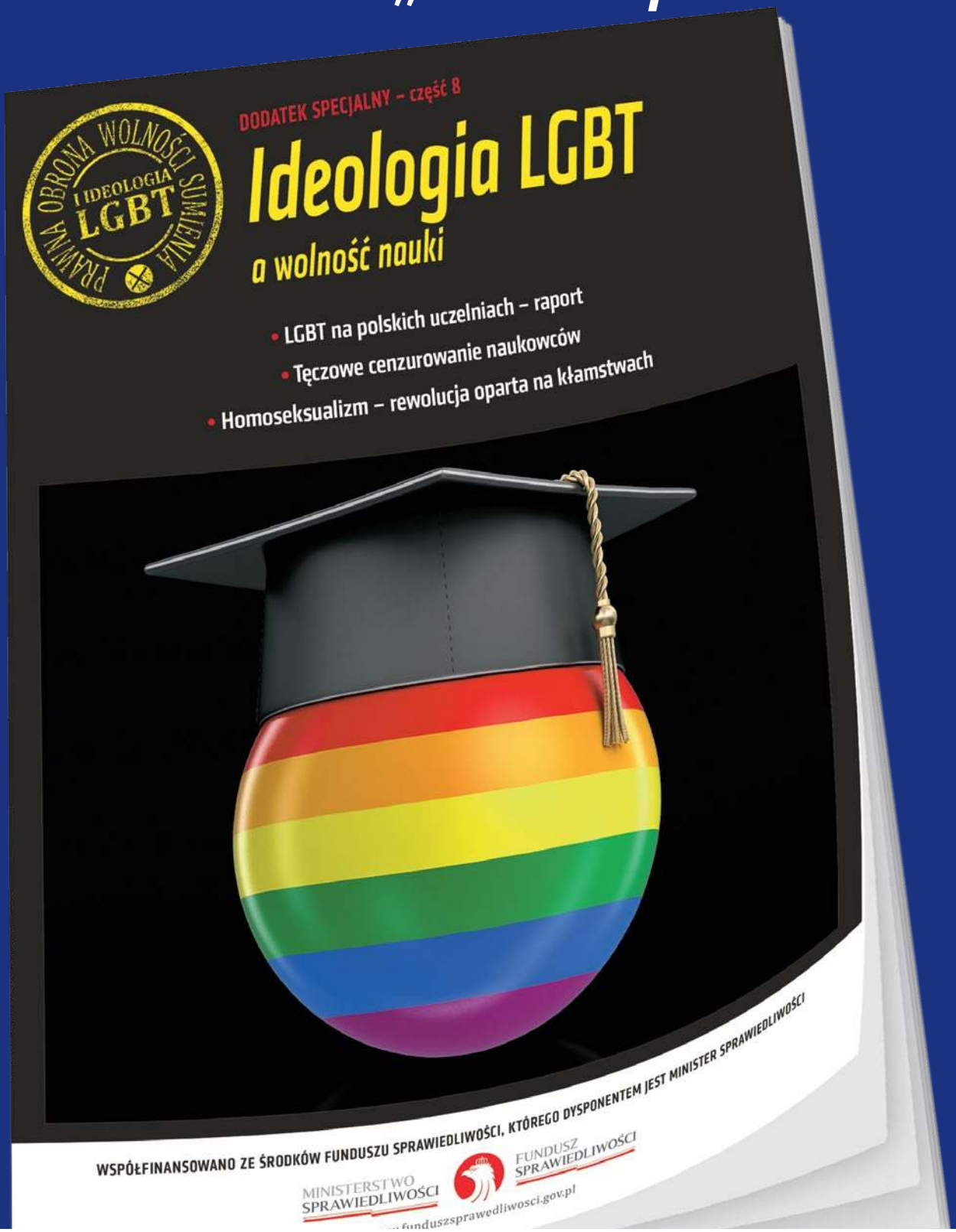

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 33efe048ab

1944–1945 / Od Sielc za Odrę pod bokiem Armii Czerwonej

Na szlaku LWP

Obraz Józefa Młynarskiego pt. „Zwycięstwo, Berlin 1945" FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Paweł Piotrowski

Tzw. Ludowe Wojsko Polskie swój szlak bojowy zakończyło w Berlinie. Dowodzone w sposób dyletancki, poniosło olbrzymie straty

Dzieje tzw. Ludowego Wojska Polskiego swój początek biorą od stworzenia zalążków tego nowego wojska, czyli 1. Dywizji Piechoty w obozie sieleckim nad Oką. Wykorzystana propagandowo bitwa pod Lenino miała uwiarygodnić tę armię w oczach społeczeństwa polskiego. W czasie, gdy 1. Dywizja krwawiła nad Miereją, w Sielcach formowano dwie kolejne dywizje, które tworzyły tzw. 1. Korpus Polski w ZSRS, a po przejściu na tereny Ukrainy, w marcu 1944 r., sformowano Armię Polską w ZSRS, liczącą cztery dywizje piechoty, brygady: pancerną, kawalerii, saperów oraz cztery brygady artylerii.

Armią dowodził gen. Zygmunt Berling, a zastępcami zostali gen. Karol Świerczewski i płk Aleksander Zawadzki. Większość kadry dowódczej stanowili oficerowie Armii Czerwonej, wielu z nich miało wprawdzie polskie korzenie, lecz zostali oni ukształtowani w systemie komunistycznym, związani z sowiecką kulturą i cywilizacją. W korpusie oficerów polityczno-wychowawczych większość stanowili przedwojenni polscy komuniści, którzy w czasie wojny znaleźli się na terenie ZSRS. Była to grupa, którą z nowym systemem spajała nie tylko wyznawana wiara w komunizm, lecz także, o czym się obecnie zapomina, współpraca agenturalna z organami NKWD i kontrwywiadu wojskowego Smiersz. W armii tej znalazło się zaledwie kilku przedwojennych oficerów WP, takich jak Berling czy płk Bukojemski.

Do szeregów wcielono żołnierzy Września, którzy nie „zdążyli do Andersa", oraz młodzież z terenów wschodnich Rzeczypospolitej. Wśród podoficerów było sporo przedwojennych, natomiast stanowiska specjalistyczne w broni pancernej, jednostkach artylerii czy łączności zajmowali żołnierze Armii Czerwonej. W armii dominowały wzory sowieckie, na których oparte było szkolenie czy regulaminy. Jedynie zewnętrznie, w umundurowaniu, to nowe wojsko miało przypominać Polskie.

Od Bugu do Pomorza

W lipcu 1944 r. I Armia przekroczyła Bug i weszła na tereny tzw. Polski Lubelskiej. Okazało się, że społeczeństwo jest bardzo nieufnie nastawione do nowej władzy. Jednocześnie na władzy komunistycznej ciążyło ważne zadanie sformułowane przez Stalina: zapewnie-

eprasa.pl 33efe048ab

nie rekruta dla formowanego tzw. Frontu Polskiego, który miał składać się z trzech armii oraz korpusu pancernego. Aby go pozyskać, PKWN nakazał dekretem rejestrację wszystkich mężczyzn w wieku poborowym. 21 lipca 1944 r. dekretem Krajowej Rady Narodowej dokonano scalenia działającej w kraju komunistycznej partyzantki – Armii Ludowej z Armią Polską w ZSRS, w jednolite Wojsko Polskie. W tym czasie siły Armii Czerwonej i NKWD przystąpiły do rozbrajania oddziałów Armii Krajowej, wielu oficerów aresztowano, a żołnierzy kierowano do punktów formowania armii Berlinga. W sierpniu 1944 r. rozpoczęto formowanie 2. Armii WP oraz sztabu tzw. frontu polskiego, a we wrześniu rozpoczęto formowanie 3. Armii.

Działo się to w wielkim pośpiechu. Na formowanie dowództw wyznaczono miesiąc, ale napotkano na sprzeciw społeczeństwa. Wprawdzie oficerów nie brakowało, Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej do służby w „polskiej" armii kierowało ich wystarczającą liczbą, powstało nawet określenie „pop", czyli pełniący obowiązki Polaka, ale barierą była niewystarczająca liczba rekruta. Powszechna nieufność społeczeństwa oraz nasilający się terror wobec działaczy podziemia, a także fatalne warunki bytowe w formowanych jednostkach wywołały masowe dezercje. Najbardziej znanym przykładem tego zjawiska była 13 października masowa ucieczka niemal całego 31. Pułku Piechoty. Za winnych takiego stanu rzeczy uznawano żołnierzy wywodzących się z AK, w związku z czym Informacja Wojskowa rozpoczęła ich masowe aresztowania. W końcu jednak – z braku rekrutów – musiano zrezygnować z formowania Frontu oraz 3. Armii.

W czasie, kiedy trwało formowanie nowych związków taktycznych i oddziałów na zapleczu frontu, 1. Armia przystąpiła do działań bojowych. W końcu lipca próbowała bezskutecznie zdobyć przyczółki nad środkową Wisłą pod Dęblinem i Puławami. Następnie częścią sił przeszła na przyczółek warecko-magnuszewski, powstrzymując niemieckie próby jego likwidacji. W walkach tych odznaczyła się, w bojach z elitarną dywizją Herman Göring, 1. Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte. Następnym zadaniem bojowym 1. Armii było zajęcie prawobrzeżnej Warszawy w połowie września. Po jej zajęciu żołnierze stanęli

nad brzegiem Wisły, oddzielającej ich od krwawiącej powstańczej Warszawy. Tu rozegnał się dramat prób przyjścia powstańcom z pomocą. Do dziś nie jasny jest zamiar tego boju. Wbrew wielu opiniom dowódca gen. Berling miał zezwolenie na forsowanie Wisły.

Przypomnieć należy, że 1. Frontem Białoruskim dowodził wówczas urodzony w Warszawie marsz. Konstanty Rokossowski. I chociaż Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej odrzuciło jego plan operacji zajęcia Warszawy z przyczółka warecko-magnuszewskiego, w zarządzeniu z 15 września zezwolił 1. Armii na rozpoznanie lewego brzegu Wisły w celu uchwycenia przyczółków. Zapoczątkowało to krwawe, trwające osiem dni walki, głównie na Czerniakowie, ponieważ próby desantu na Żoliborzu zostały szybko przez Niemców zniweczone. Szczególnie wysokie straty poniosła 3. Dywizja Piechoty, ale przyczółka czerniakowskiego, gdzie walczono ramię w ramię z powstańcami, nie udało się utrzymać. Przyczyny tego nie należy szukać, jak często się pisze, w braku wyszkolenia żołnierzy, pochodzących w większości ze wsi, w walkach miejskich, lecz przede wszystkim w braku wsparcia ze strony Armii Czerwonej, zwłaszcza lotniczego i artyleryjskiego. Pośrednim efektem porażki było zdjęcie ze stanowiska gen. Berlinga, zastąpił go oficer sowiecki polskiego pochodzenia – gen. Stanisław Popławski.

Ostatnie walki 1. Armia stoczyła w październiku na północ od Warszawy, zajmując Legionowo, potem nastąpiła pauza operacyjna. W tym czasie Niemcy systematycznie równali Warszawę z ziemią. Działania bojowe wznowiono 14 stycznia 1945 r., kiedy to ruszyła gigantyczna sowiecka ofensywa, której celem było zajęcie Berlina. 1. Armia ze względów propagandowych uczestniczyła w zajęciu ruin Warszawy, a następnie posuwała się na zachód w drugim rzucie sił 1. Frontu Białoruskiego marsz. Gieorgija Żukowa. Dopiero w pierwszych dniach lutego nawiązano kontakt bojowy z Niemcami, pod Jastrowiem na Pomorzu. Był to wstęp do długotrwałych i krwawych walk o przełamanie tzw. Wału Pomorskiego.

Należy podkreślić, że choć rozpoznanie poznało niemieckie umocnienia, to informacje te nie dotarły do sztabu 1. Armii. Zatem gen. Popławski nieświadomy tego, jaka czeka armię przeprawa, nakazał atak dywizjom wspieranym zaledwie przez lekką artylerię pułkową o trakcji konnej, ponieważ artyleria dywizyjna i ciężka utknęła pod Bydgoszczą z braku paliwa. Nie dziwi, że podejmowane ataki z marszu były rozbijane przez niemiecką obronę. Z przełamaniem Wału Pomorskiego wiąże się także tragedia w Podgajach, gdy żołnierze Waffen-SS spalili w stodole 32 polskich jeńców.

Dopiero po podciągnięciu artylerii w krwawych walkach udało się przełamać niemiecką główną pozycję, lecz Niemcy nadal bronili się na pozycji ryglowej. Zatem pomimo dobrego dowodzenia, Popławskiemu nie udało się osiągnąć zamierzonego celu. Przyczyną

eprasa.pl 33efe048ab

Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ponownie był brak wsparcia ze strony Armii Czerwonej.

W czasie gdy 1. Armia krwawiła podczas przełamania Wału, dysponując wsparciem zaledwie 1. Brygady Artylerii Ciężkiej, cała 2. Dywizja Artylerii wspierała walczące sąsiednie armie sowieckie. Kolejną operację – zajęcia Pomorza – 1. Armia rozpoczęła na początku marca i 7 marca podeszła do Kołobrzegu, który miała zająć z marszu. Zawiodło rozpoznanie, które nie wykryło, że Niemcy od końca 1944 r. przygotowywali miasto do obrony. Pierwsze ataki zostały krwawo odparte i rozpoczęło się oblężenie, zakończone w nocy z 17 na 18 marca 1945 r. zajęciem miasta i portu. Chociaż szturm Kołobrzegu urósł w propagandzie do rangi mitu zwieńczonego zaślubinami z morzem, to przyznać należy, że obrona niemiecka spełniła swoje zadanie, polegające na ewakuacji ludności cywilnej i znajdujących się w mieście żołnierzy. Ponownie dał o sobie znać brak odpowiedniego wsparcia. Udział w walkach na Pomorzu wzięła także 1. Brygada Pancerna, która – wydzielona ze składu 1. Armii – walczyła w Gdyni i na Kępie Oksywskiej. Poniosła przy tym tak duże straty, że 7 kwietnia przegrupowana do Gdańska, pozostała tam do końca wojny i nie wzięła już udziału w walkach.

Krwawe ostatki

Ostatnim zadaniem 1. Armii był udział w operacji berlińskiej. Pierwotnie Berlin miał być zajęty w trakcie ofensywy styczniowej, lecz silny opór Niemców na Pomorzu spowodował konieczność zwrócenia głównego 1. Frontu Białoruskiego na północ. 1. Armia została skoncentrowana w pierwszym rzucie nad Odrą, na północ od Berlina, i 16 kwietnia sforsowała rzekę. Następnie, tocząc z reguły pomyślne boje, posuwała się równinami Brandenburgii i 3 maja osiągnęła Łabę, na której drugim brzegu stali już Amerykanie. Bardzo szybko przyszedł rozkaz do przegrupowania sił Armii na południe od Berlina, nasiliły się bowiem ucieczki żołnierzy do Amerykanów.

Ważny propagandowo był udział 1. Dywizji Piechoty oraz kilku innych oddziałów w końcowej fazie szturmu Berlina. Oddziały dywizji działały w zachodniej części miasta, od Zoo Platz, Politechniki, na osi Tiergarten i dotarły do Bramy Brandenburskiej, na której zawieszono nawet biało-czerwony sztandar, którzy szybko został zdjęty, nie zachowała się nawet jedna fotografia.

Kiedy koniec wojny wydawał się sprawą najbliższych dni, rozpoczęła się tragedia 2. Armii WP, dowodzonej przez gen. Karola Świerczewskiego. Sformowana w końcu 1944 r. na terenach tzw. Polski lubelskiej, posuwała się marszami na zapleczu frontu, najpierw na Pomorze, potem skierowano ją pod Wrocław, w którego zdobyciu miała wziąć udział, w końcu przegrupowano ją nad Nysę Łużycką. Działając w składzie 1. Frontu Ukraińskiego marsz. Iwana Koniewa, otrzymała zadanie ataku w kierunku na Drezno. Dysponowała dużo większą siłą od 1. Armii, wspierały ją bowiem 1. Korpus Pancerny oraz 2. Dywizja Artylerii, nic zatem nie zapowiadało tragedii.

Rozpoczęte 16 kwietnia natarcie przebiegało początkowo bez problemów. 1. Korpus Pancerny szybko przełamał obronę i rozpoczął pościg w kierunku Drezna, do którego przedmieść wkrótce dotarł. Tym samym pomiędzy Korpusem a jednostkami 2. Armii wytworzyła się luka, w którą uderzyły poważne siły niemieckie z grupy feldm. Ferdinanda Schörnera. Na domiar złego atakująca na lewym skrzydle sowiecka 52. Armia doszła zaledwie do przedmieść Budziszyna. Chaos pogłębił brak łączności, powszechnie bowiem wykorzystywano łączność kablową, a nie radiową. Gdy przerwano linie łączności, w ręce niemieckie wpadli łącznicy, którzy przewozili plany odwrotu wysforowanych najdalej na zachód dywizji. W efekcie 2. Armia poniosła wielkie straty, a 5. i 8. Dywizje zostały rozbite. Była to klęska, za którą odpowiadał nieudolnie dowodzący, wiecznie pijany Świerczewski.

Podsumowując udział ludowego Wojska Polskiego w działaniach wojennych, można stwierdzić, że choć żołnierz bił się dzielnie, to często był dowodzony przez niekompetentnych dowódców, którzy, według wzorów wyniesionych z Armii Czerwonej, nie liczyli się ze stratami. Regularnie brakowało wsparcia sił lotnictwa i artylerii, co przynosiło możliwe do uniknięcia straty. Porównując to z działaniami Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, widać przepaść w umiejętnościach dowódców, wyposażeniu technicznym, możliwościach wsparcia. To przekładało się zaś bezpośrednio na liczbę strat.

Straty Ludowego Wojska Polskiego – począwszy od Lenino, a skończywszy na końcu wojny – oszacowano na niemal 27 tys. żołnierzy, w tym 15 tys. poległych, 3 tys. zmarłych z ran, 1,8 tys. zmarłych w wyniku chorób, 6,7 tys. zaginionych bez wieści. Najkrwawszą ze stoczonych bitew była bez wątpienia operacja budziszyńska, w czasie której łączne straty bezpowrotne 2. Armii WP wyniosły prawie 8 tys. żołnierzy (4,3 tys. poległych, 566 zmarłych z ran, 2798 zaginionych). Dla porównania straty 1. Armii WP w operacji berlińskiej wyniosły ponad 4 tys. żołnierzy, a w trakcie przełamania Wału Pomorskiego ok. 6 tys. żołnierzy. Mniej – 3 tys. żołnierzy – 1. Armia straciła podczas walk o przyczółki warszawskie, a straty bezpowrotne podczas walk o Kołobrzeg wyniosły 1,5 tys. żołnierzy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Już 7 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek

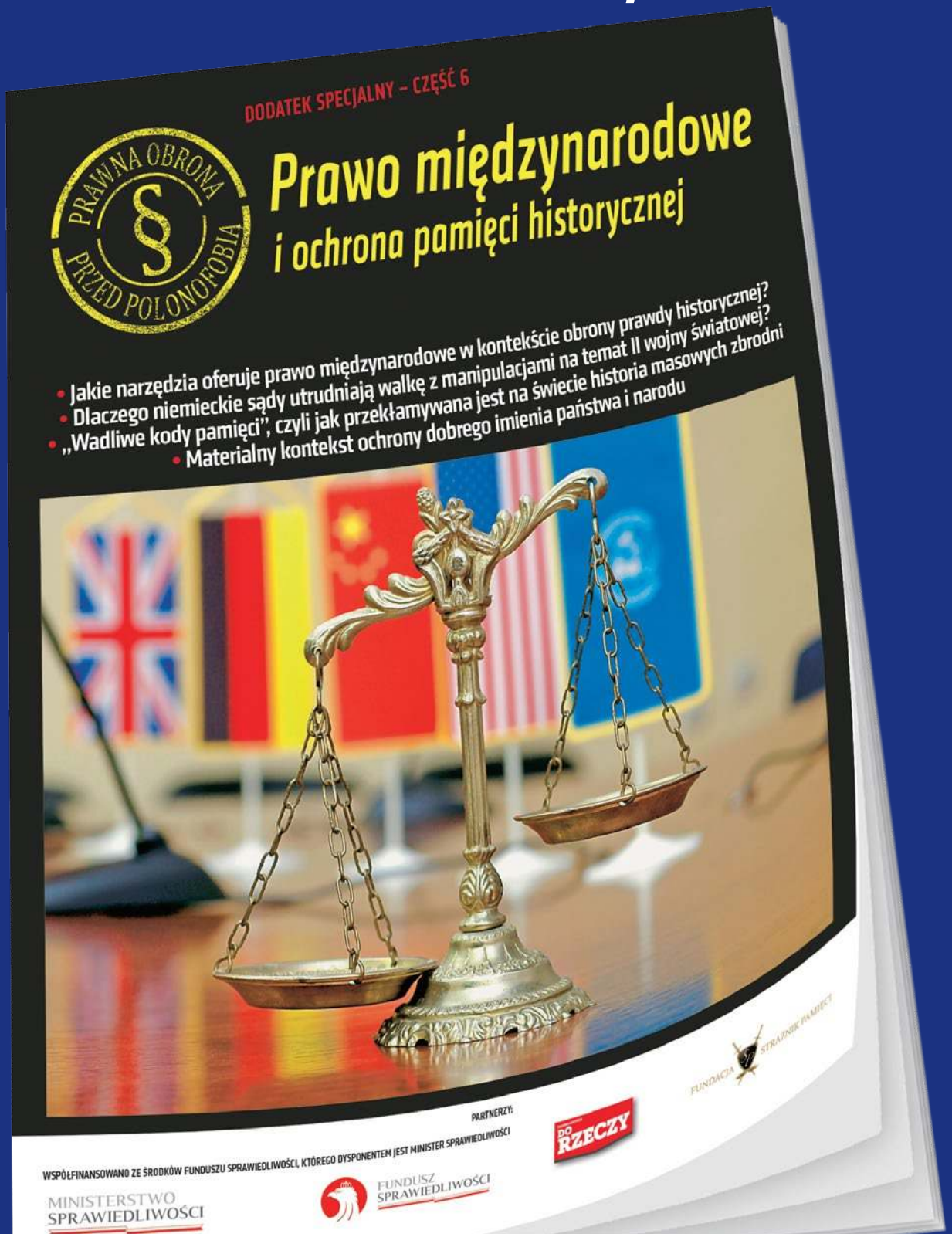

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 33efe048ab

Hanna Hirszfeldowa FOT. DOMENA PUBLICZNA

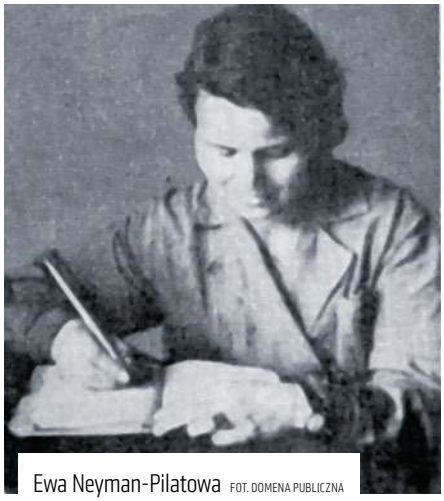
Ewa Neyman-Pilatowa FOT. DOMENA PUBLICZNA

Danuta Przeworska-Rolewicz FOT. IM PAN

Kobiety

w „Słowniku polskich i związanych z polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki”

Instytut Pamięci Narodowej przystępuje obecnie do cyfryzacji zbiorowego dzieła pt. „Polski wkład w przyrodoznawstwo i technikę. Słownik polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki”, powstałego w środowisku związanym z Instytutem Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk, a złożonego z pięciu tomów wydanych w latach 2015–2019 przy udziale ponad 100 autorów, w większości profesjonalnie zajmujących się historią nauki. W tomie piątym znajduje się próba oceny statystyczno-historycznej prezentowanych w słowniku postaci, ze szczególnym uwzględnieniem występujących w biogramach kobiet. Redakcja słownika dokonując doboru postaci w nim występujących, nie brała w żadnym stopniu pod uwagę spraw związanych z płcią. Jednak obecnie w związku ze wzmożonym zainteresowaniem tego rodzaju problematyką uważamy za zasadne zajęcie się nią bliżej. Temu celowi ma służyć poniższa prezentacja.

Przydzielając biogramy zasłużonym dla polskiego wkładu w przyrodoznawstwo i technikę kobietom, nie stosowaliśmy taryfy ulgowej. Ponad 20 zasłużyło na takie wyróżnienie. Zbliżona liczebnie grupa została odnotowana w hasłach poświęconych mężczyznom jako kompetentne, wspierające ich merytorycznie współpracowniczki. Zazwyczaj były to żony badaczy.

Zacznijmy więc od owego tradycyjnego patriarchalnego modelu. Znakomitemu gdańskiemu astronomowi Janowi Heweliuszowi (1611–1687), pionierowi naukowego badania powierzchni Księżyca oraz komet, towarzyszyła od 1663 r. w badaniach teleskopowych nieba druga żona, Katarzyna Elżbieta z domu Koopman (1647–1693), która też po jego śmierci przygotowywała do druku i wydawała pozostawione przez niego prace naukowe. Drugim przykładem żony wspierającej badacza klasy światowej – Ludwika Hirszfelda (1884–1954), immunologa i współodkrywcę grup krwi – była Hanna z domu Kassman (1884–1964). Pomagała mu stworzyć nową dziedzinę wiedzy, antroposerologię, m.in. prowadząc wspólnie badania rozkładu grup krwi wśród żołnierzy rozmaitych narodowości w ramach działań serbskiej wojskowej służby medycznej podczas pierwszej wojny światowej. Na znacznie bardziej równoprawnych warunkach, zgodnie z duchem czasu, prowadziły naukową współpracę z mężami Ewa Neyman-Pilatowa (1909–1945), badająca zależność pomiędzy strukturą chemiczną a własnościami fizycznymi olejów naftowych, i Danuta Przeworska-Rolewicz (1931–2012), zajmująca się zastosowaniami metod matematycznych w technice.

W konkurencji indywidualnej bezkonkurencyjna jest oczywiście Maria Skłodowska-Curie (1867–1934), do 1972 r. jedyna osoba, której dwukrotnie przyznano Nagrodę Nobla za osiągnięcia naukowe. Chociaż i w jej przypadku mąż nie był bez znaczenia. Nie tylko jako współodkrywca polonu i radu. Pewnie jeszcze bardziej dlatego, że wprowadził ją w środowisko uczonych poszerzających aktywnie horyzont ludzkiej wiedzy. Było to ogromnie ważne. Gdyby nasza znakomita rodaczka pozostała w kraju, to przy wszystkich jej talentach zostałaby co najwyżej pierwszą u nas kobietą wykładającą na uniwersytecie.

Kontynuatorką Marii Curie obecną w „Słowniku…” była Danuta Kiełczewska (1945–2016), zajmująca się doświadczalną fizyką neutrin, działająca w ważnych

eprasa.pl 33efe048ab

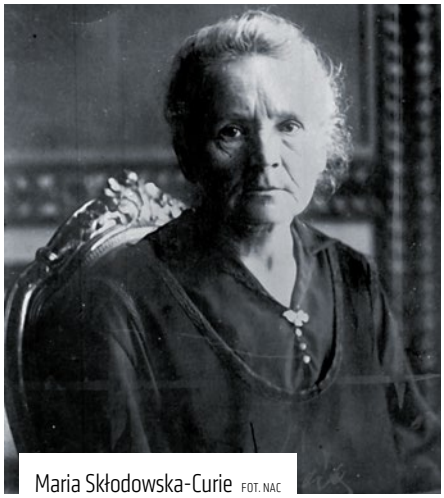
Maria Skłodowska-Curie FOT. NAC

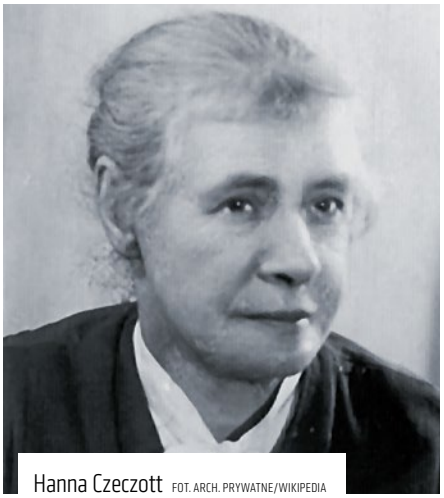
Hanna Czeczott FOT. ARCH. PRYWATNE/WIKIPEDIA

Jadwiga Wołoszyńska FOT. ARCHIWUM KATEDRY I ZAKŁADU BOTANIKI FARMACEUTYCZNEJ UJ CM

projektach międzynarodowych, współodkrywczyni oscylacji neutrin (1998).

Dość licznie reprezentowane w „Słowniku…" są badaczki paleobiologii. Najmocniejszą wśród nich pozycję ma Zofia Kielan-Jaworowska (1925–2015), światowej sławy odkrywczyni wielu gatunków dinozaurów oraz wczesnych ssaków z epoki kredy. Była uczestniczką, a od 1965 r. organizatorką i kierowniczką ośmiu polsko-mongolskich wypraw badawczych na pustynię Gobi. Uczyniła też wiele dla popularyzacji zdobytej tam wiedzy. Mikropaleontologią zajmowała się Olga Pazdro (1905–1984), paleobotaniką Hanna Czeczott (1888–1982) i Jadwiga Raniecka-Bobrowska (1904–1990).

Botanikę uprawiały Helena Krzemieniewska (1878–1966), Jadwiga Wołoszyńska (1882–1951) i Maria Skalińska (1890–1977), zoologię i parazytologię – Jadwiga Grabda (1907–1981), specjalistka od chorób ryb morskich.

Ważną pozycję miała w dziedzinie chemii fizycznej Alicja Dorabialska (1897–1975), pierwsza u nas kobieta piastująca stanowisko profesora na uczelni technicznej – Politechnice Lwowskiej (1934). Objęła je mimo zamanifestowania przekonań opozycyjnych, gdyż marszałek Piłsudski zaakceptował wniosek w tej sprawie, mówiąc podobno: „Ma baba charakter". Była uczennicą prof. Wojciecha Świętosławskiego. Zajmowała się radiochemią, kalorymetrią i chemoluminescencją oraz zjawiskiem korozji. Konstruowała przyrządy pomiarowe własnego pomysłu. Farmacją i nową w 1935 r. dziedziną – fitochemią – zajmowała się Zofia Jerzmanowska (1906–1999). Astronomią zaś, a w jej ramach analizą spektralną nadolbrzymów, Wilhelmina Iwanowska (1905–1999), pierwsza w Polsce profesor astrofizyki (1946).

Rachela Ginzburg, od 1946 r. występująca jako Stefania Jabłońska (1920–2017), zdobyła znakomite wykształcenie jako lekarz dermatolog w Związku Sowieckim. Przybyła do Polski z wojskami NKWD, w latach 1947–1949 była lekarzem w więzieniu mokotowskim. Karierę naukową w PRL torowała sobie, bezpardonowo korzystając z poparcia władz. Okazała się wszakże wielkiej miary uczoną. Dokonała ważnych odkryć w zakresie dermatologii wirusowej i jest obecnie jednym z najczęściej cytowanych na świecie naszych klinicystów.

Na deser przedstawiamy trzy wybitne matematyczki, jako żywy dowód, że nieobce bywa kobietom logiczne myślenie, na pohybel tym, którzy wciąż skłonni byliby nie dopuszczać ich do udziału w naukowym życiu umysłowym.

Helena Rasiowa (1917–1994) zajmowała się głównie logiką matematyczną i jej zastosowaniami, Wanda Szmielew (1918–1976) – podstawami matematyki i teorią mnogości, zaś Zofia Szmydt (1923–2010) jakościową teorią równań różniczkowych zwyczajnych, układami hiperbolicznymi o dwóch zmiennych, teorią potencjału i teorią dystrybucji.

Nieco ponad 20 kobiet na 1282 biogramy w „Słowniku…" to proporcja oddająca, jak się wydaje, realnie ich dotychczasowy udział w budowaniu cywilizacji naukowo-technicznej. Dużo to czy mało? Trudno powiedzieć. A może w sam raz? Istnieją predyspozycje naturalne, także związane z płcią. Tradycyjne podejście wynikające z doświadczeń dziesiątków tysięcy pokoleń wcale nie powinno być potępiane w czambuł. Natura wyposażyła kobiety w pokaźny zestaw umiejętności i zalet w obszarach, w których nie są w stanie rywalizować z nimi mężczyźni. Ale są dziedziny, w których nie powinny brać się z nimi za bary. Choćby boks. Jak jest z nauką? Systematyczność i obowiązkowość kobiet to ich atut. Emocjonalność oraz zbytnie uleganie autorytetom i modom to wada. „Słownik…" premiuje oryginalność. Ale trzeba pamiętać, że ponad 90 proc. uczonych, także mężczyźni, ogranicza się do reprodukcji fachowców. Faktem jest natomiast, że problemy związane z płcią mogą zaburzać pracę zespołów badawczych. Dlatego jeszcze dwa wieki temu uważano przebywanie kobiet na statkach podczas dłuższych rejsów za niedopuszczalne…

Dzisiaj modny jest parytet, kobiety obsadzają wiele czysto męskich zawodów, bywają nawet generałami. Tradycyjna rezerwa wobec nich – inspirowana pamięcią o rajskim jabłku Ewy, o Helenie Trojańskiej, lady Makbet czy przysłowia w rodzaju: „Gdzie diabeł nie może…" – uznawana jest powszechnie za uleganie przesądom. Ale tzw. nowoczesność dokonuje się pod przymusem poprawności politycznej, zabójczej dla oryginalnego myślenia, a więc i rozwoju nauki...

prof. Bolesław Orłowski

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 33efe048ab

Wywiad / Z Solem Messingerem, pasażerem statku MS „St. Louis”

rozmawia Piotr Włoczyk

Statek MS „St. Louis”
FOT. GETTY IMAGES

Płynąłem w „Przeklętym rejsie”

– Gdy dopływaliśmy do Kuby, wszyscy byliśmy w siódmym niebie. Entuzjazm szybko ustąpił jednak miejsca niedowierzaniu – mówi Sol Messinger

PIOTR WŁOCZYK: Ta podróż przeszła do historii jako „Przeklęty rejs” dzięki głośnemu filmowi z 1976 r., który opowiadał o tragedii 937 żydowskich uciekinierów z III Rzeszy. Jak pan wspomina 13 maja 1939 r.?

SOL MESSINGER: Tego dnia wyruszyliśmy z Hamburga. Miałem wtedy siedem lat i byłem pod opieką mamy i ojca. Staliśmy na pokładzie, patrząc, jak molo robi się coraz mniejsze. Ojciec płakał, tak martwił się o rodzinę w Polsce, zagrożonej już przez Hitlera. Jakby przeczuwał, że wszyscy jego bliscy zginą w Holokauście…

Doskonale pamiętam nasze pierwsze śniadanie w restauracji na pokładzie „St. Louis”. Oczywiście wszyscy kelnerzy, jak to na niemieckim statku, byli rodowitymi Niemcami. I oto stała się rzecz nieprawdopodobna. Obsługa traktowała nas jak normalnych ludzi! Nagle przestaliśmy być opluwanymi, obrażanymi, wyszydzanymi „podludźmi”. Byliśmy traktowani po prostu jak… pasażerowie. To była dla mnie nowość – nie musiałem się już bać.

Drugim bardzo wyraźnym wspomnieniem z tamtego rejsu był basen. To taka drobnostka, ale wtedy sprawiło mi to mnóstwo radości. To był luksusowy liniowiec, więc na pokładzie miał mnóstwo udogodnień i wtedy po raz pierwszy kąpałem się basenie.

Musimy tu chyba wspomnieć o kapitanie tej jednostki, Gustavie Schröderze. Ta postać bardzo często pojawia się we wspomnieniach żydowskich uchodźców, którzy płynęli na pokładzie „St. Louis” razem z panem.

Ja sam osobiście nigdy go nie widziałem, ale o tym człowieku powstały całe książki i trudno się temu dziwić. To był „dobry Niemiec”, człowiek, który nie miał wobec nas żadnych uprzedzeń. Schröder nakazał obsłudze statku, by traktowała nas normalnie, po ludzku. To był bardzo porządny człowiek.

W kontekście tego, że statek płynął pod nazistowską banderą, niesamowicie brzmi historia o szabacie i obrazie Adolfa Hitlera…

W szabat chcieliśmy, jak to Żydzi, odprawić swoje modły. Niestety w każdej większej sali na pokładzie statku wisiał obraz przywódcy III Rzeszy. Każdy na pewno potrafi sobie wyobrazić, że ciężko jest Żydom modlić się w takiej atmosferze. Gustav Schröder doskonale to rozu-

eprasa.pl 33efe048ab

miał i pozwolił zdjąć ten obraz. Wie pan, jak wiele ten mały gest znaczył dla żydowskich pasażerów?

Niewiele brakowało, by pańskiego ojca zabrakło na pokładzie tego statku. W jakich okolicznościach weszliście na pokład „St. Louis"?

Pół roku wcześniej, w październiku 1938 r., obudziło nas walenie w drzwi. Mieszkaliśmy wtedy w Berlinie. Za drzwiami stali funkcjonariusze gestapo. Pochwycili mojego ojca i – nic nie mówiąc mojej mamie – wyprowadzili go z budynku. Okazało się, że tej nocy wyprowadzono w ten sposób z mieszkań wielu żydowskich mężczyzn. Łączyła ich jedna rzecz – wszyscy pochodzili z Polski. Następnego dnia poszliśmy z mamą na posterunek policyjny. W środku była już spora grupa rozgorączkowanych żydowskich kobiet, których mężów również zabrano poprzedniej nocy z domów.

Na policji nie było jednak żadnej dyskusji. Ojciec został wyrzucony do Polski. Znad granicy pojechał prosto do Krakowa, gdzie mieszkała jego rodzina. Dostał tam pracę jako krawiec. W międzyczasie moja mama cały czas próbowała wyciągnąć nas z piekła hitleryzmu. Mama starała się zdobyć dla nas wizę do kraju, w którym będziemy mogli myśleć o spokojnej przyszłości. Takim krajem były Stany Zjednoczone, gdzie mieliśmy rodzinę. Trzeba jednak było to zrobić pośrednio, bo bardzo trudno było dostać wizę do USA. Obowiązywał tam restrykcyjny system kwotowy. Dlatego mama najpierw postarała się o wizę na Kubę. To również nie było łatwe, ale udało jej się to osiągnąć.

Najpierw jednak pański ojciec musiał wrócić do Niemiec. Jak wyglądały ustalenia rodziców w tej sprawie?

Rodzice listownie próbowali uzgodnić, co robić. Mama napisała, że jeżeli ojciec nie wróci na czas, żeby razem z nami wypłynąć z Niemiec, to ona nigdzie nie jedzie. Ojciec odpisał jednak, że wejście na pokład statku to jej obowiązek. Obowiązek! Żeby to podkreślić, napisał, że jeżeli mimo wszystko zrezygnuje z tej szansy, to będzie miała moją krew na swoich rękach... Ojciec czuł, że to zmierza w jak najgorszym kierunku.

Koniec lat 30. to nie był najlepszy czas dla żydowskiego chłopca na dorastanie w Berlinie...

Człowiekowi zapadają w pamięć te najbardziej traumatyczne momenty. Mieliśmy wspaniały dziedziniec, na którym spędzałem całe dnie. Wszystko było pięknie... do czasu. Zaczęło się od wyzywania mnie od „brudnego Żydka". Potem było gorzej – niemieckie dzieci nie tylko wyzywały mnie, lecz także biły. Przestałem więc wychodzić na mój ukochany dziedziniec. Pamiętam też, jak pewnego dnia w 1938 r. po drugiej stronie ulicy zebrał się tłum i zaczął rzucać kamieniami w witryny żydowskich sklepów. Obok stali policjanci, ale nie reagowali. Jako nierozumiejące do końca kontekstu dziecko zastanawiałem się, dlaczego oni nic z tym nie robią. Jak to możliwe?

Kiedy dotarł do was ojciec?

Dni mijały jak z bicza strzelił, termin naszego wyjazdu zbliżał się wielkimi krokami. Może pan sobie wyobrazić, jak dramatyczna musiała być ta decyzja dla mojej mamy. Dzień przed wyjazdem do Hamburga w naszym mieszkaniu rozległo się pukanie. Mama od razu rozpoznała ten konkretny rodzaj pukania i uradowana pobiegła do drzwi. Serce skoczyło mi do gardła, kiedy usłyszałem głos ojca! Nie widziałem go przez sześć miesięcy, bardzo się o niego martwiłem. To był cudowny moment. Niemcy wpuścili go do kraju tylko na dwa dni, żeby wraz z nami wypłynął z Niemiec na zawsze na pokładzie „St. Louis".

Po dwóch tygodniach rejsu wasz transatlantyk dopłynął do Hawany. Nie mieliście jednak szansy zejść z pokładu – „St. Louis" nie dostał pozwolenia na dobicie do nabrzeża. Prezydent Kuby kilka dni przed dopłynięciem zmienił przepisy imigracyjne i wasze wizy nagle straciły ważność...

Gdy dopływaliśmy do Kuby, wszyscy byliśmy w siódmym niebie. Entuzjazm

Pasażerowie statku „St. Louis"

FOT. US HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

eprasa.pl 33efe048ab

szybko ustąpił jednak miejsca niedowierzaniu. Żydowscy uchodźcy nie mogli uwierzyć, że po takiej podróży z jakichś względów władze Kuby nie chcą wpuścić „St. Louis". Kapitan Gustav Schröder próbował interweniować. Korespondował z kubańskimi władzami, starając się je przekonać, że jesteśmy w dramatycznej sytuacji i muszą nas przyjąć. Trzeba przyznać, że z pełnym zaangażowaniem walczył o nas. Jego zabiegi nie przynosiły jednak skutku – kubański rząd nie zamierzał nas wpuścić.

Ta decyzja musiała być o tyle zaskakująca, że do niedawna Kubańczycy bez większych przeszkód wpuszczali żydowskich uchodźców. We wspomnieniach pasażerów „St. Louis" często pojawia się motyw małych łodzi rybackich, które podpływały do tego wielkiego liniowca...

Doskonale pamiętam te sceny, bo moje dwie ciotki, wujkowie i kuzyni wcześniej dotarli do Hawany. Tam było wielu Żydów, którzy czekali na swoich krewnych z „St. Louis". Wypożyczali oni łódki rybackie i podpływali do naszego liniowca. Krewni mogli sobie w ten sposób porozmawiać, krzycząc do siebie. W jednej z takich łodzi moi rodzice rozpoznali naszych bliskich! Zbiegliśmy na niższy pokład i otworzyliśmy iluminator. Mogliśmy z nimi normalnie porozmawiać, bez konieczności krzyczenia.

„St. Louis" tydzień stał w porcie w Hawanie. Nawet apel żydowskich kobiet ze statku do pierwszej damy Kuby nie był w stanie zmienić stanowiska tamtejszych władz. Kapitan miał tylko dwie opcje: wracać, skąd przypłynął, albo szukać dla was ratunku gdzie indziej.

Ta pierwsza opcja nie wchodziła wtedy w grę. Nikt nie wyobrażał sobie powrotu do Niemiec. Kapitan Schröder popłynął więc na północ. Jakieś dwa–trzy dni płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Florydy. Kapitan wysyłał telegramy do Roosevelta, błagając, by pozwolił nam wysiąść na Florydzie. Jednak amerykański rząd nie chciał się na to zgodzić. Zamiast tego wysłał w naszym kierunku łódź patrolową. Okazało się, że jedyną jej misją było pilnowanie, żeby nikt nie wyskoczył z pokładu i nie próbował wpław dopłynąć do Ameryki.

W 2012 r. amerykański Departament Stanu przeprosił za to, jak was wówczas potraktowano.

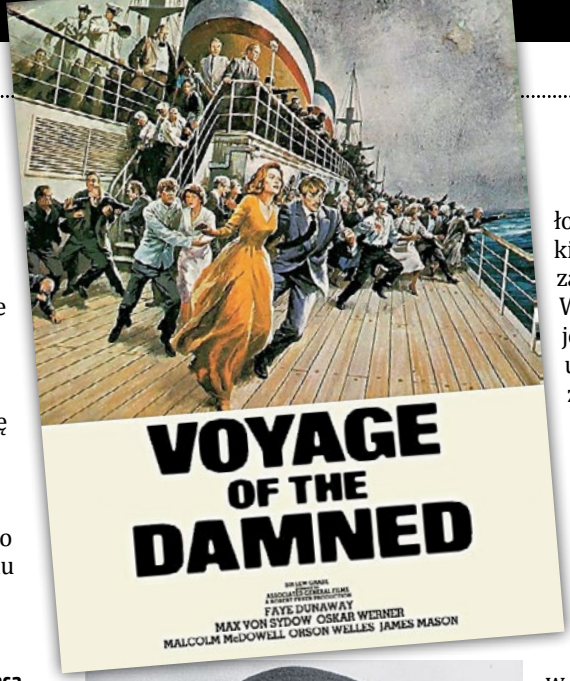

Plakat filmu „Voyage of the Damned" i zdjęcie kpt. Gustava Schrödera FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ameryka od 1924 r. miała bardzo restrykcyjny system kwot imigracyjnych i nikt nie zamierzał robić wyjątku dla żydowskich uchodźców.

Wszyscy byliśmy kompletnie przybici. Każdy zadawał sobie jedno pytanie: „Co z nami będzie?". Droga powrotna do Europy przebiegała niemal w atmosferze żałoby. Ale jakieś cztery dni przed powrotem do Hamburga po statku rozniosła się wspaniała wieść: cztery kraje europejskie zgodziły się nas przyjąć! Anglia, Francja, Belgia i Holandia postanowiły się podzielić uchodźcami. Byliśmy wniebowzięci!

Trafił pan wraz z rodzicami do Belgii, ale już rok później Niemcy zaatakowali Beneluks i Francję. Jak wyglądał kolejny etap waszej tułaczki?

To był ten dziwny czas, kiedy państwa zachodnie i Niemcy były już oficjalnie w stanie wojny, ale jeszcze nic się nie działo. Nasza tułaczka zaczęła się na nowo, kiedy 10 maja 1940 r. Niemcy ruszyli na zachód. Początkowo uciekaliśmy przed Wehrmachtem na piechotę, potem jednak mieliśmy na tyle szczęścia, że udało nam się wsiąść do pociągu, który zabrał nas do Paryża. Wiedzieliśmy dokładnie, co Niemcy szykują dla Żydów, więc proszę się nie dziwić, że chcieliśmy uciec od nich jak najdalej. W końcu dotarliśmy w pobliże granicy francusko-hiszpańskiej do miejscowości Savignac. Jesienią 1940 r. funkcjonariusze policji Vichy zatrzymali nas, a także wszystkie rodziny żydowskie w Savignac, i zamknęli nas w obozie w Agde. Mój ojciec zorganizował jednak dosyć szybko ucieczkę. To nie wyglądało zbyt spektakularnie. Po prostu wyszliśmy z obozu. To było w Boże Narodzenie i francuscy żołnierze byli kompletnie pijani. Wróciliśmy do Savignac. Miejscowi bardzo nam pomogli.

Na szczęście południowa Francja nie była okupowana przez Niemców. Francja Vichy miała relacje dyplomatyczne z USA. Staraliśmy się o wizy do Ameryki i w końcu wiosną 1942 r. otrzymaliśmy nasze upragnione dokumenty! Na początku czerwca 1942 r. opuściliśmy Francję Vichy i przez Hiszpanię dotarliśmy do Portugalii. Spędziliśmy tam kilka dni, po czym wyruszyliśmy do Ameryki na pokładzie portugalskiego statku „Serpa Pinto". W ten sposób, trzy lata po podróży na pokładzie „St. Louis", dopłynęliśmy do wymarzonej Ameryki.

W porównaniu ze zdecydowaną większością pasażerów „St. Louis" byliście prawdziwymi szczęśliwcami. 255 z nich zginęło w Holokauście.

Co czwarty pasażer... Przede wszystkim mieliśmy szczęście, że „St. Louis" nie wrócił do Hamburga, tylko dobił do portu w Antwerpii, gdzie rozdzielono nas pomiędzy cztery państwa. A po zajęciu krajów Beneluksu i Francji przez Niemców nie trafiliśmy w ich ręce. Inaczej nasza sytuacja byłaby krytyczna. Obawiam się, że skończyłoby się to tragicznie dla nas wszystkich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sol Messinger
(ur. 1932 r.) jako dziecko był pasażerem statku MS „St. Louis". W USA skończył studia medyczne i pracował jako patolog.

eprasa.pl 33efe048ab

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACEK KOMUDA „ZAWISZA. CZARNE KRZYŻE"

NAJWIĘKSZE LEGENDY SPISANE SĄ KRWIĄ.

Najsłynniejszy polski rycerz, którego imię żyje do dziś: Zawisza Czarny. Człowiek, którego słowo znaczyło więcej niż prawo. Ten, który za najwierniejszego giermka wziął syna pokonanego wroga. Stawał do walki tam, gdzie nikt już nie miał odwagi walczyć. A ludzie szli za nim, w ogień, pod deszcz strzał i bezlitosne ostrza. Po śmierć albopo zwycięstwo, ale zawsze za nim.

Dla sługi, któremu dał słowo, sam zdobył oblężony zamek. Dla brata, wziętego do krzyżackiej niewoli, spali świat.

Historia wyjątkowego człowieka spisana ze swadą właściwą prozie Jacka Komudy, dbałość o szczegóły i realia historyczne, która zapewni rozrywkę na najwyższym poziomie i wielbicielom średniowiecznej historii i czytelnikom ceniącym przede wszystkim żywą, trafiającą w serce opowieść.

97 zł

oszczędność 67 zł

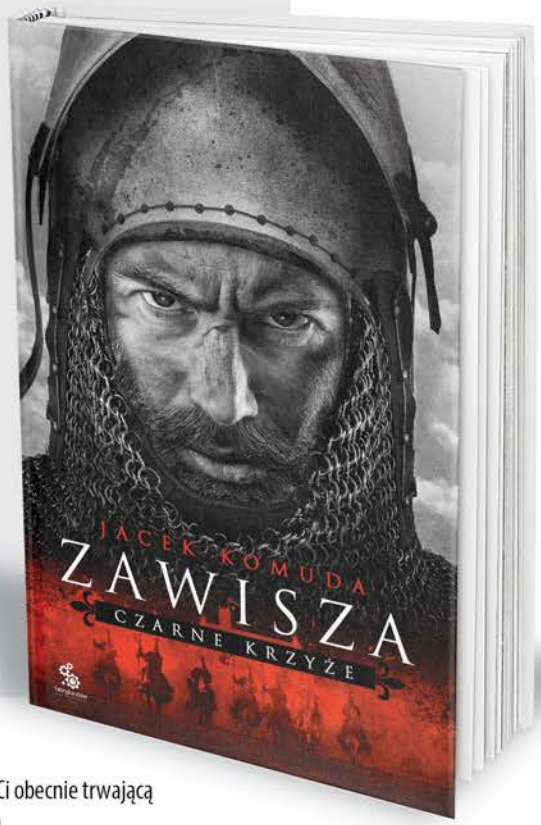

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 33efe048ab

Leszek Lubicki

1370 r. / Historia w obrazach Ksawerego Pillatiego i Antoniego Kozakiewicza

Głupia śmierć wielkiego króla

Kazimierz III Wielki rządził mądrze, ale jako niesforny pacjent skończył tragicznie

Chociaż wszyscy znamy formułkę, że Kazimierz Wielki „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną", to okres panowania tego władcy historycy różnie oceniają. Przeważają zdecydowanie oceny pozytywne, ale bywają też mało pochlebne. Określenie o „Polsce murowanej" także czasami się koryguje, uznając je za uproszczenie. Podsumowując panowanie Kazimierza, prof. Henryk Samsonowicz zauważa, że w chwili jego śmierci „państwo było powiększone o jedną trzecią. Król odzyskał Kujawy, przyłączył Ruś Halicko-Włodzimierską, odzyskał grody niedaleko granic śląskiej i pomorskiej. Znaczenie kraju było nieporównywalnie większe niż w momencie, gdy obejmował tron. Trudno się dziwić, że ten władca, który budził rozmaite mieszane uczucia, jako jedyny władca Polski przeszedł do kanonu wiedzy historycznej z przydomkiem Wielki".

Uczony dodaje przy tym, że mając tak wiele zasług, monarcha ten mimo wszystko „nie stoi w panteonie największych narodowych postaci". Być może na tę ostatnią ocenę wpłynęły negatywne fakty. Wspomnimy tu nadzwyczaj bogate pozamałżeńskie życie seksualne, w tym nawet bigamię. Jakkolwiek nie uważamy, że akurat ten obszar był najważniejszy dla tej oceny, ponieważ takie postępowanie władców wielu państw było w zasadzie normą. No, może z wyjątkiem bigamii. Poza tym inne jeszcze czyny podjęte przez monarchę nie przynoszą mu splendoru. Mamy tu na myśli osobę ks. Boryczki, którego kazał utopić (prawdopodobnie). Z jego rozkazu zagłodzono też Maćka Borkowica.

Sądzimy, że jeżeli prowadziłby się niezwykle stosownie w obszarze życia osobistego, to oprócz przydomku Wielki, mógłby zostać także uznany za świętego, jak kilku innych władców tego okresu,

Antoni Kozakiewicz „Groby królewskie" („Żal wieśniaków po śmierci Kazimierza Wielkiego")

FOT. MUZEUM ŚLĄSKA OPOLSKIEGO

zważywszy na fakt, ile uczynił dobrego dla Kościoła polskiego, ale i zwykłych ludzi. Nie przypadkiem bowiem nazywano go „królem chłopów". I jeszcze jeden zarzut, tym razem polityczny – nie odebrał Krzyżakom Pomorza Gdańskiego i utracił na zawsze Śląsk, gdzie przecież rządzili Piastowie, jego krewni. Śledząc królewskie działania, możemy zauważyć, że – jak celnie pisał Marek Urbański – „Wielkim wojownikiem Kazimierz nie był. Wolał subtelniejsze od miecza i rohatyny narzędzia uprawiania polityki, z męskich zaś rozrywek bardziej cenił polowanie i zaciekłe boje w łożnicy, zazwyczaj cudzej".

Podszept niegodziwca

Jako dżentelmeni nie będziemy królowi zaglądać do łoża, natomiast skupimy się na jego zamiłowaniu do polowań, a to dlatego, że udział w jednym z nich zakończył się dla króla tragicznie. Kazimierz przywdział koronę polską, mając zaledwie 23 lata. Na królewskim stolcu zasiadał 37 lat i zapewne mógłby jeszcze bardzo długo królować. Chociaż w chwili śmierci miał lat 60 – wiek jak na czas średniowiecza co prawda poważny – to jednak był zdrowy i silny, ale... zawsze wszystko wiedział najlepiej. Ta wiara w swoją mądrość sprawdzała się w wielu aspektach zarządzania, natomiast w obszarze medycyny ani trochę. W Polsce czasów średniowiecza, nawet okresu prawie końcowego tej epoki, zbyt wielu ludzi pisać i czytać nie potrafiło. Prawdopodobnie i sam monarcha tych umiejętności nie posiadł. Natomiast mamy to szczęście, że w ostatnich chwilach życia Kazimierza czynnie uczestniczył człowiek pióra, Janko z Czarnkowa.

W książce Józefa Ignacego Kraszewskiego „Wizerunki królów i książąt polskich" znajdujemy ilustrację wypadku – któremu uległ król na polowaniu – narysowaną przez Ksawerego Pillatiego. Zapewne artysta korzystał z opisu Janka, gdyż widzimy na nim leżącego króla z przygniecioną przez pień drzewa lewą nogą. Literat z Czarnkowa w formie reportażowej opisał ze szczegółami, jak doszło do tego nieszczęśliwego upadku oraz jego konsekwencji, czyli śmierci monarchy. Niech będzie mi wolno w tym miejscu przytoczyć prawie cały (z moimi skrótami) długi opis, ale konieczny do wyjaśnienia tej niespodziewanej i – jak to nazwałem w tytule tego szkicu – „głupiej" śmierci króla Kazimierza (cyt. według wydania: Lwów 1909).

„R.P. 1370 dnia 8-go września, a był to dzień Narodzenia N. Maryi Panny, najdostojniejszy już wielokroć wspominany król Kazimierz bawił w swym dworze w Przedborzu, które to miasteczko i dwór z nowego założył i bardzo pięknie i kosztownie wybudował. Kiedy król, jak to był jego zwyczaj, chciał się udać na polowanie na jelenie, i gdy już wóz królewski był przygotowany, a on sam chciał do niego wsiadać, niektórzy z jego powierników radzili mu, aby tego dnia jechać na polowanie zaniechał. Przystając na ich radę, chociaż miał zamiar pozostać, jednak, jak powiadają za podszeptem jakiegoś niegodziwca, nie bacząc na radę ludzi roztropnych, wsiadłszy na wóz do lasu na polowanie pospieszył. Tam dnia następnego jelenia gonił, a kiedy koń pod nim się potknął, król spadł i zrobił sobie znaczną ranę na lewym goleniu. Z powodu tego wstrząśnienia wnet go febra ogarnęła, która go jednak rychło opuściła. Lecz ponieważ nie chciał unikać nadmiernego i łakomego używania rozmaitego jadła, a szczególnie świeżych orzechów tak włoskich, jako i innych i smarzów wbrew zakazowi lekarzy – przede wszystkiem zaś łaźni, która mu była zabroniona przez mistrza Henryka z Kolonii, jego nadwornego medyka, męża nadzwyczaj sumiennego, przeto tego samego dnia, kiedy z łaźni wyszedł, dostał bardzo silnej febry, tak jak to przez wspomnianego mistrza Henryka zapowiedziane było. A kiedy rano po tem zdarzeniu, jadąc do Krakowa już Sandomierz na jedną milę minął, gorączką bardzo rozgrzany, napił się zimnej wody, a po napiciu bardziej jeszcze rozpalony, dokuczliwą gorączką był dręczony. W takim stanie zawieziony do posiadłości rycerza Grota kasztelana lubelskiego, który króla, pana swego wraz z dworem zaprosił, tam odpoczął, a w tym czasie bardzo ciężka febra do tego stopnia go trapiła, że tak lekarz, jako też i dworzanie o jego życiu całkiem zwątpili. Nazajutrz zaś, skoro febra za poradą lekarską swe dolegliwości złagodziła, dworzanie jego najwierniejsi, współczujący bardzo z jego chorobą, króla na wózku, który sami ciągnęli pieszo jak konie, do klasztoru koprzywnickiego Braci Cystersów delikatnie zawieźli. W tym klasztorze leżąc przez ośm ciągłych dni odpoczywa [...], rano, mnie przywoławszy, w mojej obecności i innym oznajmił, zaraz poczuł, że febra nieco pofolgowała [...]. Wreszcie, kiedy go zawieziono do dóbr królewskich, zwanych Osiek, pewien lekarz królewski magister Mateusz wbrew zakazowi i woli mistrza Henryka i nas wszystkich, pozwolił królowi napić się miodu, od czego jeszcze więcej rozgrzany, na nowo w chorobę popadł. Potem jednak kiedy przybył do Nowego Miasta, tam we własnym królewskim dworcu, wspaniale zbudowanym, lekarze dali mu lewatywy, potem nie tylko sił znacznie nabrał, lecz także nawet bez pomocy do powozu wsiadłszy, aż w Opatowcu wysiadł. Tam kilka dni zabawiwszy, znacznie podzdrowiał. Lecz na naleganie wspomnianego lekarza, magistra Mateusza, wybrał się w drogę do Krakowa, a w tej podróży w nocy febra go ogarnęła, jak się zdało z ruchu, a [...], dopóki go do Krakowa nie zawieziono, dolegliwości nie tylko się nie zmniejszały, lecz także powiększając się, bardzo go męczyły.

> **„Chłopi krakowscy chodzili wiele lat odwiedzać grób Kazimierza Wielkiego w zamku krakowskim i tam modląc się, zimny kamień łzami oblewali"**

Ostatniego tedy dnia miesiąca października do zamku krakowskiego go zawieziono [...]. Wnet kazał mi tych [medyków – przyp. red.] zapytać, czy jakich oznak śmierci na nim nie zauważyli [...]. Oni zaś wszyscy zwyczajem lekarzy zapowiadali mu długie jeszcze życie, czy też przepowiadali albo już przepowiedzieli. On jednak sam zwątpiwszy o odzyskaniu zdrowia, dnia trzeciego, miesiąca rzeczonego, rano koło wschodu słońca testament sporządził. [...] Te darowizny później przez Ludwika, króla węgierskiego i polskiego, i rodzicielkę tegoż Elżbietę, siostrę króla Kazimierza w części unieważnione zostały. [...] Rozporządziwszy temi i innemi sprawami osobiście, godziwie i prawnie, trzeciego

eprasa.pl 33efe048ab

Fatalny upadek Kazimierza Wielkiego. Rysunek Ksawerego Pillatiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

dnia, a był to piąty dzień miesiąca listopada, rano koło wschodu słońca, w obecności wielu zacnych mężów i duchownych szczęśliwie do Chrystusa przeniósł się [...]".

Potem był pogrzeb. A tak naprawdę dwa, bo tyle po śmierci miał ich nasz monarcha. Wspomnę tylko, że miał również i trzeci, prawie 500 lat po śmierci, w roku 1869, kiedy to otwarto jego grobowiec w katedrze wawelskiej, a później dokonano ponownego uroczystego pochówku królewskich szczątków.

Żałosny krzyk i płacz

Pierwszy pogrzeb odbył się dwa dni po zgonie monarchy. Nie czekano z pewnych względów politycznych na przybycie następcy tronu Ludwika Węgierskiego. Jednak gdy siostrzeniec Kazimierza przybył na Wawel, zarządził 19 listopada uroczyste egzekwie, czyli dwa dni po swojej koronacji. O pogrzebach innych władców piastowskich nie wiemy prawie nic, natomiast dzięki Jankowi posiadamy o tej uroczystości dokładną wiedzę. Spróbuję w tym miejscu przedstawić skrót opisu kronikarza, który zapewne brał osobiście w tym obrzędzie udział.

Egzekwie zostały odprawione we wszystkich kościołach krakowskich, a uczestniczyli w nich król Ludwik, książęta, biskupi i szlachta. Na początku szły cztery wozy zaprzęgnięte w cztery konie. Za nimi maszerowało 40 pełnozbrojnych rycerzy: 11 z nich niosło chorągwie księstw, a 12. chorągiew Królestwa Polskiego. Każdy z tarczą oznaczoną herbem swojego księstwa. Za nimi na koniu podążał rycerz, który miał wyobrażać zmarłego króla. Następny szereg to sześciu ludzi niosących świece, a za nimi osoby duchowne, śpiewając pieśni żałobne. Pochód zamykał król Ludwik wraz z hierarchami kościelnymi, książętami i szlachtą oraz niezliczona liczba ludzi.

Zachodzono do kościołów, gdzie składano ofiary w pieniądzach i innych kosztownościach oraz wiele świec, które to dary wieziono na marach. Przed marami szedł dworzanin i rozrzucał na lewo i prawo pieniądze biednym oraz każdemu, kto zechciał się po nie schylić. Gdy misy z pieniędzmi się opróżniły, ponownie je napełniano z worków, które nieśli inni do tego wyznaczeni. Kto chciał złożyć ofiarę, brał z tych mis, ile chciał. Później cały kondukt udał się do katedry wawelskiej, gdzie bp Florian odprawił Mszę Świętą. Potem „po złożeniu tych ofiar, gdy zaczęto, podług zwyczaju w takich wypadkach, kruszyć chorągwie, powstał taki krzyk żałosny, taki płacz i jęk wszystkich obojga płci obecnych w katedrze krakowskiej, że od tego płaczu i jęku wszyscy, osoby możne i niskie, starzy i młodzi, ledwo się utulić mogli. I nie dziw! Obawiali się bowiem, aby ze śmiercią króla pokój miłującego, nie znikł ten pokój, do którego za jego życia przywykli". Tym zdaniem Janko z Czarnkowa daje wyraźny sygnał, że jest przeciwnikiem zasiadania na polskim tronie Ludwika Węgierskiego.

W puszczy, konno się uganiając za jeleniem, spadł z konia i odniósł ciężką ranę w goleń.

Jak wcześniej wspomniałem, współcześnie często historycy czy publicyści doszukują się w życiorysie Kazimierza zadr. Poprzednio raczej dominował przede wszystkim pozytywny obraz. W trzeciej ćwierci XIX stulecia tak pisał Kazimierz Góralczyk (właściwie Władysław Ludwik Anczyc):

„I tak więc oto, dzięki Najwyższemu Panu, przy tej trumnie Wielkiego króla, gromadzą się wszystkie stany, i wszyscy czują, że są braćmi, że są synami jednej matki ziemi, którą kiedyś tak mądrze rządził Kazimierz, król chłopków. [...] To nie był król taki, jak inni królowie, bo przecie i Polska przed nim i po nim miała wielu monarchów i mądrych, i dobrych, i wojowników, co się zowie, a jednak tylko Kazimierza nazwano Wielkim. I miała Polska przed nim i po nim królów nabożnych i świątobliwych, i o wiarę dbających, a jednak tylko króla Kazimierza zwłoki jak powiada kronikarz Długosz »obyczajem świętych pochowane zostały«".

I dalej: „Król ten dobry i kochany umarł, mając lat 60, a wtedy taki był żal po całej Polsce, że przez cały rok nie widziano u nikogo wesołej twarzy. Chłopi zaś krakowscy chodzili przez wiele lat odwiedzać grób Kazimierza Wielkiego w zamku krakowskim i tam modląc się, zimny kamień łzami oblewali".

W Muzeum Śląska Opolskiego znajduje się obraz pędzla Antoniego Kozakiewicza „Groby królewskie" („Żal wieśniaków po śmierci Kazimierza Wielkiego") z 1862 r. Ten drugi tytuł w nawiasie mówi nam wprost, że scena ta ma miejsce zaraz po śmierci króla, przy jego nagrobku. Jak pisał Kraszewski: „Potomność nadała mu zasłużone Wielkiego imię, złość i szyderstwo – przezwisko króla chłopów, które się stało najwyższą jego chwałą".

Niestety, nie doczekał się Kazimierz legalnego syna, który mógłby kontynuować jego politykę, a także jego ojca, Władysława Łokietka, zwanego Niezłomnym, i dalej prowadzić Koronę Królestwa Polskiego pod piastowskim orłem. Pierwszej i jedynej rodzimej dynastii w naszych dziejach.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

1939–1945 / Wstydliwy temat – występy aktorów dla Niemców

Adolf Dymsza w garderobie teatru Syrena FOT. EDWARD HARTWIG/NAC

Dodek kolaborant

Sławomir Koper

Adolf Dymsza podczas okupacji niemieckiej występował w jawnych teatrach. Po wojnie spotkały go za to konsekwencje

Słynny Dodek był jedną z największych gwiazd polskiego filmu i polskiej estrady okresu międzywojennego. Do dzisiaj jednak kontrowersje wzbudza jego zachowanie podczas niemieckiej okupacji, chociaż w całej sprawie nie brakuje mitów i niedomówień. Podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. stołeczne teatry zostały zniszczone lub poważnie uszkodzone, ale aktorzy liczyli na wznowienie ich działalności. Z taką prośbą zwrócił się do okupantów reżyser Leon Schiller – zgody jednak nie otrzymał, a w zamian rozpoczęły się aresztowania i wywózki. W efekcie ZASP wydał zakaz występowania na tzw. scenach jawnych.

Pojawiły się one wiosną 1940 r., gdy Niemcy podjęli decyzję o organizacji życia kulturalnego dla Polaków. Oczywiście miały to być stosunkowo mało wyrafinowane rozrywki – jako pierwsze zaczęły powstawać sceny kabaretowe. Wystawiano tam programy o niskim poziomie artystycznym, co potwierdzają ich tytuły: „Moczmy nogi", „Cip, cip", „Czy pani lubi bez", „Jak należy całować", „Szał ciał", „Wesoły harem" czy też „Albo rybka, albo pipka". Za symbol ówczesnego teatru można też uznać osławiony „Taniec z mufką" wykonywany przez aktorkę i tancerkę Hannę Brzoskównę, która wystąpiła nago, trzymając wyłącznie tytułową mufkę.

Warto jednak wspomnieć, że także przed wojną zdarzały się przedstawienia o mało wybrednej treści. Szczególnie rewie Andrzeja Własta epatowały seksem i nagością, natomiast złośliwi twierdzili, że w jego przedstawieniach jest „dużo nóg, a mało mózgu". Zresztą nawet na scenie Qui Pro Quo trafiały się takie tytuły jak „In flagranti", „Bez koszulki" czy „Przez dziurkę od klucza" – i nikomu to nie przeszkadzało.

Większość aktorów podporządkowała się nakazowi ZASP-u – zatrudniali się jako kelnerzy lub zarabiali na życie, pracując fizycznie. Funkcjonowały też sceny podziemne, artyści bowiem starali się zachować ciągłość polskiego życia teatralnego. Adolf Dymsza musiał jednak zapewnić utrzymanie sędziwym

eprasa.pl 33efe048ab

rodzicom, żonie oraz chorowitym córkom – zapewne dlatego zdecydował się występować na jawnych scenach.

Teatry pod nadzorem

Dymsza nie wziął jednak udziału w żadnym jednoznacznie antypolskim przedsięwzięciu. Wprawdzie pojawiał się na scenie kabaretu Niebieski Motyl, ale akurat „Szczęście Frania", w którym wystąpił, wyróżniło się pozytywnie na tle ogólnej tandety. Dodka można było również oglądać w kabarecie literackim ulokowanym nad kinem Palladium, skąd wzięła się jego nazwa – Na Pięterku, a później Na Antresoli. Z czasem jednak musiał się pojawiać na większych scenach, a jego sława filmowa i teatralna stanowiła cenną zdobycz dla okupanta. Afisze krzyczały tytułami: „Serwus, Dymsza!", „Dymsza, humor i spółka" czy „System à la Dymsza".

Rewie cieszyły się ogromną popularnością wśród warszawiaków, którzy pragnęli choć na chwilę zapomnieć o tragedii wojny. Publiczności wcale nie zniechęcały hasła, że „tylko świnie siedzą w kinie, a co bogatsze, to w teatrze", ani działalność małego sabotażu. Zdarzały się sytuacje, że – mimo rozpylenia dymu i rozlania cuchnących substancji w sali – widzowie pozostawali na miejscach. To chyba najlepiej świadczy, jak ważne było dla Polaków życie teatralne, nawet to koncesjonowane przez okupanta. Tym bardziej że przeciętnie sprzedawano aż 80 proc. biletów na spektakle, a tylu folksdojczów – nawet wraz z rodzinami – nie było w Warszawie.

Zresztą w późniejszych latach okupacji nacisk władz podziemnych na jawne teatry nieco zelżał, a poziom przedstawień znacznie wzrósł. Wystawiano praktycznie wszystkie przedwojenne utwory (z wyjątkiem dzieł epoki romantyzmu), czasami zmieniając jednak nazwiska autorów na bardziej aryjskie. Co więcej, bywalcami piętnowanych przybytków kultury często bywali sami członkowie AK, którzy uznali, że potrzebują trochę przyjemności z życia, co bez wątpienia zapewniało obejrzenie nagiej Hanny Brzoskówny.

Dymsza podczas występów kabaretowych nieraz udowadniał, że nic nie

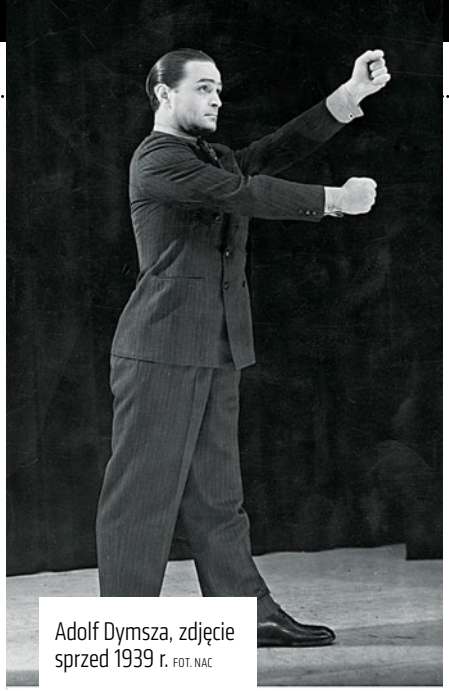

Adolf Dymsza, zdjęcie sprzed 1939 r. FOT. NAC

stracił ze swojego talentu i wciąż potrafi bawić publiczność. Z narażeniem życia wplatał do programu antyniemieckie aluzje, co potwierdzało wielu świadków.

Pewnego wieczoru Dymsza po wejściu na scenę wykonał gest, który przypominał pozdrowienie hitlerowskie – reakcją publiczności było buczenie. Wtedy spokojnie wyjaśnił, że „tak wysoko skacze jego pies, gdy się cieszy na jego widok", i w odpowiedzi spotkał się z huraganem śmiechu. Zdarzyło się nawet, że zdjęto z programu jego skecz opowiadający o Adolfie, który ciągle wygrywał w brydża i nie mógł odejść od stołu, gdyż uniemożliwiali mu to koledzy chcący się odegrać.

Wydaje się, że nieuczciwością byłoby czynienie zarzutów Dymszy, iż zdecydował się uniknąć trudów okupacji i trzymał się ciepłej posadki na jawnych scenach. Można kwestionować jego decyzję, ale trudno mu odmówić racji, że dzielił los wielu innych warszawiaków i wielokrotnie dawał dowody swojej przyzwoitości. Nie tylko na scenie, lecz także poza nią.

W październiku 1942 r. wziął udział w charytatywnym przedstawieniu w Teatrze Nowości dla chorego Stefana Jaracza. Dochód z przedstawienia (ponad 16 tys. zł – dziś to ponad 4,3 tys. euro) w całości miał być przeznaczony na leczenie aktora. Wywołało to konsternację w środowisku przeciwników jawnych teatrów – namawiano Jaracza, by oficjalnie zwrócił całą sumę organizatorom spektaklu, a w zamian dostanie podobną kwotę. Urażony aktor odmówił. Wprawdzie patrzył z niechęcią na funkcjonowanie scen jawnych, jednak zdawał sobie sprawę z realiów życia.

Już na początku okupacji Dodek usłyszał od niego, by „robił to, co umie najlepiej", a do tego – by „robił to jak najlepiej". Po wojnie Jaracz został honorowym przewodniczącym komisji weryfikacyjnej ZASP-u, a chociaż z powodu stanu zdrowia nie mógł brać czynnego udziału w jej pracach, przygotował memorandum, w którym ciepło wyrażał się o aktorach oskarżonych o kolaborację. Ich postawę tłumaczył sytuacją życiową – do dziś uważa się, że wystąpienie Jaracza mocno wpłynęło na decyzję sędziów.

Niemiecki znajomy

Bojkotowi ogłoszonemu przez ZASP nie podporządkowało się aż 200 polskich aktorów. I nie były to postacie mało znane, na jawnych scenach – oprócz Dymszy – grały bowiem prawdziwe legendy: Kazimierz Junosza-Stępowski, Józef Węgrzyn, Mira Zimińska-Sygietyńska, Karol Hanusz. Lucynie Messal, gwieździe operetki, zorganizowano nawet oficjalny benefis z okazji 40-lecia pracy artystycznej (!), a były szef Qui Pro Quo Jerzy Boczkowski zapewniał oprawę muzyczną wielu spektaklom.

Przy okazji warto zauważyć, że kolaboracji nie zarzucano aktorom i muzykom występującym pod władzą sowiecką. A przecież także oni legitymowali działalność okupanta, tylko że przez kilkadziesiąt lat istnienia PRL nie można było o tym głośno mówić, zaś dzisiaj ta kwestia często odchodzi już w zapomnienie.

Kolaboracja polskich aktorów z Niemcami należy do tematów wyjątkowo wstydliwych. Z reguły pomijana jest milczeniem, całkowicie zresztą niesłusznie, bo wyciszanie wcale nie spowoduje zniknięcia problemu. Warto jednak temat traktować indywidualnie – inną wagę miała bowiem kolaboracja w sytuacji zagrożenia życia, a czym innym była współpraca z okupantem z chęci zysku. Zresztą nie należy po latach – z poziomu wygodnej kanapy – oceniać wyborów ludzi żyjących w tamtych czasach. Zapewne zwykły strach także miał tu swoje znaczenie.

Zarzuty wobec Dymszy, które pojawiły się już podczas okupacji, dotyczyły jednak nie tylko występów w jawnych teatrach. Znacznie większy ciężar gatunkowy mia-

eprasa.pl 33efe048ab

ły oskarżenia o bratanie się z okupantem. To faktycznie trudno byłoby usprawiedliwić. „[…] Dymsza brał udział w pijatykach gestapo – informował zasłużony działacz podziemia, Stefan Korboński. – Urządzał je również w swoim mieszkaniu w domu przy rogu Wilczej i Emilii Plater, nie domyślając się nawet, że każda orgia jest rejestrowana przez ludzi z Walki Cywilnej mieszkających w sąsiedztwie. Widziano go również pijanego w dorożce w towarzystwie Niemców".

Trudno kwestionować uczciwość Korbońskiego, w tym przypadku relacjonował jednak nie własne obserwacje, lecz plotki krążące po mieście. Dymsza jednak z całą pewnością utrzymywał stosunki towarzyskie z Niemcami, był bowiem osobą popularną. Wiele osób narodowości niemieckiej mieszkało przed wojną w zachodnich województwach Rzeczypospolitej – filmy z jego udziałem były ogólnie znane, a on sam popularny i lubiany. Wielokrotnie zdarzało się, że pochodzący ze Śląska czy z Kaszub żołnierze Wehrmachtu rozpoznawali go na ulicy i – czego bardzo się wstydził – rzucali mu się w ramiona.

Do znajomych Dymszy należał też niejaki Jakub Miller, któremu aktor pomógł finansowo w latach 30., gdy jego córeczki poważnie chorowały. Podczas okupacji podpisał on folkslistę (a może raczej reichslistę), ale odczuwał wobec Dymszy dług wdzięczności. Artysta to wykorzystał, gdy na skutek donosu aresztowano pod zarzutem „niearyjskiego pochodzenia" byłego inspicjenta (pracownika technicznego) teatru Qui Pro Quo, Józefa Porębskiego. Dymsza udał się wówczas do Millera, który prowadził popularny wśród gestapowców lokal, i „dwie czy trzy butelki jakiejś starki czy śliwowicy załatwiły sprawę".

Odnowienie stosunków z Millerami pozwoliło Dymszy lepiej zaopatrywać dom w żywność (nawet w cytrusy) i medykamenty, co miało szczególne znaczenie wobec słabego zdrowia jego córek. Wcześniej z powodów finansowych musiał wyprzedać większość dobytku oraz przeprowadzić się do znacznie tańszego Otwocka. W tej sytuacji trudno się dziwić, że kontynuował znajomość z folksdojczem – zdrowie dzieci było dla niego najważniejsze. Tym bardziej że nie działał przeciwko swoim rodakom. Mimo to kontakty z Millerem wzbudzały niezdrowe emocje.

SŁAWOMIR KOPER
„BLASKI I CIENIE II RZECZYPOSPOLITEJ"
HARDE

„Był to okres – wspominał Tymoteusz Ortym – po samobójczej śmierci matki Dymszyny. Na pogrzebie zjawiła się cała rodzina Millerów. Znaczek ze swastyką w klapie ogromnie zdziwił wielu obecnych na cmentarzu. […] Krzyżowały się porozumiewawcze, wiele mówiące spojrzenia. […] Pierwsze ogniwo w łańcuchu podejrzeń, domysłów, przypuszczeń oczekiwało na następne…".

Gdy za kolportaż prasy podziemnej aresztowano aktora Czesława Skoniecznego, Dymsza postawił wszystko na jedną kartę i spotkał się z gestapowcem, dzięki któremu wyjednał zwolnienie dla Porębskiego.

„Jak zapewnił nas Szmidt – kontynuował Ortym – sprawa Skoniecznego była ciężka i trudna. Badający Czesia urzędnik odznaczał się bezinteresownością. Nie wchodziły więc w grę jakieś łapówki czy podarki. Szmidt poradził, aby Dodek poszedł osobiście do gestapo. »Pracuje tam wielu Ślązaków, którzy znają go z filmów i, przypuszczalnie, będą starali się pomóc«. Nie mieliśmy odwagi namawiać Dodka na tę bardzo ryzykowną wyprawę do jaskini lwa. Ale Dymsza uśmiechnął się blado i powiedział: »Najwyżej posiedzę w kozie, więc raz kozie śmierć! Dla Czesia warto«".

Po powrocie zwierzył się przyjaciołom, że widziało go tam wielu więźniów, którzy byli zaskoczeni faktem, iż do drzwi odprowadzili go umundurowani gestapowcy, rozmawiając z nim i żartując. W tej sytuacji uznał, że w Warszawie jest skończony jako Polak – i się rozpłakał.

Postawa Dymszy zdecydowanie kłóciła się z wizerunkiem niezłomnego Polaka patrioty czającego się w lesie z granatem w ręku, jednak nie każdy miał predyspozycje do partyzantki. Dodkowi przyszło działać w określonych okolicznościach – i nie zawiódł jako Polak. Nigdy nie dosięgła go też kara z rąk podziemia, w przeciwieństwie do kilku innych aktorów uznanych za kolaborantów.

Ostatnie lata

Po wojnie Dymsza stanął przed komisją weryfikacyjną ZASP-u. Uznano go za winnego utrzymywania zażyłych kontaktów z Niemcami, co miało demoralizować młodszych kolegów. Otrzymał typową karę – zakaz występowania w stolicy przez pięć lat. Oprócz tego 15 proc. swoich dochodów musiał przeznaczać na dom spokojnej starości dla aktorów w Skolimowie, a na afiszach w miejscu jego nazwiska miała się pojawiać gwiazdka.

Wtedy też przeniósł się do Łodzi, co nie przeszkodziło mu w zagraniu w pierwszej powojennej komedii „Skarb", gdzie jak zwykle zdominował plan filmowy. Inna sprawa, że wielu jego znajomych i przyjaciół nie pogodziło się z wygnaniem Dodka, a sygnatariuszami listu w tej sprawie byli m.in. Jan Brzechwa czy Julian Tuwim.

Po okresie infamii wrócił do łask. W 1951 r. wystąpił pierwszy raz od wojny na warszawskich deskach teatralnych i został pozytywnie przyjęty przez publiczność. Również władza polityczna patrzyła na niego przychylnie – ale akurat z tym nigdy nie miał problemów. Bez względu bowiem na ustrój czy formację społeczną zawsze było, jest i będzie zapotrzebowanie na dobrych komików. Plotka głosiła, że pewnego razu został nawet zaproszony przez Józefa Cyrankiewicza do jego biura, gdzie usłyszał, że Polska wychodzi z biedy i czeka ją świetlana przyszłość. W odpowiedzi Dodek miał zauważyć, że właściwie to on jest specjalistą od opowiadania dowcipów…

Nadal był kochany przez publiczność, a w pewnej chwili doświadczył nawet parasola ochronnego ze strony władz PRL. W 1963 r. ukazał się numer „Pamiętnika Teatralnego" w całości poświęcony teatrowi podczas okupacji. Ze względu na to, że w sporej części traktował o aktorach kolaborantach, którzy cieszyli się wówczas sporą estymą, niemal natychmiast zaczęto wycofywać go ze sprzedaży.

Adolf Dymsza zmarł 20 sierpnia 1975 r. w domu spokojnej starości w Skolimowie, na który wcześniej wyrokiem komisji weryfikacyjnej przekazywał część swoich dochodów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

J. Hera, „Losy aktorów w Generalnym Gubernatorstwie (wrzesień 1939–1 sierpnia 1944)", „Pamiętnik teatralny", 1997, z. 1–4.
W. Bartoszewski, „1859 dni Warszawy", Kraków 2008.
R. Dziewoński, „Dodek Dymsza", Łomianki 2010.
A. Wysiński, „Teatry jawne w Generalnym Gubernatorstwie", „Pamiętnik teatralny", 1963, z. 1–4.
T. Mościcki, „Adolf Dymsza".
T. Mościcki, „Jawne teatry w okupowanej Polsce".

eprasa.pl 33efe048ab

Druga wojna / Zapomniany epizod wojny na morzach

Tragedia „Laconii”

RYS. K. WYRZYKOWSKI

eprasa.pl 33efe048ab

Piotr Zychowicz

Najpierw zatopieni przez U-Boota, potem zbombardowani przez Amerykanów. Tragedia pasażerów feralnego okrętu

W szarym, odrapanym okręcie więziennym, który płynął z mozołem wzdłuż wybrzeży Afryki, trudno było rozpoznać starą „Laconię". Niegdyś była luksusowym liniowcem, który woził zamożnych pasażerów między Liverpoolem i Nowym Jorkiem.

Gdy wybuchła wojna, o „Laconię" upomniała się Royal Navy. Statek został zarekwirowany i zamieniony w krążownik pomocniczy. Bezceremonialnie wymontowano z niego wszystkie elementy świadczące o dawnym luksusie i splendorze. Pomalowano go na stalowoszaro, do pokładu przyśrubowano armaty i działa przeciwlotnicze.

Pod koniec 1941 r. z „Laconii" zdemontowano cięższe działa i przekształcono ją w transportowiec. Najpierw woziła brytyjską piechotę, a potem wziętych do niewoli żołnierzy Osi. Feralnego dnia, 12 września 1942 r., okręt płynął z Kapsztadu do Freetown w Afryce Zachodniej. Stamtąd miał wyruszyć do Anglii.

Na jego pokładzie znajdowało się: 1793 włoskich jeńców; 463 członków załogi; 286 brytyjskich żołnierzy; 87 cywilów, a także 103 polskich żołnierzy, których zadaniem było pilnowanie zgromadzonych pod pokładem Włochów. Łącznie – 2732 ludzi.

Ostatni rejs okrętu w książce „The Sinking of »Laconia«" opisuje James P. Duffy. Według amerykańskiego historyka jeńcy byli przewożeni w fatalnych warunkach. Siedzieli w kilku ciemnych, niemiłosiernie przepełnionych ładowniach. Panował w nich straszliwy zaduch, smród niemytych ciał i uryny.

Na górze, w kajutach oficerów i pasażerów, panowały dużo lepsze warunki. Płynący „Laconią" cywile byli Brytyjczykami, głównie członkami rodzin pracujących w Afryce urzędników kolonialnych i oficerów. W grupie tej znajdowało się wiele dzieci i kobiet.

Około godz. 9.30 rano dym z komina „Laconii" dostrzegł obserwator z grasującego u wybrzeży Afryki niemieckiego okrętu podwodnego U-156. Jego dowódca, Korvettenkapitän (komandor podporucznik) Werner Hartenstein, mimo sporego dystansu, jaki dzielił obie jednostki, uznał, że ma do czynienia z nieprzyjacielem. Rozkaz mógł być tylko jeden. Cała naprzód! Hartenstein położył okręt na kurs spotkaniowy.

Piekło na morzu

Na „Laconii" nie zdawano sobie sprawy z zagrożenia. Gdy wieczorem U-Boot zbliżył się na odległość strzału, na transportowcu kończono wydawać kolację, jeńcy powoli układali się do snu. Polscy żołnierze czyścili broń i gawędzili.

Hartenstein tymczasem obserwował swoją zwierzynę. Niestety, z niewiadomej przyczyny Brytyjczycy nie umieścili na burtach „Laconii" oznaczeń informujących, że przewozi jeńców. Przekonany, że ma do czynienia z okrętem transportującym żołnierzy nieprzyjaciela, dowódca U-156 przystąpił do ataku. Pierwszą torpedę wypluł o godz. 8.04. Drugą – 30 sekund później. Obie z sykiem pędziły w zawrotnym tempie w stronę masywnego kadłuba „Laconii". 100 metrów, 50 metrów, 30 metrów, 20, 10... „Nagle rozległ się potworny huk – wspominał Jim McLoughlin. – Jakbym został uderzony w głowę potężną pięścią dźwięku".

Siła eksplozji była tak potężna, że „Laconia" przechyliła się na lewą burtę, omal się nie przewracając. Gdy po chwili zaczęła wracać do poprzedniej pozycji, trafiła w nią druga torpeda, dopełniając dzieła spustoszenia. Przez transportowiec przeszły dwa silne wstrząsy, które zwaliły z nóg załogę i pasażerów. Drewniane elementy okrętu rozsypały się w drzazgi, szyby wyleciały w deszczu odłamków.

W prawej burcie „Laconii" – tuż pod linią wodną – ziały dwie wielkie dziury, przez które wlewały się masy wody. Na statku rozgrywało się pandemonium. Kapitan Rudolph Sharp dał sygnał do ewakuacji. Przerażeni pasażerowie rzucili się na pokład, w stronę szalup. Nie było to jednak proste, bo „Laconia" kładła się na prawą burtę.

Ludzie grzęźli w korytarzach i kajutach, a ci, którym udało się wydostać na zewnątrz, ześlizgiwali się po mokrym pokładzie i wpadali do wody. James P. Durry przytoczył opowieść jednego z polskich żołnierzy – Jana Derycha – który, gdy

Rozbitkowie z „Laconii" na pokładach U-156 (na pierwszym planie) i U-506

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 33efe048ab

w „Laconię" uderzyły torpedy, znajdował się na byłej sali balowej.

„Nagle zgasły światła i ludzie zaczęli straszliwie krzyczeć w ciemnościach. Nawoływać bliskich. Kąt nachylenia statku i wywoskowana podłoga sali balowej czyniły niemal niemożliwym przejście z jednego końca na drugi. Ludzie czołgali się do wyjścia. Niektórym to się udało, ale inni raz po raz ześlizgiwali się z powrotem".

Derych był jednym ze szczęśliwców, którzy wyrwali się z trzewi konającego statku. Razem z innymi mężczyznami dopadł do szalup ratunkowych. Okazało się jednak, że część lin i bloczków żurawików, na których wisiały, jest tak pordzewiała, iż wielu nie można było opuścić na wodę, przeszkadzał w tym również duży przechył „Laconii".

Najstraszniejsze sceny rozegrały się pod pokładem. Eksplozje niemieckich torped zmasakrowały jeńców w ładowniach o numerach 4 i 2. Na miejscu zginęło ok. 400 Włochów. Ocalali z krzykiem rzucili się do wyjść na pokład. Oszalali z przerażenia tłoczyli się w korytarzach. Pierwsze rzędy jeńców zostały zmiażdżone, ale stalowe pręty się wyłamały.

U wylotów korytarzy stanęli jednak strażnicy. Na rozkaz płk. A.J. Baldwina otworzyli ogień do jeńców, aby powstrzymać ich przed wydostaniem się na powierzchnię! Huknęła pierwsza salwa, potem druga i trzecia. Tłumy Włochów zafalowały i cofnęły się z dzikim wrzaskiem. Podłogi i schody zalała krew. Był to już siódmy krąg piekieł.

W ciemne otwory drzwi ładowni strzelali Brytyjczycy. Czy strzelali również Polacy? Pułkownik Baldwin zapewniał później, że nie. Według niego Polakom na „Laconii" nie wydano amunicji.

Dlaczego Baldwin wydał takie rozkazy? Chodziło o to, aby ogarnięta paniką masa jeńców po zalaniu pokładu „Laconii" nie zajęła wszystkich szalup ratunkowych, wyrzucając z nich kobiety i dzieci. Dopiero gdy ewakuacja cywilów została zakończona, Włochom pozwolono wyjść spod pokładu i wyskoczyć do wody. Zresztą razem z ich brytyjskimi i polskimi strażnikami.

Był to już ostatni moment. „Laconia" nieubłaganie znikała pod falami Atlantyku. Przeciągły zgrzyt ocierających się o siebie stalowych elementów konstrukcji był ostatnim krzykiem konającej jednostki. Wkrótce po olbrzymim okręcie pozostała tylko rozwiewająca się chmura dymu i pary. Zniknął.

Wilk zamienia się w owczarka

Na pokładzie U-Boota kmdr Werner Hartenstein i jego oficerowie winszowali sobie sukcesu. Po raz kolejny udało im się zatopić duży okręt wroga. Hartenstein wydał rozkaz do wynurzenia. Niemieccy podwodniacy rutynowo nawiązywali kontakt z ocalonymi załogami. Pytali o nazwę i tonaż statku. Zaopatrywali rozbitków w wodę i żywność.

U-156 powoli wynurzył się z wody. Gdy Hartenstein, inni oficerowie i marynarze wyszli na pokład, byli oszołomieni. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Tuż obok ich okrętu dryfowało kilkanaście szalup wypełnionych żołnierzami i cywilami. A ocean wokół nich pełen był głów. Znajdujący się w wodzie ludzie rozpaczliwie machali rękami i krzyczeli w trzech językach: „Aiuto!", „Pomocy!", „Help!".

Na pokładzie zatopionej jednostki znajdowali się żołnierze sojusznika! Zanim Hartenstein zdołał zebrać myśli, jego ludzie spontanicznie rozpoczęli akcję ratunkową. Rozbitkowie zaczęli się wspinać na pokład wynurzonego U-Boota. Oblepili go jak muchy.

Werner Hartenstein, dowódca U-156 FOT. WIKIPEDIA

Komandor po chwili oprzytomniał i rozkazał swoim marynarzom wyłowić ludzi. Wszystkich. Niezależnie od narodowości – Brytyjczyków, Polaków, Włochów. Na pokładzie U-Boota miejsca było jednak zaledwie dla ok. 200 osób.

Część kobiet, dzieci i rannych Niemcy wzięli więc pod pokład. Udostępnili im własne koje. Marynarze pomogli naprawić zatopione, potrzaskane szalupy. Zbili prowizoryczne tratwy z unoszących się na wodzie resztek „Laconii".

Aby zapobiec porwaniu ich przez prądy, wypełnione do granic możliwości szalupy – a było ich ok. 20 – zostały przywiązane do U-Boota. W efekcie powstał wokół niego gęsty, ludzki pierścień. Drapieżnik, który stał się powodem tragedii pasażerów „Laconii", teraz stał się dla nich wybawicielem.

O tym, żeby okręt się zanurzył, nie było mowy. Oznaczałoby to śmierć wielkiej części ocalałych. W większości żołnierzy sojuszniczej armii włoskiej.

Sytuacja była tak niecodzienna, że już w czasie akcji ratunkowej Hartenstein postanowił poinformować o niej dowódcę floty podwodnej Kriegsmarine, adm. Karla Dönitza: „Hartenstein zatopił brytyjską »Laconię«. Niestety z 1,5 tys. jeńców włoskich. Do tej pory wyłowiliśmy z wody 90. Proszę o rozkazy".

Oficer, który odebrał meldunek z U-156, od razu zrozumiał powagę sytuacji. Admirał Dönitz, który był wówczas w Paryżu, został obudzony w środku nocy. Gdy powiedziano mu, co się stało, kazał kontynuować akcję ratowniczą.

Admirał rozkazał, aby wszystkie U-Booty znajdujące się w pobliżu pomogły Hartensteinowi. W stronę miejsca katastrofy natychmiast pospieszyły dwie jednostki: U-506 i U-507. Niemcy zwrócili się również o pomoc do swoich sojuszników – Włochów i Francuzów.

Na odsiecz U-156 wyruszył włoski okręt podwodny „Comandante Cappellini". Z kolei ze znajdującego się pod kontrolą rządu Vichy senegalskiego Dakaru wypłynęły trzy okręty: kanonierki „Dumont d'Urville" i „Annamite" oraz krążownik „Gloire". To one miały przejąć rozbitków z okrętów podwodnych i odstawić ich na suchy ląd.

Niemieckie, włoskie i francuskie okręty, mimo że szły pełną parą, były daleko. Godziny mijały i sytuacja stawała

eprasa.pl 33efe048ab

się coraz bardziej rozpaczliwa. Przez dwa dni, 13 i 14 września, rozbitkowie siedzieli w szalupach i na U-156. Panował afrykański skwar. Wielu ludzi doznało rozległych poparzeń słonecznych. Na U-Boocie kończyły się zapasy słodkiej wody, jedzenia i leków.

W coraz gorszym położeniu była załoga. Marynarze, którzy przez dwie doby udzielali pomocy ponad tysiącowi rozbitków na pływającym miasteczku, które powstało wokół U-156, słaniali się na nogach. Na ich morale źle też wpływały setki zmasakrowanych, rozkładających się ciał dryfujących między szalupami i tratwami.

W końcu Hartenstein zdecydował się na ryzykowne posunięcie. Otóż postanowił uczynić miejsce zatopienia „Laconii" strefą neutralną. Wysłał przez radio nieszyfrowaną wiadomość po angielsku, w której podał swoją pozycję i poinformował o sytuacji. Obiecał, że nie zaatakuje żadnej alianckiej jednostki, która zdecyduje się przypłynąć na ratunek.

Pierwsza pomoc nadeszła dopiero ok. południa 15 września – dwa i pół dnia po zatonięciu „Laconii". Był to okręt U-506. Po pewnym czasie z wody wynurzył się również U-507. Oba U-Booty zaczęły wyławiać kolejnych rozbitków, przyjęły na pokład mniej więcej po 150 ludzi. Tego samego dnia na miejsce dotarł włoski okręt podwodny kpt. Marca Revedina.

„To był naprawdę niesamowity i niecodzienny widok na południowym Atlantyku – pisał James P. Duffy. – Cztery okręty państw Osi dryfowały z tłumem Włochów, Brytyjczyków i Polaków na pokładach. Każdy okręt, niczym pies pasterski, starał się skupić w jednym miejscu jak najwięcej szalup i tratew. Tak, aby nie rozproszyły się po oceanie i żeby wszyscy rozbitkowie mogli zostać uratowani przez nadciągające okręty. Wszyscy byli zmęczeni i czekali, aż na horyzoncie pojawią się Francuzi".

Niestety przed Francuzami pojawił się ktoś inny. Amerykanie.

Przybywają kowboje

„Laconia" została zatopiona w pobliżu Wyspy Wniebowstąpienia, na której znajdowała się tajna amerykańska baza lotnicza Wideawake. Brytyjczycy poinformowali Amerykanów o zatopieniu swojego transportowca i 16 września z pasa startowego bazy wzbił się w powietrze bombowiec B-24 pilotowany przez por. Jamesa Hardena.

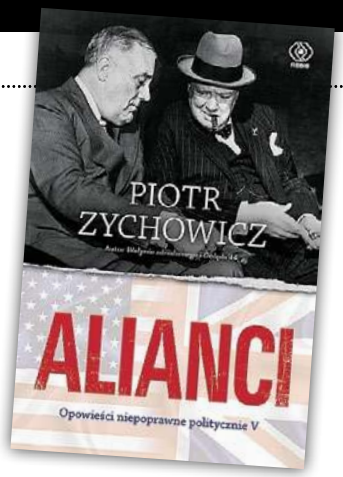

PIOTR ZYCHOWICZ
„ALIANCI"
REBIS

Amerykański lotnik nie miał pojęcia, że Niemcy i Włosi prowadzą akcję ratunkową. Jego zadaniem było sprawdzenie, czy ktoś z „Laconii" przeżył, i zapewnienie rozbitkom wsparcia lotniczego. Na wypadek, gdyby nieprzyjacielski U-Boot znajdował się nadal w pobliżu.

Dlatego gdy Harden i jego załoga nadlecieli nad miejsce zatopienia „Laconii", nie mogli uwierzyć własnym oczom. U-156, na którym stali gęsto stłoczeni rozbitkowie, jak gdyby nigdy nic unosił się na falach. Setki ludzi siedziały w szalupach. Na widok nadlatującego bombowca cały ten tłum, nie wyłączając załogi niemieckiego okrętu, zaczął machać rękami, skakać i wiwatować.

U-Boot nie tylko się nie zanurzył, nie tylko nie otworzył ognia do zbliżającego się samolotu, lecz także jeszcze rozwinął olbrzymią białą płachtę z czerwonym krzyżem. Jeden z brytyjskich oficerów za pomocą niemieckiej lampy sygnałowej kilkakrotnie nadał wiadomość alfabetem Morse'a, w której poinformował Amerykanów, co się dzieje. Niestety, jak się później okazało, żaden z lotników nie znał alfabetu Morse'a.

Mimo to Harden i jego ludzie zrozumieli, co się dzieje. B-24 długo, na niewielkiej wysokości, krążył nad U-156. Rozbitkowie przez cały czas machali Amerykanom, wierząc, że sprowadzą pomoc. Samolot oddalił się od miejsca katastrofy, a lotnicy zameldowali o sytuacji dowództwu.

W bazie Wideawake natychmiast zwołano naradę oficerów. Amerykanie uznali, że właśnie nadarza się wspaniała okazja do osiągnięcia wielkiego „bojowego sukcesu". Rozkaz, jaki wydał por. Hardenowi kpt. Robert C. Richardson, był krótki:

– Zatopić U-Boota!

Gdy B-24 ponownie nadleciał nad U-156, rozbitkowie wydali okrzyk radości. Uwiązł on im jednak w gardłach, gdy samolot otworzył luki bombowe. B-24 zrzucił na okręt podwodny bomby i otworzył ogień z wielkokalibrowych karabinów maszynowych.

W sumie B-24 nadleciał nad U-Boota trzykrotnie. Za pierwszym razem bomby nie trafiły w cel. Za drugim – wpadły między łodzie ratunkowe. Jedna szalupa została trafiona bezpośrednio i wraz z tłumem siedzących w niej osób rozerwana na strzępy. Inna przewróciła się, topiąc pasażerów.

Za trzecim razem bomba spadła pod okręt. Siła eksplozji poderwała U-156 w górę i przewróciła na burtę. Oczywiście wszyscy znajdujący się na okręcie zostali zdmuchnięci do wody.

Amerykanie uznali, że zniszczyli U-Boota, i odlecieli. Niemiecki okręt został jednak tylko uszkodzony i udało się go naprawić. Straty wśród rozbitków były jednak olbrzymie – zginęło kilkaset osób!

Hartenstein nie miał wyboru i musiał się zanurzyć. A ponieważ na okręcie zaczęły się ulatniać toksyczne gazy, znajdujący się na nim rozbitkowie musieli wyskoczyć do wody, bo nie było dla nich masek gazowych. Wśród rozbitków było wiele Brytyjek z dziećmi i Polaków. Przeżyli tylko nieliczni.

Najbardziej zdumiewające jest to, że mimo amerykańskiego ataku dowódcy pozostałych dwóch U-Bootów kontynuowali operację ratunkową. I choć dzień później Amerykanie zbombardowali również U-506 (nieskutecznie), to wielu rozbitków doczekało francuskich okrętów, które przybyły następnego dnia.

Zatopienie „Laconii" i atak B-24 przeżyło w sumie ok. 1,6 tys. jej pasażerów, a więc ponad połowa.

Zbombardowanie „Laconii" miało bardzo poważne konsekwencje. Hitler na wieść o tym, co się stało, wpadł we wściekłość. – Tak kończą się rycerskie gesty panów oficerów! – krzyczał. W efekcie Karl Dönitz musiał wydać słynny rozkaz z 17 września 1942 r., w którym zabronił dowódcom U-Bootów pomagania rozbitkom z zatopionych okrętów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Członkowie ruchu oporu eskortowani przez Milicję Francuską

FOT. WIKIPEDIA

Francja 1940–1944 / Joseph Darnand – twórca Milicji Francuskiej

Francuscy kolaboranci

Arkadiusz Karbowiak

Zbrodnie milicjantów nakręcały spiralę francuskiej wojny domowej pod okupacją niemiecką

W czasie drugiej wojny światowej poza środowiskami konserwatywno-narodowej prawicy – stanowiącymi fundament ideowo-polityczny Państwa Francuskiego – istniały we Francji także faszyzujące partie i organizacje polityczne tzw. paryskich ultrasów (Francuska Partia Ludowa, Zgromadzenie Narodowo-Ludowe, Rewolucyjny Ruch Społeczny). Hołdowały one koncepcjom ideologicznej współpracy z III Rzeszą.

eprasa.pl 33efe048ab

Owe ugrupowania polityczne egzystowały początkowo na obrzeżach Państwa Francuskiego, stopniowo wywierając na jego funkcjonowanie coraz większy wpływ, który osiągnął apogeum pod koniec istnienia L'État Français.

W gronie przywódców lokujących się w tej przestrzeni znalazł się także, niebędący intelektualistą, a raczej człowiekiem czynu, Joseph Darnand. Ten weteran wielkiej wojny, odznaczony przez prezydenta Francji Legią Honorową, po wojnie wstąpił do formacji ochronnych Action Français Camelot du Roi (Kameloci Króla), pełniąc funkcję szefa CR w Prowansji. Jednak krytyczna ocena uwiądu organizacyjnego wyrażona przez Darnanda skłoniła go do odejścia z szeregów CR i dołączenia do Francuskiej Partii Ludowej PPF (Parti Populaire Français), której przewodził Jacques Doriot, a potem przejścia do kierowanej przez Eugène'a Deloncle'a organizacji CSAR – Comité Secret d'Action Révolutionnaire (Tajny Komitet Akcji Rewolucyjnej).

Bojówkarze „Kaptura", jak popularnie nazywano CSAR, przeprowadzili kilka spektakularnych akcji. Do najbardziej znanych należały zniszczenie samolotów przeznaczonych do wysłania do republikańskiej Hiszpanii czy – 9 czerwca 1937 r. – zabójstwo na zlecenie wywiadu włoskiego organizatorów włoskich oddziałów walczących w Hiszpanii po stronie „czerwonych", braci Carlo i Nello Rossellich. Dzięki temu, że Darnand był właścicielem firmy przewozowej, uczestniczył w procederze przerzutu broni z Włoch do Francji. Ta forma jego aktywności nie uszła uwagi policji francuskiej, co spowodowało, iż trafił na kilka miesięcy do więzienia.

W momencie wybuchu drugiej wojny światowej został zmobilizowany i wziął udział podczas kampanii 1940 r. w walkach nad Sommą. Awansowany do stopnia porucznika, trafił do niewoli, z której uciekł. W momencie objęcia przez marszałka Philippe'a Pétaina steru nawy państwowej stał się jego zdecydowanym zwolennikiem. Po utworzeniu w sierpniu 1940 r. Légion Française des Combattants (Francuski Legion Weteranów) Darnand wstąpił do legionu i stanął na czele jego struktur w departamencie Alpes Maritimes (Alpy Nadmorskie). Utworzenie LFC miało być pomysłem zbudowania organizacji aktywnie wspierającej rząd Państwa Francuskiego. Szybko się okazało, że ze względu na panującą inercję organizacyjną nie spełniła ona pokładanych w niej nadziei.

Obserwując postępujący stan bezwładu, Darnand zainicjował powstanie w ramach FLC szczuplejszej kadrowo, ale zdecydowanie bardziej dynamicznej Service D'ordre Légionnaire (Legionowa Służba Porządkowa). SOL liczyła 30 tys. członków, z których 12 tys. prowadziło aktywną działalność. W jej szeregi wstępowali członkowie i sympatycy francuskich organizacji ultrasowskich. Państwo Francuskie oficjalnie uznało ją 12 stycznia 1942 r., a Darnanda nominowano na stanowisko inspektora generalnego. W listopadzie 1942 r., w czasie lądowania aliantów w Afryce Północnej, wezwał on swych zwolenników, by stanęli do walki z najeźdźcami. W odpowiedzi na ten apel członkowie SOL zaciągnęli się do powstałej wówczas Phalange Africaine (Falanga Afrykańska), będącej związkiem taktycznym wchodzącym w skład niemieckiej 334. Dywizji Piechoty. Afrykańską Falangą dowodził płk Simon Cristofini.

Waffen-SS i Milice Française

W tym czasie Joseph Darnand przeszedł pewną ideową przemianę. Z apologety marszałka stał się człowiekiem bliskim ideowo francuskim ultrasom. Coraz bardziej usamodzielniającemu się politykowi z pewnym niepokojem zaczął przyglądać się Pierre Laval. Premier wraz z marszałkiem Pétainem wydali zgodę na sformowanie 30 stycznia 1943 r. – działającej na terenie L'État Français – Milice Française (Milicja Francuska). Jej zwierzchnikiem został Laval, a Darnand objął funkcję sekretarza generalnego.

Członek milicji pilnujący zatrzymanych Francuzów

FOT. THEREADERWIKI.COM

Milicja – podobnie jak SOL – miała być organizacją polityczną wspierającą rząd francuski. Zadowolenie z powodu jej utworzenia wyraził nestor francuskiego monarchizmu i twórca nacjonalizmu integralnego Charles Murras. Stwierdził on, że powstała ona dla „obrony naszych osób, naszych dóbr, naszych domostw, naszej cywilizacji" (Murras wycofał swe poparcie, kiedy dowiedział się, że milicja współpracuje blisko z niemieckimi władzami okupacyjnymi). Symbolem milicji stał się znak gamma, symbol odnowy i energii. Milicjanci zostali umundurowani w baskijskie czarne berety, koszule khaki i czarne krawaty.

Z powodu swego antykomunizmu milicjanci znaleźli się na celowniku bojówkarzy komunistycznego ruchu oporu. Pierwszym zamordowanym przez „czerwone" podziemie stał się 24 kwietnia 1943 r. szef marsylskiej milicji Paul de Gassowski. Do jesieni 1943 r. w zamachach zginęło 76 nieuzbrojonych milicjantów. Widząc rozlewającą się falę morderstw, zirytowany tym stanem rzeczy Darnand zwrócił się do premiera Lavala z prośbą o uzbrojenie milicji. W odpowiedzi na otrzymaną odmowę podał się 5 sierpnia 1943 r. do dymisji. W międzyczasie nawiązał kontakty z Niemcami, którzy interweniowali w jego sprawie. Studyjny wyjazd do Rzeszy na zaproszenie stojącego na czele SS-Hauptamtu (Główny Urząd SS) SS-Obergruppenführera Gottloba Bergera pogłębił relacje szefa milicji z Niemcami.

W efekcie Joseph Darnand wstąpił do Waffen-SS, gdzie mianowano go Waffen-Obersturmführerem. Sekretarz generalny milicji, mając poczucie niemieckiego wsparcia, podjął walkę o przejęcie kontroli nad całym francuskim aparatem policyjnym. Rywalizacja w tej kwestii podjęta z dotychczasowym szefem policji René Bousquetem skończyła się porażką tego ostatniego i powołaniem przez

eprasa.pl 33efe048ab

Oddział Milicji Francuskiej FOT. WIKIPEDIA

Lavala 29 listopada 1943 r. – pod presją Niemców – Josepha Darnanda na stanowisko sekretarza stanu do spraw bezpieczeństwa publicznego, a pół roku później – 13 czerwca 1944 r. – na sekretarza stanu do spraw wewnętrznych. De facto więc pełnił on w rządzie funkcję ministra spraw wewnętrznych. Co ciekawe, jego nominacji – podobnie jak nominacji innego ultrasa Philippe'a Henriota – nie podpisał marszałek Pétain.

W październiku 1943 r. Niemcy przekazali milicji broń. Od tego momentu systematycznie rosły jej szeregi, a liczba członków osiągnęła 30 tys. W ramach struktur milicji Darnand powołał jeszcze do życia– 2 czerwca 1943 r. – kadrową Franc-Garde (Gwardię Frankońską), czyli grupy szturmowe przeznaczone do walki z partyzantką. Początkowo oddziały FG walczyły tylko z komunistami, a sam Darnand próbował porozumieć się z gaullistowską Armée Secrète (Tajna Armia). Kiedy okazało się, że jest to niemożliwe, milicjanci przystąpili do działań także przeciw gaullistom. Rozwój kadrowy milicji oraz bezkompromisowa jej postawa w walce z ruchem oporu, a także udział w akcjach antyżydowskich spowodowały, że Niemcy zaczęły postrzegać tę formację jako jedyne, użyteczne i skuteczne narzędzie w działaniach skierowanych przeciw podziemiu.

Od 29 stycznia 1944 r. milicja otrzymuje zgodę na działalność w północnej części Francji. W marcu 1944 r. milicjanci uczestniczą w operacji antypartyzanckiej prowadzonej przez Niemców przeciw maquis na płaskowyżu Gillers. W zaciętych walkach ginie większość z 450 partyzantów z AS i komunistycznych FTP – Francs-Tireurs et Partisans (Wolni Strzelcy i Partyzanci). Największe emocje w społeczeństwie i sferach rządowych budziły jednak akcje milicjantów mające charakter indywidualnych mordów odwetowych, będących odpowiedzią na sądowe zbrodnie dokonywane przez gaullistów, którzy w Algierii doprowadzili do skazania i stracenia byłego ministra spraw wewnętrznych Państwa Francuskiego Pierre'a Pucheu (rozstrzelany w Algierze 20 marca 1944 r.) oraz dowódcy Falangi Afrykańskiej płk. Simona Cristofiniego (rozstrzelany 3 maja 1944 r.). Reakcji na te egzekucje domagał się od władz francuskich wyższy dowódca SS i policji we Francji SS-Obergruppenführer Karl Oberg. Darnand postanowił zadośćuczynić tym żądaniom i nakazał 4 maja 1944 r. rozstrzelać pięciu członków Résistance z Annecy, skazanych na karę śmierci przez milicyjny sąd doraźny (czterech skazanych Darnand ułaskawił).

Jeszcze wcześniej, 2 grudnia 1943 r., milicjanci pod wodzą Maurice'a Dousseta dokonali zabójstwa w Tuluzie Maurice'a Sarrauta, redaktora pisma „La Dépêche de Toulouse" i jednocześnie byłego członka Partii Radykalnej, przyjaciela szefa policji francuskiej René Bousqueta. Po wojnie o zorganizowanie zamachu został oskarżony, skazany i stracony szef milicji w departamencie Haute-Garonne (Górna Garonna) Henri Fossard. Znaczącą osobą wśród zamordowanych przez milicjantów był Jean Zay, były minister edukacji w okresie Frontu Ludowego. Zabójcy ministra – Jocelyn Maret, Henry Milou, Charles Develle – na podstawie sfałszowanych dokumentów odebrali go z więzienia w Riom, gdzie przebywał, i zamordowali w okolicach miejscowości Les Malvaux na drodze pomiędzy Riom a Melun.

Zbrodnie MF

Zbrodnie milicjantów nakręcały spiralę toczącej się coraz bardziej intensywnie wojny domowej. Brutalności Milice Française towarzyszą podobne działania ruchu oporu. 22 marca 1944 r. w miejscowości Voiron do domu miejscowego szefa milicji Ernesta Jourdana wkracza czterech konspiratorów. Obok zabicia Jourdana mordują oni matkę, żonę, 10-letniego syna oraz trzyletnią córeczkę. Jak się okazało, mordercami byli uczniowie miejscowej szkoły, którzy zostają aresztowani, skazani na śmierć i straceni.

Nie mniej dramatyczne wydarzenia miały miejsce w mieście Saint-Amand-Montrond, wyzwolonym nocą z 6 na 7 czerwca 1944 r. przez oddział maquis Daniela Blancharda z prawicowej organizacji Combat, wspierany przez komunistyczną grupę FTP Marcela Lalonniera. Wycofując się z miasteczka w związku z pojawieniem się Niemców, partyzanci zabrali żonę jednego z dowódców milicji Francisa Bout de l'Ana oraz 13 członków Franc-Garde. Niedługo potem wspomnianą kobietę wymieniono na 60 przetrzymywanych w milicyjnych aresztach konspiratorów, natomiast 13 frankońskich gwardzistów zostało powieszonych przez partyzantów nocą z 20 na 21 lipca (według innych źródeł 24 lipca) w lesie niedaleko Saint-Pierre-Chérignat.

Celnym uderzeniem w milicyjne kadry było zabójstwo ministra propagandy l'État Français Philippe'a Henriota. Ten pełen wiary antykomunista i antysemita zginął 28 czerwca 1944 r. w Paryżu w zorganizowanym przez członków gaullistowskiej Commission d'Action Militare (COMAC) zamachu. Henriot, słusznie uważany za znakomitego propagandystę, był słuchany podczas swych radiowych wystąpień zarówno przez zwolenników, jak i przeciwników.

eprasa.pl 33efe048ab

Dokonany na niego zamach wywołał w środowiskach milicyjnych wściekłość i chęć odwetu. Pierwszą jego ofiarą padł Georges Mandel, były minister spraw wewnętrznych w rządzie Paula Reynauda żydowskiego pochodzenia. Mandel podobnie jak Zay znajdował się w rękach Niemców, którzy przekazali go Maxowi Knippingowi, szefowi milicji w północnej Francji. Knipping polecił przewieźć więźnia z paryskiego więzienia La Santé do więzienia Chateau de Brosses w Vichy. Eskortę stanowiło czterech milicjantów, z których tylko jeden – Mansuy (prawdziwe nazwisko Maurice Solnlen) – otrzymał polecenie dokonania zabójstwa. Zleciła je najprawdopodobniej niemiecka policja bezpieczeństwa, której Mansuy był agentem. W lesie Fontainebleau samochód się zatrzymał. Kierowca Mansuy, wskazując, że zepsuł się gaźnik, kazał wszystkim wysiąść z auta, po czym kilkoma strzałami pozbawił życia Mandela.

Ani premier Laval, ani sekretarz stanu Darnand nie mieli wątpliwości, że zabójstwo inicjowały władze niemieckie. Na początku lipca szef Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa we Francji, SS-Standartenführer Helmut Knochen, otrzymał telegram nakazujący przekonanie władz francuskich do zastosowania represji wobec ministra Mandela oraz dwóch innych polityków w odwecie za zabicie Henriota. Laval zdecydowanie odrzucił tę propozycję. Natomiast Darnand udzielił, za brak nadzoru nad podwładnymi, upomnienia Knippingowi. Innym przykładem retorsji za zamordowanie Henriota była zbrodnia dokonana przez szefa lyońskiego tzw. 2. Biura Milicji (wywiad) Paula Touviera. Dzień po śmierci Henriota Touveir polecił jednemu ze swych podwładnych, Henriemu Gonetowi, wywieźć na cmentarz w Rillieux-la-Pape i zamordować siedem wybranych przez siebie osób pochodzenia żydowskiego. Gonet rozkaz wykonał. Po wielu latach, w 1994 r., za dokonaną zbrodnię Paul Touvier skazany został na dożywocie (wcześniej, w 1947 r., zaocznie skazano go na karę śmierci, w 1971 r. ułaskawił go prezydent Georges Pompidou).

Informacje o haniebnych wyczynach podwładnych Darnanda docierały do uszu przywódców Państwa Francuskiego, spoglądających coraz bardziej krytycznie na brutalne działania milicji. Marszałek Pétain zdecydowanie się od nich odcinał, czego dowodem był wysyłany do Darnanda list z informacjami o zbrodniczych wyczynach podległej mu formacji. W odpowiedzi szef milicji odpisał, że przez ostanie lata słyszał same pochwały, a teraz, kiedy Amerykanie stoją u bram Paryża, okazuje się, że jest plamą na honorze Francji. Rząd francuski pod presją Niemców zmuszony był opuścić Paryż i wyjechać do Belfort, a potem do zamku Sigmaringen.

Czystka '44

Latem 1944 r. Francja stała się obszarem, na którym doszło do przeprowadzenia épuration, czyli politycznej czystki. W Annecy, zajętym 19 sierpnia 1944 r., komunistycznym partyzantom z FTP poddało się 98 milicjantów. O przyznaniu im praw kombatanckich, co było warunkiem oddania się do niewoli, komuniści szybko zapomnieli. Więźniów przewieziono po dwóch dniach do Le Grand-Bornand. Tam powołany partyzancki sąd doraźny uznał 75 milicjantów winnych zdrady i udziału w akcjach przeciw ruchowi oporu. Skazano ich na śmierć, a 23 darowano życie. Jeden z ułaskawionych wyraził chęć dołączenia do skazanych. W ten sposób 24 sierpnia 1944 r. w lesie Pezerettaz rozstrzelanych zostało 76 członków MF. Najmłodszy miał zaledwie 16 lat.

Podobnie było w Nîmes, gdzie w połowie września po posiedzeniach sądu doraźnego ofiarami egzekucji padło 34 milicjantów. W Grenoble 2 września 1944 r. na śmierć skazanych zostało i tego samego dnia straconych sześciu kolejnych członków MF. Areną pozaprawnych egzekucji stała się też stolica Francji, gdzie podkomendni płk. Pierre'a Georges'a z komunistycznego FTP aresztowali 20-letniego milicjanta Roberta Godarda. Młody człowiek, nie mogąc wytrzymać tortur, wyskoczył z okna budynku Instytutu Stomatologicznego, w którym założone zostało więzienie. Całą noc leżał na ulicy z połamanymi nogami. Dopiero rankiem następnego dnia oprawcy położyli go pod murem i rozstrzelali. Istną gehennę przed śmiercią przeszedł katolik i murrasista, Christian de Lorgeril. Zanim umarł 5 września 1944 r., „czerwoni" sadyści zmiażdżyli mu stopy i ręce, a w plecy wbili rozżarzony bagnet.

Żadnej taryfy ulgowej nie zastosowano wobec członka prawicowego ruchu oporu barona Henri Reille'a-Soulta. Komunistyczni maquis wyprowadzili go z domu i zamordowali 17 października 1944 r. W sumie na fali powojennych rozliczeń zginęło we Francji ok. 11 tys. osób.

Jednym ze straconych po uprzednim postępowaniu sądowym był Darnand. Pod koniec 1944 r. jego 1,8 tys. podkomendnych wstąpiło do utworzonej na Pomorzu 33. Dywizji Grenadierów SS Charlemagne. W marcu 1945 r. Joseph Darnand przedostał się do Włoch. Po zakończeniu wojny szykującego się do ucieczki do Algierii rozpoznali Brytyjczycy i przekazali władzom gaullistowskim. Sąd Najwyższy Republiki Francji skazał go na karę śmierci. Przed wykonaniem wyroku Darnand napisał list do gen. Charles'a de Gaulle'a, w którym prosił o powstrzymanie represji wobec milicjantów, którzy – jak twierdził – wierzyli, że służą Francji.

O łaskę dla byłego szefa milicji zabiegał kapelan i weteran ruchu oporu o. Raymond Bruckberger. De Gaulle po przeczytaniu wspomnianego listu prosił go o przekazanie Darnandowi informacji, że musi on ze względu na interes państwa zostać stracony. Z drugiej strony generał skonstatował również, że ma do niego jako żołnierza wielki szacunek. Ostatecznie 10 października 1945 r. w forcie Châtillon Joseph Darnand został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Wywiad / Z prof. Craigiem Symondsem, znawcą historii US Navy

Bombowiec North American B-25 Mitchell startuje do lotu nad Tokio FOT. WIKIPEDIA

rozmawia Piotr Włoczyk

Niemożliwa misja Doolittle'a

– Roosevelt chciał jak najszybciej zadać Japończykom jakikolwiek cios, by podbudować morale własnego społeczeństwa. „Rajd Doolittle'a" był genialną operacją PR–owską – mówi prof. Craig Symonds

PIOTR WŁOCZYK: Czy pomysł na przeprowadzenie takiego nalotu nie był odbierany generalnie jako kompletne szaleństwo?

PROF. CRAIG SYMONDS: Wśród najbliższych współpracowników Franklina D. Roosevelta i najważniejszych amerykańskich wojskowych nie brakowało ludzi, którzy słysząc o tym, pukali się w czoło, ale prezydent podjął decyzję i nikt nie był w stanie zatrzymać tej operacji.

Jak często w tamtym okresie wojny bombowce startowały z lotniskowców?

To był pierwszy raz, kiedy bombowce wystartowały z lotniskowca w misji bojowej. Wcześniej tak duże maszyny wystartowały z lotniskowca tylko jeden jedyny raz. Było to podczas testów u wybrzeży Wirginii. Dowództwo chciało sprawdzić, czy ta misja w ogóle ma jakiekolwiek szanse powodzenia. Dwóch pilotów pokazało, że tak – da się wystartować z lotniskowca bombowcem B-25.

Sceptycy w amerykańskim rządzie i armii krytykowali ten plan z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, mimo że udowodniono, iż bombowce – choć z wielkim trudem – mogą wystartować z pokładu lotniskowca, to nie było mowy, by mogły na nim wylądować. Skoro tak, to trzeba było szukać dla nich lotnisk w pogrążonych w chaosie wojennym Chinach. Kluczowym pytaniem było w tym kontekście: „Czy wystarczy im paliwa, by dotrzeć tak daleko?".

Co było drugim problemem z perspektywy sceptyków?

Bardzo kontrowersyjne było poświęcenie połowy ofensywnej zdolności uderzeniowej US Navy – dwóch lotniskowców – do przeprowadzenia operacji, która w gruncie rzeczy była akcją PR-owską. Wielu wydawało się to ruchem – delikatnie rzecz ujmując – niemądrym. Roosevelt był jednak politycznym geniuszem. Wiedział, że sukces

eprasa.pl 33efe048ab

takiego nalotu będzie gigantycznym zastrzykiem energii dla całego narodu, który wciąż był pogrążony w szoku po ataku na Pearl Harbor. Mijały kolejne tygodnie i Amerykanie nie odpowiadali. Roosevelt chciał jak najszybciej zadać Japończykom jakikolwiek cios, by podbudować morale własnego społeczeństwa, ale także wstrząsnąć Japończykami, bo przecież o takim bombardowaniu byłoby też głośno w pękającej z dumy po ataku na Pearl Harbor Japonii. „Rajd Doolittle'a" był genialną operacją PR-owską

Proszę wybaczyć to pytanie, ale dlaczego Amerykanie nie mogli wiosną 1942 r. zaatakować Japończyków dokładnie tak samo, jak Japończycy zaatakowali USA 7 grudnia 1941 r.? Dlaczego Roosevelt nie mógł po prostu wysłać w kierunku Wysp Japońskich floty lotniskowców z misją zniszczenia dużej bazy japońskiej marynarki wojennej?

Sęk w tym, że na przełomie lat 1941 i 1942 Amerykanie mieli mniejszą flotę od Japończyków. Mieliśmy tylko cztery lotniskowce na całym Pacyfiku. Potęga, z którą kojarzy nam się US Navy w trakcie drugiej wojny światowej, to dopiero przyszłość – wszystkie te okręty dopiero powstawały w amerykańskich stoczniach. Już samo wyznaczenie dwóch lotniskowców do przeprowadzenia „Rajdu Doolittle'a" było bardzo ryzykowne. Wysłanie wszystkich czterech takich jednostek przeciw Japonii byłoby wówczas czymś skrajnie niebezpiecznym. Cały Pacyfik stałby otworem przez Japończykami!

Druga kwestia to okoliczności, w jakich dokonano ataku na Pearl Harbor. Japończykom udało się to osiągnąć, ponieważ zaatakowali w czasie pokoju. Mieli przy tym dużo szczęścia. Udało im się niepostrzeżenie przedostać przez północny Pacyfik m.in. dzięki grubej warstwie chmur. Dokonanie tego samego w czasie wojny, kiedy wszyscy są w gotowości i z każdej strony wypatrują niebezpieczeństwa, graniczyłoby z cudem.

B-25 nie mieściły się na windzie lotniczej USS „Hornet", więc wszystkie maszyny musiały stać na pokładzie. To nie mogło się podobać kapitanowi okrętu.

W związku z tym, że „Hornet" miał na pokładzie 16 bombowców, nie był w stanie obronić się przed japońskim atakiem. I dlatego Amerykanie musieli wysłać drugi lotniskowiec – USS „Enterprise" – jako eskortę.

James E. Doolittle FOT. WIKIWAND

Amerykanie planowali wypuścić swoje bombowce ok. 500 mil od wybrzeży Japonii, więc maszyny te musiały zostać odpowiednio zmodyfikowane. Czym różniły się B-25 Doolittle'a od zwykłych samolotów tego typu?

B-25 to bombowiec średni, więc z natury rzeczy nie jest w stanie przenosić wielkiego ładunku bomb. Na potrzeby misji trzeba było jeszcze zredukować tę zdolność, by zwiększyć zasięg. W samolotach Doolittle'a zamontowano dodatkowe zbiorniki paliwa, a ich wnętrza były ponadto wypełnione kanistrami. W trakcie lotu członkowie załogi przelewali benzynę do zbiorników, jednak zakazano im wyrzucania kanistrów pojedynczo, ponieważ istniała obawa, że Japończycy zobaczą na morzu tę „ścieżkę". Załogi miały więc wyrzucić wszystkie kanistry naraz na sam koniec. Samoloty zostały zamienione w gruncie rzeczy w latające cysterny, więc każdy z nich mógł zabrać na pokład jedynie tonę bomb.

Szesnaście ton bomb przeciw Cesarstwu Japonii nie brzmi jakoś szczególnie powalająco.

A dodatkowo miały one spaść nie na jedno, ale na pięć japońskich miast! Tak jak mówiłem – to miało być bombowe PR-owskie show, a nie nalot, który miał rzucić imperium na kolana.

Ludzie Jimmy'ego Doolittle'a mieli wystartować z „Horneta" ok. 500 mil od wybrzeży Japonii. Plan trzeba było jednak na szybko zaktualizować, bo na horyzoncie niespodziewanie pojawiło się zagrożenie. B-25 musiały się więc poderwać już 650 mil od celu.

Amerykańskie lotniskowce były wyposażone w radary. To była absolutna nowość, niewiele okrętów miało na wyposażeniu takie urządzenia. Japończycy w ogóle nie dysponowali wówczas takim sprzętem. „Hornet" zauważył na swoim radarze, że w odległości ok. 40 mil znajduje się jakaś jednostka. „Enterprise" wysłał więc na zwiad swoje samoloty. Okazało się, że to jedna z japońskich łodzi patrolowych, które tworzyły pierścień bezpieczeństwa wokół Wysp Japońskich i wypatrywały amerykańskiej floty. Załoga łodzi zauważyła samoloty i – zanim została zatopiona – wysłała do swojego dowództwa wiadomość radiową. Amerykanie przechwycili ją i odczytali. Łódź patrolowa alarmowała, że zauważyła wrogie samoloty, więc w jej pobliżu znajduje się lotniskowiec!

Trzeba było podjąć decyzję: albo samoloty Doolittle'a w tym momencie startują, albo cała ekspedycja zawraca. Amerykanie zdecydowali, że, choć znajdują się wciąż daleko od optymalnego miejsca startu, podejmą ryzyko. Załogi rzuciły się do swoich maszyn i błyskawicznie wzbiły się w powietrze.

Skoro piloci wiedzieli, że z dużym prawdopodobieństwem zabraknie im paliwa na dotarcie do lotnisk w Chinach, to chyba nie mieli zbyt radosnych min?

Zaskoczę pana. Ci ludzie rwali się do akcji i choć zdawali sobie sprawę, że ryzyko zdecydowanie wzrosło, to wskakiwali do swoich maszyn z ogromnym entuzjazmem. Do tej misji Jimmy Doolittle wybierał załogi nie tylko pod kątem umiejętności, lecz także ducha bojowego. W kierunku Japonii lecieli najtwardsi amerykańscy piloci.

Mimo początkowego braku szczęścia Doolittle ostatecznie miał sporo fartu – Japończycy przeprowadzili właśnie ćwiczenia obrony przeciwlotniczej...

Ćwiczenia zrobiły swoje. Skoro dosłownie przed chwilą wyły syreny, to jeżeli po chwili znowu wyją, generalnie mało kto się tym przejmuje. Ten zbieg okoliczności dał ludziom Doolittle'a sporą przewagę, ale jednak najlepszą „tarczą" Amerykanów w B-25 było to, że Japończycy kompletnie nie spodziewali się ataku z użyciem bombowców wypuszczonych z pokładu lotniskowca. Łódź patrolowa zaalarmowała dowództwo, że ok. 600 mil od brzegów Japonii znajduje się lotniskowiec, ale kto mógł się spodziewać, że wystartują z niego bombowce o bardzo dużym zasięgu? Jedną z moich ulubionych historii, które obrazują zaskoczenie

eprasa.pl 33efe048ab

Pilot Robert L. Hite w japońskiej niewoli FOT. WIKIPEDIA

Prezydent Ronald Reagan i senator Barry Goldwater wręczają czwartą generalską gwiazdkę Jamesowi E. Doolittle'owi FOT. WIKIPEDIA

Japończyków jest przelot samolotu Jimmy'ego Doolittle'a nad boiskiem do baseballu, gdzie rozgrywany był właśnie mecz. Tłum widzów poderwał się, widząc samolot, i… zaczął machać! Widzowie w naturalny sposób zakładali, że to musi być japońska maszyna.

Dodatkowym utrudnieniem dla japońskiej obrony przeciwlotniczej było to, że samoloty po starcie nie czekały na siebie i nie zgrupowały się w zwartą formację – chodziło oczywiście o bezcenne paliwo. Każdy po starcie leciał samotnie, tuż nad falami, w kierunku swojego celu.

Jak dużo zniszczeń wyrządziły tamtego dnia, 18 kwietnia 1942 r., amerykańskie bombowce?

Straty japońskie były w gruncie rzeczy znikome. Lekko uszkodzone zostały stocznia, stalownia i elektrownia. Niestety bomby spadły też na szkoły i szpital wojskowy. Japończycy próbowali to potem nagłośnić jako „amerykańskie barbarzyństwo", ale lotnicy Doolittle'a nie zrobili tego specjalnie. Poza Tokio część samolotów skierowała się nad Jokohamę, Nagoję, Kobe i Osakę.

Losy załóg po wykonaniu tej misji to doskonały materiał na osobny film…

W „Rajdzie Doolittle'a" brało udział 80 mężczyzn. 73 z nich wcześniej czy później wróciło do Ameryki.

To wygląda jak cud albo co najmniej masa szczęścia.

Zgadza się – to był cud. Większość z nich wyskoczyła nad Chinami, gdy ich maszynom zabrakło paliwa. W związku z przedwczesnym startem nie byli w stanie dotrzeć do lotnisk, które były w rękach Czang Kaj-szeka. Po wylądowaniu na spadochronach, amerykańscy lotnicy dotarli dzięki pomocy chińskich nacjonalistów do Chongqingu skąd wyjechali – z wieloma przystankami – do USA.

Tylko jeden samolot wylądował na lotnisku. Doszło do tego, wbrew planom, na terenie Związku Sowieckiego, niedaleko Władywostoku. Amerykanie początkowo chcieli, by wszystkie samoloty skorzystały z sowieckich lotnisk, ale okazało się to niemożliwe. Moskwa przestrzegała bowiem podpisanego z Tokio układ o neutralności. Załoga tego samolotu, a także sama maszyna, została „internowana" przez Sowietów.

„Internowanie przez Sowietów" nie rokuje najlepiej, ale Amerykanie mogli chyba liczyć na wyjątkowe traktowanie?

Oczywiście, tak naprawdę nie byli oni traktowani jak więźniowie. Internowanie trwało rok, po czym Sowieci pozwolili amerykańskim lotnikom „uciec". W ten sposób cała załoga, przez Iran, wróciła do USA. Amerykanie i Sowieci razem walczyli z III Rzeszą, Moskwa dostawała ogromną pomoc w ramach programu Lend-Lease, więc trudno się dziwić, że to „internowanie" wyglądało tak, a nie inaczej.

Siedmiu lotników nie miało jednak tyle szczęścia.

Trzech z nich zginęło w trakcie misji (dwóch na pokładach maszyn, które próbowały wylądować awaryjnie, jeden w wyniku wypadku podczas skoku ze spadochronem). Ośmiu zostało schwytanych w Chinach przez Japończyków. Trzech spośród pojmanych Amerykanów zginęło w egzekucjach. Jeden zmarł w obozie jenieckim. Pozostała czwórka przeżyła wojnę w obozach! Ich życie nie mogło być łatwe, bo Japończycy do końca nie zapomnieli im udziału w pierwszym nalocie na Japonię.

Jakie wrażenie zrobił na Amerykanach „Rajd Doolittle'a"? Roosevelt był zadowolony z efektów swojej super kosztownej operacji PR-owskiej?

Plan został zrealizowany w 100 proc. Amerykanie pękali z dumy. Na pierwszych stronach gazet widniały nagłówki w stylu: „Payback for Pearl Harbor!" („Zemsta za Pearl Harbor!"). W całym kraju panowała atmosfera fety. Nieważne, że japońska machina wojenna została uszkodzona w stopniu niemal niezauważalnym, nieporównywalnym do zniszczeń, które Japończycy wyrządzili w Pearl Harbor. Roosevelt musiał był wtedy uśmiechnięty od ucha do ucha, szczególnie, gdy odpowiadał prasie na „niewygodne" pytania.

Dziennikarze zainteresowali się oczywiście tym, w jaki sposób bombowce znalazły się nad japońskimi miastami. Japończycy zdążyli sobie odpowiedzieć na to pytanie, więc nie był to już żaden wielki sekret. Waszyngton wciąż jednak utrzymywał wokół tej misji aurę tajemniczości. Kiedy podczas konferencji prasowej Roosevelt dostał pytanie: „Skąd te samoloty przyleciały?", odpowiedział: „Z Shangri-La".

Jednego Rooseveltowi nie można odmówić: poczucia humoru.

Amerykański prezydent z kamienną twarzą wymienił wówczas nazwę fikcyjnej, magicznej krainy z bardzo popularnej powieści Jamesa Hiltona „Zaginiony horyzont". To był właśnie cały Roosevelt! Ten żart idealnie wpisał się w atmosferę PR-owskiego show, którym był „Rajd Doolittle'a".

Komu, oczywiście poza członkami załóg, należały się tu gratulacje w pierwszej kolejności? Kto wpadł na ten szalony pomysł?

eprasa.pl 33efe048ab

Jak wiadomo, każdy sukces ma wielu ojców. W tym przypadku pomysł szybkiego uderzenia na Japonię miał dwóch ojców. Pierwszym był Roosevelt, który liczył na szybkie podbudowanie amerykańskiego morale. Drugim był admirał Ernest J. King, szef sztabu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, który – mimo że USA trzymały się uzgodnionego z Wielką Brytanią planu „Europa pierwsza" – chciał jak najszybciej osiągnąć jakiś sukces na Pacyfiku. Obaj zawzięcie dążyli do przeprowadzenia tej misji.

Jednak sam pomysł wysłania bombowców z pokładu lotniskowca był dziełem Francisa S. Lowa, który nadzorował ćwiczenie załóg bombowców. Low był wtedy na Florydzie. Na pasie startowym namalowany był zarys lotniskowca, by załogi ćwiczyły się w bombardowaniu takich celów. Kiedy Low zobaczył bombowiec nad tym zarysem, zapaliła mu się w głowie żarówka i pomyślał: „A w sumie dlaczego by nie spróbować tego?". Tak doszło do testu u wybrzeży Wirginii, który pokazał, że jest to możliwe.

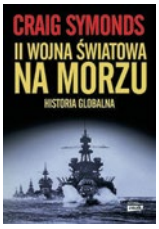

CRAIG SYMONDS
„II WOJNA ŚWIATOWA NA MORZU"
ZNAK

Dlaczego dowództwo postawiło właśnie na Jimmy'ego Doolittle'a?

To fascynująca postać! Doolittle był bardzo niski, mierzył jakieś 1,6 m wzrostu. Tak jak wielu niewielkich posturą mężczyzn Doolittle musiał nadrabiać twardym charakterem. Nie był zbyt dobrym uczniem, często wdawał się w bijatyki, ale okazał się prawdziwym talentem, jeżeli chodzi o pilotowanie samolotów. To był jego żywioł! W latach 30., gdy odszedł z armii [w tamtych czasach amerykańskie lotnictwo wojskowe podlegało US Army. US Air Force powstało w 1947 r. – przyp. red.], pracował jako pilot kaskader dla Shell Oil Company. Firma ta miała własną ekipę kaskaderów lotniczych, którzy jeździli po całej Ameryce i robili spektakularne podniebne show. Doolittle był wówczas prawdziwą gwiazdą! Gdy wybuchła wojna, wrócił do wojska.

Wszystko jasne: tylko pilot kaskader mógł stanąć na czele tej operacji.

Doolittle'owi jednak nie wystarczyło samo skompletowanie załóg i zaplanowanie wszystkich szczegółów. Rwał się do tej misji, ale jego przełożeni nie chcieli o tym słyszeć. Był jednak tak uparty, tak nieznośnie wiercił swoim dowódcom dziurę w brzuchu, że ci musieli w końcu skapitulować. Jimmy Doolittle dopiął swego i osobiście wziął udział w najbardziej niesamowitym ze wszystkich swoich lotów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. Craig Symonds jest amerykańskim historykiem, marynistą, emerytowanym wykładowcą Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. W Polsce ukazała się właśnie jedna z jego najważniejszych książek pt. „II wojna światowa na morzu. Historia globalna" (wyd. Znak).

REKLAMA

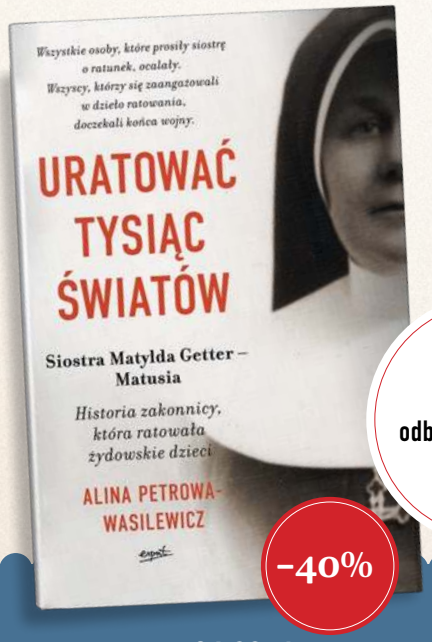

esprit

Poznaj historię
siostry Matyldy Getter,
cichej bohaterki czasów zagłady!

Jak przedstawić ludzi, dla których ratowanie setek istnień było czymś naturalnym, oczywistym? Jak opisać fenomen cichego heroizmu, który nigdy nie szukał poklasku? Odpowiedź daje Alina Petrowa-Wasilewicz, składając z pięknych świadectw portret siostry Matyldy Getter.

PIOTR LEGUTKO,
redaktor naczelny TVP Historia

Z hasłem DORZECZY odbierz dodatkowe 5% rabatu*

-40%

~~44,90 zł~~ → 26,90 zł

Zamów już dziś!

12 264 37 09, 12 395 70 72 (poniedziałek–piątek 8:00–16:30)
Przez internet: www.esprit.com.pl.
* Kod ważny do 30 czerwca.

eprasa.pl 33efe048ab

Rosja i bolszewizm / Ogromne dzieło Jana Kucharzewskiego

Carat biały, carat czerwony

Marek Gałęzowski

Jak nikt inny wykazał, że XX-wieczny totalitaryzm komunistyczny czerpał z wzorców i instytucji wytworzonych w Rosji carów

Zajmuje wybitne i samodzielne stanowisko wśród naszych historyków, nie jest on połykaczem pyłów archiwalnych. Ujmuje on syntetycznie fakty znane wielu historykom, lecz nienależycie przez nich zrozumiane, jest pisarzem politycznym, usiłującym znaleźć drogowskaz polityczny przez badanie Rosji, która zaciążyła w ciągu wieków na naszym rozwoju. Dla wykształcenia politycznego polskiego narodu uznał on zapoznanie społeczeństwa polskiego z istotą Rosji, przekształcającą się w zewnętrznych formach, ale nie w swej treści zasadniczej".

Tak scharakteryzował Jana Kucharzewskiego i jego pracę naukową Władysław Studnicki, równocześnie podkreślając główną tezę sformułowaną przez pisarza, który jej uzasadnieniu poświęcił dzieło życia zatytułowane „Od białego caratu do czerwonego". Wydane w międzywojniu, po 1945 r., stało się jednym z wielu wybitnych osiągnięć kultury polskiej, najsurowiej zakazanych przez komunistyczną cenzurę.

Ten urodzony w 1876 r. absolwent rosyjskiego Uniwersytetu Warszawskiego, prawnik i historyk, był początkowo również dobrze rokującym politykiem. Związał się z ruchem narodowym, kiedy głosił on idee przeciwstawienia się zaborcy rosyjskiemu, odszedł w 1908 r. w licznej grupie tych, którzy krytykowali przejście Narodowej Demokracji na pozycje lojalistyczne wobec zaborcy i poparcie dla idei panslawizmu. Zaczął publikować w sprzeciwiających się ugodzie czasopismach Studnickiego, a podczas wyborów do IV Dumy, krótko przed pierwszą wojną światową, stanął w szranki przeciw Romanowi Dmowskiemu. Ówczesną sensacją było to, że obaj

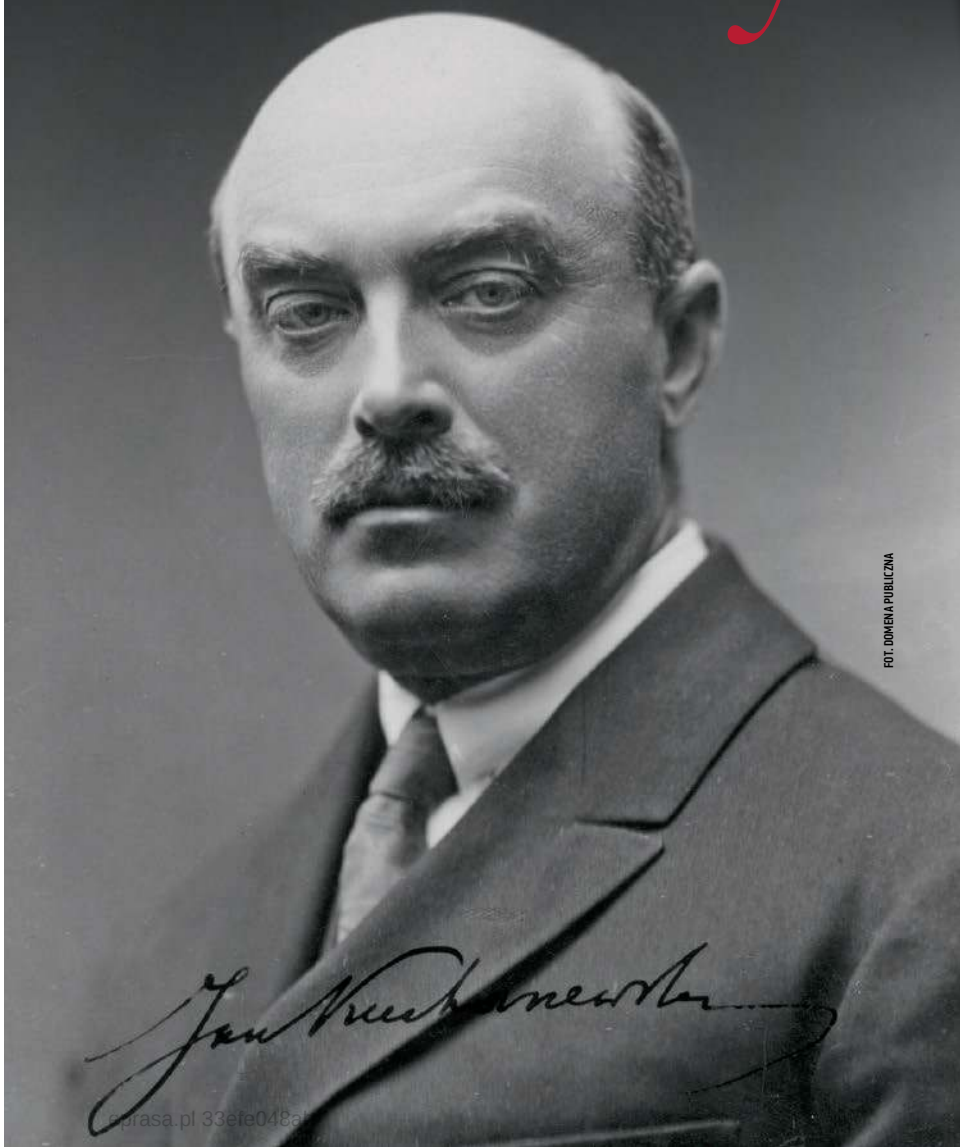

FOT. DOMENA PUBLICZNA

prasa.pl 33efe048a

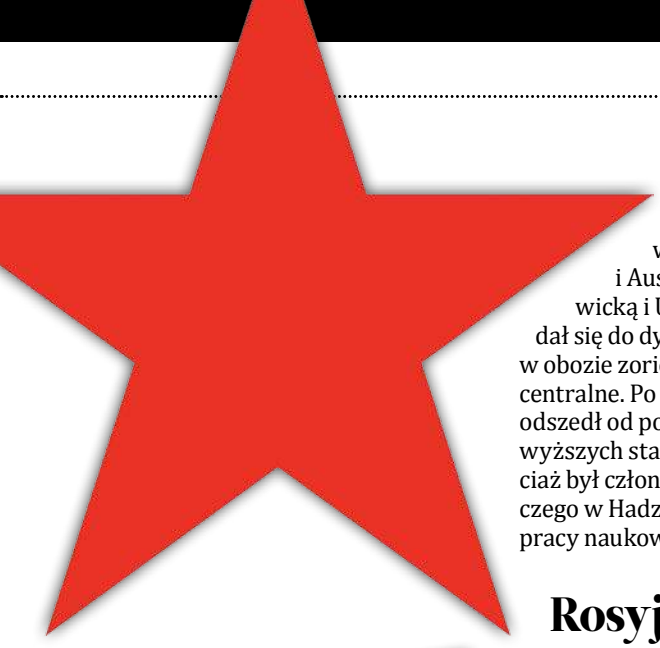

przegrali z kandydatem skrajnej lewicy, który wyłącznie z tego powodu trafił na karty podręczników akademickich.

W czasie wojny Kucharzewski przebywał w Szwajcarii, gdzie w licznych pracach publikowanych w języku francuskim propagował prawo Polski do niepodległości, przekonując, że trwały pokój w Europie bez państwa polskiego nie jest możliwy. Ta działalność cieszyła się dość dużym rozgłosem i przyczyniła się, wśród licznych innych inicjatyw, do zainteresowania na Zachodzie sprawą polską.

W czerwcu 1917 r. wrócił do kraju, w grudniu został premierem rządu powołanego przez Radę Regencyjną. Od razu poniósł klęskę, która przesądziła o jego dalszej karierze politycznej. Rząd nie został bowiem dopuszczony do rokowań brzeskich, prowadzonych przez Niemcy i Austro-Węgry z Rosją bolszewicką i Ukrainą. Kucharzewski podał się do dymisji, nadal jednak działał w obozie zorientowanym na państwa centralne. Po odzyskaniu niepodległości odszedł od polityki, nie zajmował także wyższych stanowisk publicznych (chociaż był członkiem stałego Sądu Rozjemczego w Hadze), a skoncentrował się na pracy naukowej.

Rosyjskie samowładztwo

Chronologicznie „Od białego caratu do czerwonego" obejmuje okres dziejów Rosji od panowania Mikołaja I do rządów Aleksandra III, z odniesieniami w przeszłość i – niezbyt licznymi – do rządów bolszewickich. Jednym z najważniejszych zagadnień omówionych przez pisarza był problem rosyjskiego maksymalizmu, który jako typowy w myśli nurtu opozycyjnego w Rosji będzie przewijał się przez kolejne części dzieła. Na uwagę zasługuje również ponadtrzystustronicowy rozdział w tomie trzecim, który mógłby być wręcz osobną pracą pt. „Policja tajna przy robocie", szczegółowo charakteryzujący metody rosyjskiego III Oddziału, poprzednika Ochrany. Tom piąty dotyczy walki ruchu narodnickiego z caratem. W różnych rozdziałach swojego dzieła, zwłaszcza w tomie czwartym, autor odnosi się do relacji polsko-rosyjskich. Zwraca uwagę na poglądy zwolenników i przeciwników samowładztwa wobec sprawy niepodległości Polski, niepokojąco do siebie zbliżone.

Praca została napisana z wielką erudycją i świetnym stylem, chociaż z punktu widzenia dyscypliny naukowej trudno czasem uzasadnić rozbudowę niektórych wątków czy liczne dygresje. Niemniej z całą pewnością nie jest to lektura nużąca. Znajdują się tam fragmenty napisane porywająco, jak dotyczący przygotowań do ostatniego zamachu na Aleksandra II, zakończonego śmiercią cara, czy sprawy byłego narodnika, a potem prowokatora Siergieja Diegajewa, który zabił szefa tajnej policji, w porozumieniu z tymi, których nie zdążył wydać, po czym wyjechał z Rosji i następne 35 lat życia spędził jako nauczyciel matematyki na jednym z uniwersytetów amerykańskich, gdzie nikt nie miał pojęcia, że zdaje egzamin u bohatera jednej z najgłośniejszych prowokacji politycznych w dziejach carskiej Rosji.

Główną tezą Kucharzewskiego jest wyrażone w tytule przekonanie, że stworzony przez bolszewików system totalitarny jest wzorowany na mechanizmach sprawowania władzy z czasów samowładztwa, ustroju zbudowanego w Rosji XVI w., ale wywodzącego się ze średniowiecznej władzy książąt moskiewskich. Innymi słowy, Kucharzewski dążył do wykazania, że XX-wieczny totalitaryzm komunistyczny, powstały w Rosji, mimo nieporównanie większej skali represji i ingerencji we wszystkie dziedziny życia społecznego, był wytworem rodzimym, odwołującym się do wzorców i instytucji wytworzonych w Rosji carów.

Wpływ filozofii i koncepcji politycznych, sformułowanych w epoce nowożytnej na Zachodzie, przejęty przez bolszewików – skrajny odłam rosyjskiej lewicy – miał charakter drugorzędny. Taka interpretacja genezy sowieckiego totalitaryzmu dała początek problemowi, który w latach 90. Józef Smaga nazwał „wciąż powracającym pytaniem".

Pęd do zniszczenia

Jak wspomniano, Kucharzewski zwrócił uwagę na zjawisko maksymalizmu – dążenia do stworzenia w Rosji na gruzach starego ładu ustroju idealnego, będącego oryginalnym wytworem rosyjskim, odrzucającym dorobek wolnościowych rozwiązań w dziedzinie ustroju państwa i prawa, wypracowany w krajach cywilizacji zachodniej. Tym, co uznał za typową cechę owej idei, był pęd do zniszczenia, a nie zmiany dotychczasowego ładu, bez ukrywania, że będzie to oznaczało krwawą rozprawę z całą dotychczasową warstwą społeczną, arbitralnie uznawaną za uprzywilejowaną.

Jeden z czołowych przywódców bolszewickich Grigorij Zinowjew, który głośno stwierdzał, że trzeba zlikwidować 10 mln mieszkańców Rosji, powtarzał tylko słowa swoich XIX-wiecznych poprzedników, np. znanego z łagodności charakteru Piotra Ławrowa, który ubolewał, że w czasie rewolucji będą ginąć

eprasa.pl 33efe048ab

ludzie niewinni, ale należy się z tym pogodzić. Jako matematyk w osobliwym obliczeniu wykazywał, że zamordowanie ziemianina przez chłopa nie jest stosunkowo okrutne dla niego, ponieważ inaczej niż włościanin cierpiał on tylko przez minimalną część życia. Pisze Kucharzewski: „Złamanie wszystkich zasad moralnych stanowi dźwignię rewolucji, zbrodnia jest programem, naturalną drogą działania". Jednym słowem ten program był „dialektyką oprawców", jak puentował w „Potędze smaku" Zbigniew Herbert.

Obraz rewolucjonistów rosyjskich, o których Kucharzewski pisze bezstronnie, drobiazgowo wyjaśniając motywację ich działań, daleki był od rozpowszechnionego w literaturze, nie tylko PRL-owskiej, obrazu szlachetnego idealisty, walczącego o wolność z depczącym wszelkie prawa absolutyzmem. W jego dziele znajdziemy wiele przykładów tego, jak wąska była granica między szlachetnymi pobudkami a policyjną prowokacją, jak wielu radykałów, nie wyłączając tych, którzy uczestniczyli w przygotowaniu zamachów na Aleksandra II, łatwo wyrzekało się swoich idei, często gorliwie denuncjując niedawnych towarzyszy, bynajmniej nie tylko z chęci ocalenia życia czy pod wpływem presji fizycznej.

Analizując poglądy rewolucyjnych przeciwników samowładztwa Kucharzewski zwraca uwagę na problem ich postrzegania na Zachodzie – powszechne złudzenie, że dążyli oni do wolności i wprowadzenia rządów parlamentarnych. To przekonanie uważa za „jeden ze znaków wiecznego nieporozumienia między Rosją a Zachodem". W rzeczywistości bowiem przeciwnicy samowładztwa dążąc do jego obalenia, wcale nie zamierzali wprowadzić w Rosji rządów przedstawicielskich, opartych na indywidualnej wolności jednostki, lecz władzę, która będzie rządzić społeczeństwem bez jego

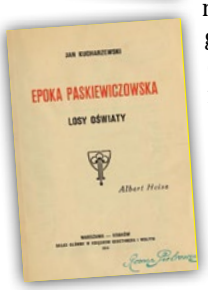

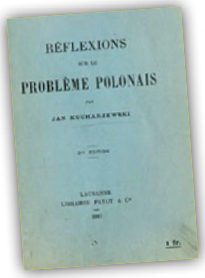

udziału – jak twierdzili – dla dobra ludu i w zgodzie z jego interesem.

Popularny na Zachodzie Michaił Bakunin „pod pozorami anarchisty jest to zwiastun despotyzmu rewolucyjnego, dyktatury czerwonej" z ambicjami co najmniej wszechuropejskimi. Jego wizja ustrojowa uzasadniała jeden z najważniejszych poglądów Kucharzewskiego, że królestwo przyszłości, którego model teoretyczny stworzyli rewolucjoniści, to w istocie lustrzane odbicie znienawidzonego przez nich samowładztwa. Po latach niezależnie od Kucharzewskiego do tego samego wniosku doszedł Richard Pipes: „System rządzenia, który [bolszewicy] uważali za najlepszy, był zwierciadlanym odbiciem carskiego".

Na ile jednak idee docierające z Zachodu wpływały na wizję przyszłej Rosji? Kucharzewski przyznawał, że rewolucja czerpie z teorii zachodnich, ale ducha, treść – z gruntu rodzimego. Przeciwnicy caratu zainteresowani przede wszystkim burzeniem starego ładu najchętniej bowiem zapożyczają idee i poglądy, które wiążą się z przymusem, kontrolą, a nie wartościami wolnościowymi, demokratycznymi. Dla przeważającej części lewicy rosyjskiej, począwszy od jej ojców, czyli Aleksandra Hercena i Bakunina, konstytucja, parlament i odpowiedzialny przed nim rząd były oszustwem, które ma utrwalić władzę uprzywilejowanej części społeczeństwa. Były dowodem „zgnilizny chylącego się do upadku Zachodu", gdzie instynkt kolektywistyczny ludu został stłumiony przez indywidualizm jednostki tożsamy z egoizmem, którego ceną jest wyzysk ludu. „Legenda o zgniłym Zachodzie" – tytuł jednego z rozdziałów książki dobrze oddaje stosunek elit rosyjskiej opozycji do osiągnięć kultury politycznej tego kręgu cywilizacyjnego.

„Po co między władzę najwyższą a naród wciskać jakieś przedstawicielstwo" – mówił jeden z najbardziej przekonanych

zwolenników samowładztwa Michaił Katkow. „Wiara w rządy reprezentacyjne to przesąd" – pisał największy obok Bakunina ideolog anarchizmu Piotr Kropotkin. „Gadalnia" – tak jedni i drudzy określali parlament. O ile jednak w wypadku zwolenników samowładztwa wydaje się naturalne, że byli oni przeciwnikami wolności prasy, autonomii uniwersytetów, niezawisłego sądownictwa, samorządu, krytykując główne reformy Aleksandra II, to czynione w innej formie zastrzeżenie dotyczące wolności w pismach rewolucjonistów mogły wydawać się zaskakujące dla tych, którzy między rewolucją a wolnością stawiali znak równości. Było akurat odwrotnie, co długo przed Kucharzewskim dostrzegli Tadeusz Grużewski i Studnicki, który zauważył, że walka między samowładztwem a rewolucją była w rzeczywistości walką dwóch biurokracji.

Bezduszny kolektyw

W myśli lewicy rosyjskiej lud, w którego imieniu miało zostać obalone samowładztwo, został podniesiony do rangi absolutu. Autor „Od białego do czerwonego caratu" dostrzegał jedną z przyczyn tej sakralizacji ludu w upadku autorytetu Kościoła prawosławnego, który – całkowicie podporządkowany państwu – był

eprasa.pl 33efe048ab

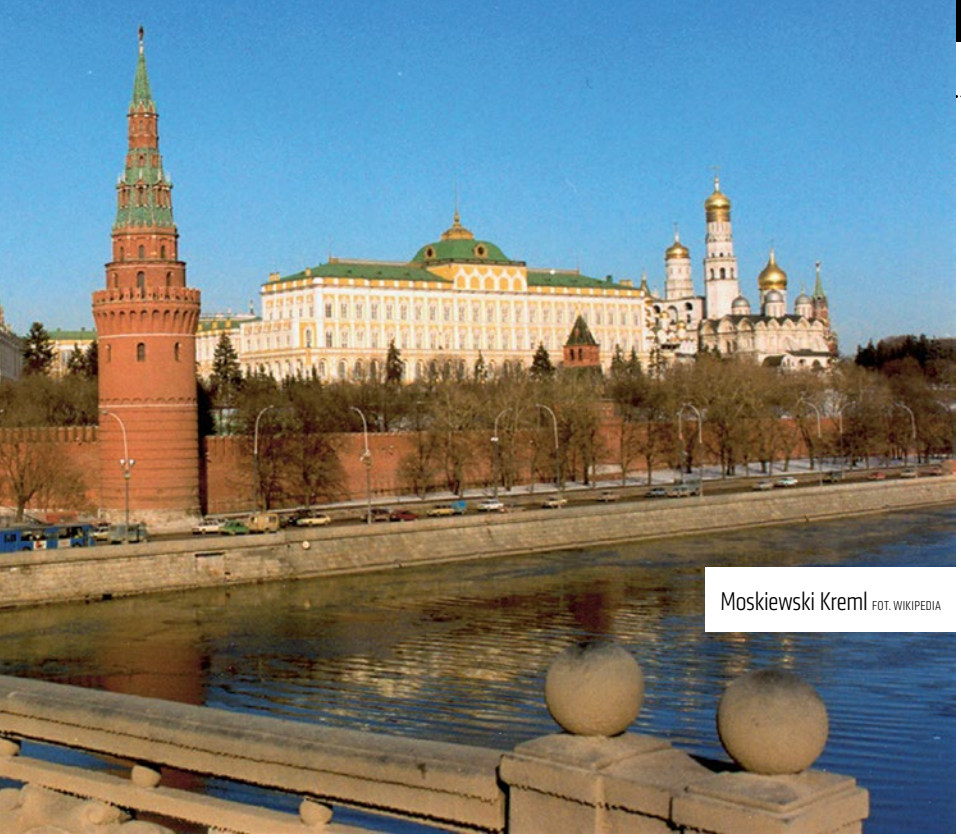

Moskiewski Kreml FOT. WIKIPEDIA

obojętny wobec kwestii politycznych i społecznych, nurtujących w tym drugim wypadku masy zwykłych Rosjan. Przestał być dla nich punktem odniesienia, tak jak był nim Kościół katolicki w Polsce, dzielący losy narodowe w podzielonym zaborczymi granicami kraju. Nie może więc dziwić proces odchodzenia od wiary religijnej do wiary rewolucyjnej, od wiary w Boga i w cara do wiary w lud. Nadanie ludowi rangi absolutu prowadziło jednak przede wszystkim do uznania jednostki, jej indywidualnej wolności za coś szkodliwego, stawiało ponad nią bezduszny kolektyw, służący w rzeczywistości jedynie za pretekst do realizowania doktryny, która okazała się doktryną totalitarną.

Jakie było jednak źródło tak skrajnie pojętego celu walki z samowładztwem? Według Kucharzewskiego tkwi ono w systemie, który utrwalił w Rosji „duch bezprawia" (na co zwracał również uwagę w jednej z najbardziej przenikliwych analiz dzieła Kucharzewskiego pod takim właśnie tytułem Wojciech Karpiński). System, w którym niekontrolowana władza jest jedynym źródłem decyzji, uniemożliwił społeczeństwu wykształcenie poczucia wspólnoty i odpowiedzialności za państwo, jak to się stało na Zachodzie. Samowładztwo paraliżowało nie tylko krytykę postępowania władz, lecz także wyrażanie w najbardziej umiarkowanej formie inicjatywy obywatelskiej, mającej na celu ochronę społeczeństwa przed nieograniczoną samowolą biurokracji carskiej, tym najbardziej wyrazistym symbolem państwowego despotyzmu.

Władze pod pojęcie rewolucji podciągały „wszystko, co nie zgadzało się z samowładztwem", prześladując działaczy samorządowych, których wina polegała na samym przedstawianiu monarsze postulatów politycznych, zawsze wszak umiarkowanych w formie i treści. To zaś spychało część inteligencji na pozycje skrajnej opozycji, aż do walki terrorystycznej z aparatem państwowym. Wiele tego przykładów znajdziemy w pracy Kucharzewskiego, argumentującego, że to rządy Mikołaja I wytworzyły nihilistę, którego jedynym celem jest niszczenie – wszystkiego. Proces ten według pisarza miał decydujące znaczenie dla dalszej historii Rosji, ponieważ spowodował zniszczenie przez rewolucję nie tylko samowładztwa, lecz także zwolenników ewolucyjnej przemiany Rosji w republikę parlamentarną.

Dzieło Kucharzewskiego dowodziło, że władze rosyjskie przez narzucony społeczeństwu duch bezprawia tworzyły wzorce dla przyszłego totalitaryzmu. Lecz w poszukiwaniu odpowiedzi na „wciąż powracające pytanie" pewne jest jedno. Rosja carska w stosunku do własnych obywateli nie znała masowego terroru, ani tym bardziej odpowiedzialności zbiorowej, którą powszechnie wprowadzili komuniści, rozciągając swoje barbarzyńskie zwyczaje, bo przecież nie prawo, na rodziny aresztowanych – czy to w czasie wojny domowej, czy później, w okresie tzw. wielkiego terroru. Aresztowanych, o których wiadomo, że żadnej winy nigdy nie popełnili – większość tych ludzi była tak sterroryzowana, że nawet nie pomyślała, aby wystąpić przeciw władzy komunistycznej.

Rękopisy płoną...

Chociaż przed wybuchem wojny Kucharzewski opublikował aż siedem tomów swojej książki, to nie dane mu było jej dokończyć. Zabrakło trzech tomów, które przygotowane do wydania spłonęły w czasie oblężenia Warszawy przez Niemców we wrześniu 1939 r. Wiosną następnego roku Kucharzewski wyjechał z okupowanej Polski. Na emigracji w Stanach Zjednoczonych kontynuował działalność naukową, był prezesem Rady Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Przygotował jednotomową wersję swojego dzieła w języku angielskim, nie zyskała ona jednak poważniejszego rozgłosu. „Klęską Kucharzewskiego w Ameryce był jego pesymizm w stosunku do Rosji jako narodu. Nie tylko rusofile, lecz także prostolinijni idealiści amerykańscy uznali to za dyskryminację. To go skończyło jako uczonego, chociaż nikt w tym kraju nie wiedział tyle co on i tak wiele o Rosji" – pisał w „Dzienniku" Jan Lechoń. Jeżeli dodać do tego niezwykłą popularność Stalina i Związku Sowieckiego w Stanach Zjednoczonych w okresie drugiej wojny...

Ten wybitny polski historyk, który był kimś więcej niż jedynie historykiem, zmarł w 1952 r. w Nowym Jorku, niemal w nędzy. Jak zauważył Lechoń, nie można było w ostatnich dniach jego życia wydostać od emigracji jakiegokolwiek wsparcia dla tego powszechnie znanego polskiego naukowca, chociaż z drugiej strony równie powszechnie ubolewano nad tym – jako skandalem. Lecz, jak pisał dalej autor „Karmazynowego poematu", pogrzeb wyprawiono niezwykle uroczysty: „Ciężki pieniądz pójdzie na ten pogrzeb, który może odwlokłoby się o parę lat, gdyby Kucharzewski nie miał tak ciężkiego życia".

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 33efe048ab

Wielki terror / Kariera Prokuratora Generalnego ZSRS

Niezawodne narzędzie zbrodni

eprasa.pl 33efe048ab

Mikołaj Iwanow

Polaków skazywał na śmierć w imieniu władzy sowieckiej inny Polak – Andrzej Wyszyński

Wyszyński (w środku) podczas jednego z procesów moskiewskich, 1937 r. FOT. THEREADERWIKI

W latach wielkiego terroru zamordowano w Związku Sowieckim ponad 200 tys. Polaków. Skazano ich na śmierć z wyroków tzw. trójek, bolszewickiej namiastki sądów powszechnych. Teoretycznie na każdym z wyroków powinien widnieć podpis innego Polaka – Andrzeja Wyszyńskiego. Przetrwać gehennę stalinowskiego wielkiego terroru dla zwykłego Polaka było rzeczą bardzo trudną, czasem prawie niemożliwą. „Operacja polska" przeprowadzona w latach 1937–1938, była przedsięwzięciem o charakterze ludobójczym. Szalejący w miastach i na wsi terror antypolski miał charakter niemalże powszechny, chociaż na tle tej potwornej nagonki na Polaków były wyjątki. Czasem wyjątki prawie niewiarygodne. Jednym z takich wyjątków był los Andrzeja (Andreja) Wyszyńskiego, który mógł poszczycić się polskim szlacheckim pochodzeniem.

Teoretycznie jego kariera polityczna, pochodzenie i postawa w pierwszych latach po rewolucji bolszewickiej kwalifikowały go do roli agenta polskiego wywiadu i do kuli kata w okresie wielkiego terroru. A stał się on symbolem wielkiego terroru stalinowskiego, niezawodnym narzędziem zbrodni w rękach Stalina. Główną przyczyną tej unikatowej roli Andrzeja Wyszyńskiego była jego całkowita uległość i lizusowska służalczość wobec Stalina, kompletne upodlenie się i pozbycie się przez niego wszystkich zasad moralnych.

Do rosyjskiej partii socjaldemokratycznej zapisał się dopiero w roku 1920, a przed tym był jednym z liderów mieńszewickiego odłamu tej partii, którzy ostro zwalczali bolszewików. W okresie rządu tymczasowego Aleksandra Kiereńskiego, piastując urząd dowódcy wydziału milicji obywatelskiej w jednej z dzielnic Moskwy, Wyszyński wydał rozporządzenie o „wyszukiwaniu i oddaniu pod sąd niemieckiego szpiega Lenina". Dlatego jedną z przyczyn jego późniejszego ślepego oddania się Stalinowi był strach przed wykryciem jego pracy w milicji rządu tymczasowego, lojalnego stronnika Kiereńskiego.

W stalinowskiej bolszewickiej elicie Wyszyński był jednym z nielicznych solidnie wykształconych działaczy. Był dyplomowanym prawnikiem, który otrzymał dyplom na Uniwersytecie w Kijowie jeszcze przed rewolucją. Obok polskiego i rosyjskiego swobodnie posługiwał się francuskim, dobrze znał niemiecki i angielski. Podobno nietykalność w okresie wielkiego terroru zapewniała mu bliska zażyłość ze Stalinem, z którym siedzieli w jednej celi w roku 1906. Dostępne dokumenty świadczą o ich jednoczesnym pobycie w więzieniu w Baku.

Bezprawie

Kariera Wyszyńskiego przy bolszewikach początkowo przebiegała apolitycznie. Został on w 1921 r. profesorem prawa na Uniwersytecie Moskiewskim, później dziekanem wydziału ekonomii w Akademii Ekonomicznej im. Plechanowa i w latach 1925–1928 rektorem Uniwersytetu Moskiewskiego. Jako jednego z nielicznych wyedukowanych bolszewików partia kieruje go na stanowisko wicenarkoma (ludowy komisarz) kultury. Jednocześnie od 1923 r. partia mobilizuje go do pracy w prokuraturze. Jednak nazwać prokuraturą tę instytucję można jedynie umownie. W rzeczywistości było to partyjne narzędzie do wymierzenia kar. W stalinowskiej prokuraturze zrobił on błyskotliwą karierę od szeregowego prokuratora do Prokuratora Generalnego Związku Sowieckiego.

Dla Stalina wykorzystanie go jako „niezawodnego narzędzia zbrodni" było wygodne gdyż Wyszyński był twórcą nowego sowieckiego podejścia do sądownictwa, autorem wielu prac z dziedziny prawa. A oto jego najważniejsze „odkrycie": brak dowodów winy zupełnie nie przeszkadzał w skazaniu oskarżonego. Wystarczy, że sam sie przyzna...

Po raz pierwszy Wyszyński wystąpił w roli państwowego oskarżyciela na procesie pokazowym w 1928 r., kiedy na ławie oskarżonych zasiadło 53 przedstawicieli kierownictwa kopalń węglowych. (tzw. proces szachtyński). Wyszyński domagał się wymierzenia 11 kar śmierci. Sąd jednak zatwierdził jedynie pięć. Jak na warunki późniejszego wielkiego terroru był to wyrok wyjątkowo łagodny.

Nadzór prokuratorski był potrzebny Stalinowi w celu ograniczenia samodzielności urzędów siłowych. W rzeczywistości był to nadzór partii i samego Stalina

eprasa.pl 33efe048ab

nad GPU-NKWD. Pomysłem Wyszyńskiego było niepozwalanie czekistom na aresztowania bez sankcji prokuratora, a prokuratorem był on sam i armia jego posłusznych współpracowników w mundurach prokuratorskich.

Wyszyński stał się głównym ideologiem państwa sowieckiego w dziedzinie przeprowadzenia wielkiego terroru. „Cały nasz kraj – pisał – od małych dzieci do starców czeka i wymaga jednego: zdrajców i szpiegów, którzy sprzedali naszą Ojczyznę wrogowi, rozstrzelać jak wściekłych psów… Czas przeleci, mogiły znienawidzonych zdrajców zarosną burzanem i ostem, znikną pod wpływem wiecznej pogardy ludzi sumiennych, pogardy całego narodu sowieckiego. A u nas, w naszym szczęśliwym kraju będzie radośnie świecić swymi ciepłym światłem nasze słońce. My, naród sowiecki, będziemy nadal kroczyć po oczyszczonej od ohydnego plugastwa przeszłości drodze, na czele z naszym kochanym wodzem i nauczycielem – wielkim Stalinem – naprzód, naprzód do komunizmu".

Wielkim „osiągnięciem" sowieckiej jurysprudencji i Wyszyńskiego osobiście była rezygnacja z rzeczowych dowodów winy oskarżonych na rzecz głośnych, ideologicznie umotywowanych oskarżeń. Prokurator generalny, a zarazem główny oskarżyciel, na licznych procesach pokazowych osiągnął w tej sztuce szczyt doskonałości. Jego retoryka obfitowała w zwyczajne pospolite przekleństwa typu: cuchnąca padlina, scierwo, gnój, wściekle psy imperializmu, przeklęta gadzina, przeklęta mieszanka lisa i świni.

James Byrnes, Andriej Gromyko i Andriej Wyszyński

FOT. WIKIPEDIA

Trzy procesy

Kluczowym elementem w sprawie kształtowania koncepcji wielkiego terroru stały się trzy moskiewskie procesy pokazowe. Podczas pierwszego, pod głośnym tytułem „Proces Antysowieckiego zjednoczonego trockistowsko-zinowjewskiego centrum" (19–24 sierpnia 1936 r.), na ławie oskarżonych zasiedli najbliżsi współpracownicy Lenina – Grigorij Zinowjew i Lew Kamieniew – i grupa niemieckich komunistów, oskarżonych o wykonanie poleceń Trockiego w celu zabójstwa Stalina i innych liderów partii i państwa sowieckiego. Andrzej Wyszyński skonstruował koncepcję oskarżenia na podstawie istnienia wspólnego antysowieckiego spisku opozycji sowieckiej i niemieckiego gestapo. Niedawnych liderów partyjnych oskarżono o terroryzm, szpiegostwo na rzecz narodowo-socjalistycznych Niemiec i dążenie do rozczłonkowania Związku Sowieckiego. Żyd Trocki, spiskujący z zoologicznym antysemitą Hitlerem – co jeszcze bardziej niewiarygodnego mogło wymyślić sowieckie oskarżenie?

Był to jednak dopiero początek absurdów sowieckiego ślepego terroru. 25 sierpnia 1936 r. wszyscy oskarżeni zostali skazani na karę śmierci. Mieli jednak 72 godziny na napisanie apelacji do Sądu Najwyższego, który, jak obiecano im w ciągu śledztwa, miał zamienić najwyższy wymiar kary na karę więzienia. Wszyscy natychmiast napisali te apelacje, po czym niezwłocznie zostali wyprowadzeni na rozstrzelanie. Podobne potraktowanie najbliższych współpracowników Lenina oznaczało, że Stalin i jego współpracownicy rozpoczęli kampanię bezwzględnego terroru na wyjątkowo szeroką skalę, która nie oszczędza nawet tak wysoko postawionych działaczy i która nie zna litości dla nikogo. W kraju powoli zaczęła panować atmosfera totalnego strachu…

Oskarżeń o szpiegostwo na rzecz Polski nie brakowało podczas trzeciego moskiewskiego procesu pokazowego (2–12 marca 1938 r. „Proces prawicowo-trockistowskiego antysowieckiego centrum"). Głównymi oskarżonymi byli Nikołaj Bucharin i Aleksiej Rykow, również byli najbliżsi współpracownicy Lenina, członkowie jego Biura Politycznego, a Rykow także jako następca Lenina na posadzie premiera w latach 1924–1930. Wyszyński oskarżał członków niedawnej elity komunistycznej o najbardziej niewiarygodne przewinienia: organizację zamachu na Lenina w 1918 r. oraz powstań chłopskich w okresie wojny domowej i kolektywizacji, liczne akty terroru, zabójstwo Maksima Gorkiego, jego syna i inne przestępstwa.

Na temat polskich powiązań oskarżonych w oficjalnym oskarżeniu stwier-

eprasa.pl 33efe048ab

dzono: „[…] oskarżony Grińko (ludowy komisarz finansów ZSRS) będący zarówno agentem wywiadu niemieckiego i polskiego, jak i kierownikiem organizacji ukraińskich nacjonalistów, na temat działalności ukraińskiej nacjonalno-faszystowskiej organizacji oświadczył: »W 1930 r. w naszej organizacji dyskutowano na temat pomocy ze strony Polski dla ruchu powstańczego na Ukrainie przeciwko władzy sowieckiej. W wyniku tych rozmów z Polską osiągnięto porozumienie i polski sztab generalny zwiększył przerzuty na Ukrainę broni, dywersantów i emisariuszy petlurowskich«".

W latach , kiedy był prokuratorem, Andrzej Wyszyński całkowicie podporządkował sobie sowieckie sądownictwo. Kierował Instytutem Prawa Akademii Nauk ZSRS, był redaktorem naczelnym czasopisma teoretycznego tego instytutu „Sowieckie Państwo i Prawo", na którego łamach promował wielki terror. W maju 1939 r. Stalin mianował go zastępcą prezesa Rady Komisarzy Ludowych (wicepremierem), nadzorującym resorty siłowe, kulturę i ochronę zdrowia.

Wojna i po wojnie

W czasie drugiej wojny światowej Stalin kieruje Wyszyńskiego do ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie mianuje go pierwszym zastępcą Wiaczesława Mołotowa. Mówiący w kilku językach Wyszyński, wyśmienity intrygant i doskonały manipulator, jak najbardziej nadawał do swej nowej roli. Przydało się również polskie pochodzenie „prokuratora wielkiego terroru". Wyszyński nadzorował postępy w realizacji porozumienia Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 r. Spotykał się z pracownikami odnowionej ambasady polskiej, prowadził rozmowy z generałami Władysławem Sikorskim i Władysławem Andersem, interweniował w sprawach wprowadzenia w życie amnestii dla polskich obywateli, ogłoszonej przez rząd ZSRS. Stalin i jego otoczenie w obliczu katastrofalnej sytuacji na froncie, zagrażającej samemu istnieniu Związku Sowieckiego, spodziewali się, że kilka lub kilkanaście polskich dywizji trafi jak najszybciej na front. Wyszyński robił wszystko, aby ich do tego skłonić.

Podczas wojny Stalin dochodzi do wniosku, że Wyszyński jest mu niezbędny zarówno w sprawach organizacji terroru, jak i we wszystkich innych brudnych sprawach. Jego działalność coraz bardziej polega na legalizacji zewnętrznej ekspansji komunizmu w Europie. Spod jego pióra wychodzą teksty powojennych traktatów ZSRS z krajami podbitymi: Polską, Rumunią, Bułgarią. Uczestniczy u boku Stalina w konferencji wielkiej trójki w Jałcie, powojennym szczycie przywódców koalicji antyhitlerowskiej w Poczdamie. Towarzyszy swemu szefowi wszędzie tam, gdzie chodzi o nadanie sowieckiej polityce zagranicznej cech cywilizacyjnych. Zawsze nienagannie ubrany, mówiący świetnie w kilku europejskich językach miał on stać reklamą stalinowskiego ZSRS. Stalin w 1945 r. mianuje go głównym politycznym przedstawicielem ZSRS w okupowanych Niemczech.

W 1946 r. Wyszyński kieruje sowiecką delegacją w trybunale norymberskim. Co prawda, tu podczas procesu głównych zbrodniarzy hitlerowskich prawie całkowicie się kompromituje, próbując zastosować sowieckie metody sądownicze w trybunale międzynarodowym. Nie udaje mu się również zrzucić winy za zbrodnię katyńską na Niemców. Przygotowany pieczołowicie przez stalinowskich fachowców od falsyfikacji wniosek obciążający III Rzeszę winą za rozstrzelanie polskich oficerów został obalony przez niemieckich obrońców i został wycofany przez Wyszyńskiego. Okazało się, że rozpracowane przez Wyszyńskiego metody sowieckiego sądownictwa na arenie międzynarodowej nie działają.

Ostatnią dekadę swej działalności w partii komunistycznej Andrzej Wyszyński spędził jako główny architekt sowieckiej polityki międzynarodowej. Bierze udział jako szef delegacji sowieckiej w inauguracyjnej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych, uczestniczy jako główny ekspert sowiecki w paryskiej konferencji pokojowej latem i jesienią 1946 r. Szefuje sowieckim delegacjom na rozmowach pokojowych z Włochami, Rumunią, Bułgarią, Węgrami. Wreszcie w 1949 r. zostaje ministrem spraw zagranicznych Związku Sowieckiego na miejsce skompromitowanego układem z Hitlerem Mołotowa. Był to szczyt jego kariery politycznej. Andrzej Wyszyński osiągnął go dzięki bezwzględnej wierności Stalinowi, ślepemu wykonywaniu wszystkich wskazówek i żądań dyktatora, a nawet unikatowej zdolności zgadywania zachcianek swego patrona.

Po śmierci Stalina na fali odwilży Chruszczowa wydawało się, że kariera polityczna tego Polaka stalinisty dobiega końca. Traci na rzecz potrzebnego początkowo Chruszczowowi Mołotowa posadę ministra spraw zagranicznych, ale niespodziewanie uzyskuje nie mniej intratną posadę stałego przedstawiciela ZSRS przy ONZ. Prawdopodobnie kolejna zmiana generalnej linii partii w 1956 r. mogła otworzyć mu nowe perspektywy kariery politycznej. Śmierć jednak przerwała jego służbę partii. Zmarł niespodziewanie na zawał serca w Nowym Jorku w roku 1954. Jego żona Zinaida na wieść o śmierci męża oświadczyła, że został on zamordowany.

Ciało Wyszyńskiego przywieziono do Moskwy, skremowano i pochowano na placu Czerwonym w murze kremlowskim jako piątego Polaka – po Dzierżyńskim, Marchlewskim, Mienżyńskim i Rokossowskim, a urna z prochami tego potwora znajduje się tam do dziś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Port w Kłajpedzie
FOT. NAC

1923 r. / Zapomniana agresja z Kowna

Jak Litwini Kłajpedę zagarnęli

Piotr Semka

W 1923 r. Litwini zajęli zbrojnie Kłajpedę. Miasto zamieszkałe wówczas głównie przez Niemców

W historiografii litewskiej „bunt Żeligowskiego" uznawany jest za koronny dowód wiarołomstwa i brutalności polityki Polski wobec Litwy w okresie tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Warto jednak przypomnieć niezwykle podobną operację litewską niemal z tego samego czasu. To ubrana w kostium spontanicznego powstania litewska operacja zbrojnego zajęcia okręgu Kłajpedy dokonana niemal trzy miesiące po zajęciu Wilna przez polskiego generała.

Dla litewskich „budzicieli" tożsamości narodowej, którzy od lat 90. XIX w. podjęli się zadania stworzenia odrębnego od związków z Polską litewskiego ruchu narodowego, tereny kraju Kłajpedy – po niemiecku Memelland – miały specjalne znaczenie. Litewscy narodowcy nazywali te ziemie „Małą Litwą". Ziemie te zostały w XIII w. podbite przez zakon krzyżacki i wyrwane spod władzy pogańskiej Litwy, ale akurat w tej części Prus zachowało się najwięcej ludności mówiącej po litewsku. To w znajdującej się niedaleko od Memellandu miejscowości Tolminkiejmy działał pionier świeckiej literatury w języku litewskim, pastor Kristijonas Donelaitis.

Nic więc dziwnego, że w Kłajpedzie, Tylży i stolicy Prus Wschodnich – Królewcu – wyłoniły się w I połowie XIX w. środowiska litewskiej inteligencji, które zaczęły drukować książki po litewsku. Od „Wielkiej Litwy", w większości katolickiej, odróżniała ich wiara luterańska.

Po stłumieniu powstania styczniowego w 1863 r. władze carskie nakazały druki po litewsku tyko rosyjską czcionką. To spowodowało boom na litewskie książki drukowane m.in. w Kłajpedzie, które szmuglowano przez graniczny Niemen. Władze pruskie – ufne w siłę swego państwa – patrzyły na to pobłażliwie, a litewskość wschodniopruską traktowały jako lokalny folklor. W Istenburgu (dziś Czerniachowsk) stacjonował nawet regiment pruskich „ułanów litewskich", choć taka nazwa stanowić mogła potwierdzenie praw Litwinów do Memellandu.

Marzenie o morzu

Wszystko nagle zaczęło się zmieniać wraz z klęską Niemiec w 1918 r. Już 16 lutego 1918 r. w Wilnie powstała Rada Litewska (Taryba), która za cichą zgodą Berlina ogłosiła powstanie niepodległego państwa litewskiego. Niemcy akceptowali takie plany, jako element imperialnych planów stworzenia Mitteleuropy – szeregu państewek zależnych od cesarstwa i rządzonych przez władców z niemieckich rodów panujących. Akurat podległa Berlinowi Litwa z władcą z rodu Wittelsbachów miała szachować Polskę.

Plany te wcielono w życie. 4 lipca 1918 r. Taryba ogłosiła Wilhelma księcia Uracha królem Litwy pod imieniem Mendog II. Gdy cesarstwo upadło, Taryba ogłosiła powstanie republiki, ale Reichswehra nadal ochraniała rząd litewski z nową siedzibą w Kownie przed bolszewikami i Polską.

Lider Litwy kowieńskiej Antanas Smetona chętnie korzystał z kurateli Niemców, ale po cichu zaczął rozmyślać, jak odzyskać z ich rąk kraj Kłajpedy – po pierwsze jako prastare ziemie litewskie, pod drugie jako port, niezbędny w myśl ówczesnych wyobrażeń dla każdego niepodległego państwa.

Pierwszym sygnałem tworzenia się nowej sytuacji było powstanie 16 listopada 1918 r. Narodowej Rady Litwinów w Prusach na czele z Viliusem Gaigalaitisem, litewskim posłem do pruskiego Landtagu w Berlinie. W cichym porozumieniu ze Smetoną Gaigalaitis wyruszył do Paryża, by żądać od Francuzów przyłączenia do Litwy szerokiego pasa ziem Prus Wschodnich aż do Gołdapi. Gazeta „Prūsų Lietuvių

eprasa.pl 33efe048ab

Balsas" rozpoczęła kampanię na rzecz przyłączenia ziem północno-pruskich do Litwy jako spadkobiercy dawnych Prusów. Niemcy początkowo lekceważyli roszczenia litewskie: na terenie Memellandu Litwini stanowili góra ok. 20 proc. ludności. Jednak już w lutym 1919 r. rząd Litwy zażądał od aliantów akceptacji korekty granic. Pozycja Litwinów z Kowna w Paryżu była jednak słaba.

W lutym 1920 r. Kłajpedę i okręg kłajpedzki z Szyłokarczmą, Wiłkiszkami i Mierzeją Kurońską zajęły oddziały francuskie pod wodzą gen. Dominique'a Odry. Okupacja pod patronatem Ligi Narodów potrwała długie cztery lata. Miejscowi Niemcy proponowali stworzenie Wolnego Państwa Memla na wzór Wolnego Miasta Gdańska. A o sympatie propolskie oskarżany był wysoki komisarz Ligi Narodów Jean Gabriel Petisné.

Kolejne narady na temat przyszłości kraju kłajpedzkiego utkwiły w martwym punkcie. W 1922 r., na forum Rady Ambasadorów, Polacy i zdominowana przez Niemców reprezentacja Kłajpedy wypowiedzieli się za utworzeniem wolnego miasta, zaś Litwini domagali się otrzymania portu.

Polscy dyplomaci zaczęli popierać Litwę, licząc na to, że osłabi to obsesję Kowna na punkcie odzyskania Wilna. Z kolei Niemcy kłajpedzcy zakładali, że wolny kraj to rozwiązanie tymczasowe, aż do momentu, gdy Rzesza wzmocni się i upomni o „Memeldeutschen". Wobec klinczu w negocjacjach wysłannicy Kowna demonstracyjnie opuścili obrady.

W Kownie zaczęto snuć plany odgórnie przyszykowanego powstania Litwinów kłajpedzkich, które dałoby pretekst wojskom prezydenta Aleksandrasa Stulginskisa do „wyzwolenia braci zza Niemna".

Uderzenie

Dyplomacja litewska zaczęła przygotowania do inwazji od cichych negocjacji z Berlinem i Moskwą. Niemcy uznali, że Litwa jest wystarcząco uzależniona politycznie od Niemiec i przejęcie przez nią Memellandu nie jest najgorszym rozwiązaniem. A Sowieci uznawali Litwę za wygodne państwo buforowe w rejonie bałtyckim. Operację w kraju kłajpedzkim Litwini zaczęli od powołania komitetu powstańczego. Ogłosił on swe istnienie 9 stycznia 1923 r. w Szyłokarczmie,

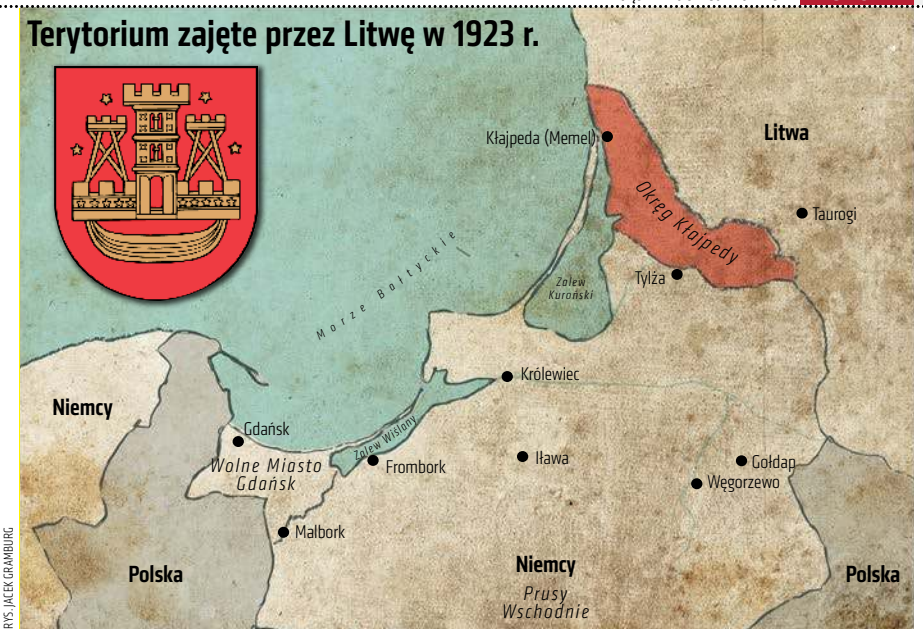

RYS. JACEK GRAMBURG

uznawszy Litwinów kraju kłajpedzkiego za jedyną tu prawowitą władzę dążącą do zjednoczenia z Litwą. Siły powstańcze liczyły początkowo 500 powstańców, ale 10 stycznia 1923 r., po wejściu na teren Memellandu doborowej jednostki litewskiej, wzrosły one do 1,5 tys. osób.

Bez oporu ze strony Niemców siły litewskie bez trudu zajęły kłajpedzką prowincję. Nieliczne garnizony francuskie z mniejszych miejscowości wycofały się do Kłajpedy. Gabriel Petisné uznał atak litewski za agresję, w spontaniczność powstania słusznie nie uwierzył i rozkazał żołnierzom francuskim podjąć walkę z Litwinami.

Jednak w grudniu 1922 r. liczebność garnizonu francuskiego zmniejszono do 200 żołnierzy, którzy nie palili się do walki w dalekim zakątku Europy. Niemcy nienawidzący francuskich żołnierzy z radością kibicowali walce z „okupantami". Londyn i Paryż bez pomysłu na konkretną akcję czekały na reakcje władz Litwy.

15 stycznia siły litewskie otoczyły punkty oporu Francuzów, którym Paryż nakazał zabarykadowanie się w koszarach. Było to faktyczne zwycięstwo Litwinów, którzy przejęli najważniejsze gmachy w mieście. Wysłane z Francji okręty wojenne stanęły w porcie, ale nie zdecydowano się na odbicie miasta.

19 stycznia w Szyłokarczmie Litewski Komitet Wyzwolenia ogłosił zjednoczenie z Litwą, jednocześnie wykonując gest wobec Niemców w postaci zapowiedzi daleko idącej autonomii, m.in. dwujęzyczności na zdobytych terenach.

Francuzi pogodzili się z faktami dokonanymi. Okręty odpłynęły, wojska zaczęły się szykować do powrotu. 17 lutego Paryż i Londyn uznały aneksję. Dwa dni potem, 19 lutego, francuskie wojska zapakowano na przysłane do Kłajpedy transportowce.

Ostateczne uznanie zmiany granic nastąpiło 8 maja 1924 r., gdy w Paryżu podpisano konwencję kłajpedzką, w której uznano jurysdykcję Kowna nad nowymi ziemiami, ale i potwierdzono autonomię dla ludności Memellandu. Wobec agresji litewskiej Rada Ambasadorów uznała włączenie Wileńszczyzny do Polski.

Próby lituanizacji regionu w latach 1923–1938 nie przyniosły jednak większych efektów. Tak idealizowani w Kownie rodacy z „Małej Litwy" głosowali w większości na niemieckie partie i często wybierali w spisach ludności status „Klaipediškiai", czyli „tutejszych".

W marcu 1939 r. III Rzesza – równolegle z aneksją Czech – zażądała od Litwy oddania Memellandu, grożąc zbombardowaniem Kowna. 23 marca 1939 r. Hitler wjechał do Kłajpedy witany przez rozhisteryzowane tłumy.

Litwini podkreślają, że aneksja portowego miasta opłaciła się po drugiej wojnie światowej. W 1945 r. miasto włączono na nowo do Litewskiej Republiki Socjalistycznej. Gdyby przed wojną port był wolnym krajem, z pewnością wszedłby w skład obwodu kaliningradzkiego, podległego Rosyjskiej Federacyjnej Republice Sowieckiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ze względu na chorobę Piotra Semki publikujemy artykuł, który ukazał się w „HDR" w 2017 roku

eprasa.pl 33efe048ab

Cynthia Ann Parker FOT.DOMENA PUBLICZNA

XIX w. / Teksas w ogniu walk białych z Indianami

Porwana przez Indian

Jakub Ostromęcki

Dziewięcioletnia Cynthia Ann Parker widziała, jak Indianie mordują i skalpują jej ojca oraz systematycznie gwałcą jej krewne. Jednak gdy dorosła, nie chciała odejść do białych...

Miała smutne, zarazem dzikie spojrzenie i spaloną słońcem cerę. Całymi dniami potrafiła siedzieć z głową w dłoniach, gapiąc się przed siebie, mamrocząc niezrozumiałe modlitwy i zaklęcia lub po prostu płacząc. Z owej melancholii wyrywała ją jedynie czasem malutka córeczka plącząca się po obejściu. Ogromne dłonie i grube nadgarstki świadczyły o latach ciężkiej pracy. Kobieta potrafiła rąbać drewno równie sprawnie jak tutejsi mężczyźni. Jej ulubione legginsy, skóry i zdobyczny perkal dawno się podarły, zresztą dawne ubranie nie byłoby tu mile widziane. Po angielsku mówiła słabo.

Nieliczni, którzy widzieli ją podczas kąpieli, mówili o strasznych bliznach pokrywających ciało – śladach uderzeń i nacięć. „Ileż ona musiała wycierpieć", „Do jakich strasznych rzeczy te dzikusy musiały ją zmuszać", „Niewyobrażalne upokorzenia trwające całymi latami" – to fragmenty artykułów lokalnej prasy rozpisującej się na temat kobiety. Nie było w tych diagnozach za wiele prawdy, ale z jakiegoś powodu stała się lokalną ciekawostką, zaspokajającą u gawiedzi prymitywną żądzę sensacji.

Dziewięcioletnia Cynthia Ann Parker została w 1836 r. porwana przez Komanczów z rodzinnego gospodarstwa we wschodnim Teksasie. Napastnicy wyrządzili jej rodzinie rzeczy straszne, które człowieka żyjącego w późniejszej epoce doprowadziłyby z pewnością do utraty zmysłów. Mimo to dziewczynka nie tylko przetrwała wśród Indian, lecz także została adoptowana przez jedną z rodzin. Zamiast planować zemstę czy ucieczkę, po kilku latach zasymilowała się całkowicie z plemieniem i została żoną jednego ze sławniejszych wodzów Komanczów – Peta Nocony. Miała z nim trójkę dzieci – najstarszy, Quanach, również został wojennym wodzem.

Krwawy Teksas

Teksas był krainą, w której biali Amerykanie po raz pierwszy zetknęli się poważnie z plemionami Wielkich Równin. Był też ostatnim z preriowych stanów, gdzie Indian ujarzmiono. Przyczyną owego stanu rzeczy byli bardzo liczni i agresywni Komancze, którym mogliby

eprasa.pl 33efe048ab

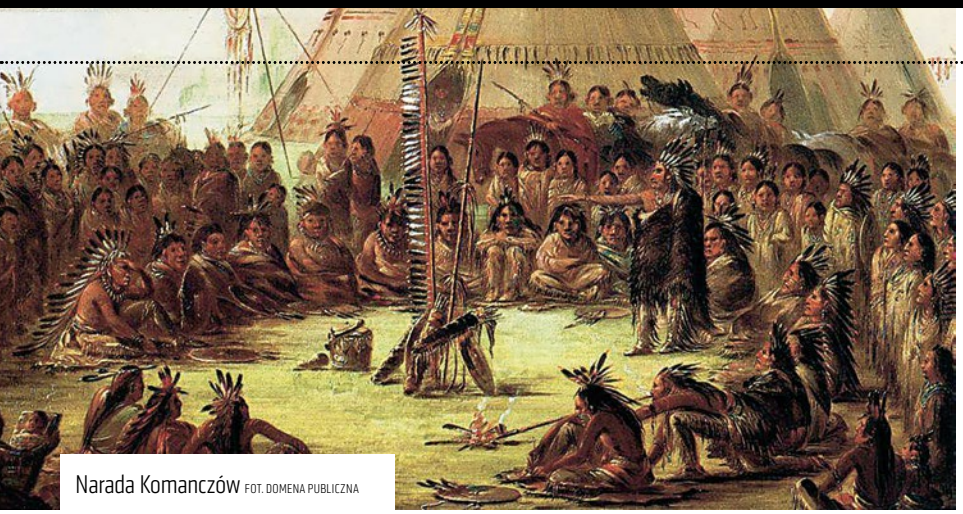

Narada Komanczów FOT. DOMENA PUBLICZNA

dotrzymać pola jedynie Siuksowie lub Czejeni.

Pobicie Meksykanów pod San Jacinto w 1836 r., które przyniosło Teksasowi niepodległość, przyspieszyło napływ białych osadników. Amerykanów w przeciwieństwie do dawnych hiszpańskich encomenderos nie interesowało poddaństwo Indian i masowe ich chrzczenie, ale wyparcie ich jak najdalej od cywilizacji opartej na kulcie własności prywatnej, pracy i przedsiębiorczości. W tym świecie nie było miejsca dla plemion trudniących się myślistwem i rozbojami. Dla Komanczów jednak każda kolejna farma, szlak handlowy i każde stado udomowionego bydła oznaczały ograniczenie migracji bizonów – podstawowego źródła utrzymania wszystkich ludów prerii. Masowe wybijanie tych zwierząt przerażało Komanczów, którzy nie chcąc zmienić radykalnie swojego sposobu życia, stanęli na krawędzi śmierci głodowej.

Komancze odpowiedzieli więc brutalną przemocą wobec każdego farmera czy mierniczego wyznaczającego działki dla przyszłych rolników. Pastwili się nie tylko nad białymi. Podróżując przez prerie, można było się natknąć na oskalpowane zwłoki – zarówno kobiet, jak i mężczyzn – z celowo wyprutymi i rozwłóczonymi wnętrznościami – skutki plemiennych wojen Komanczów z Utami czy Apaczami. Dla wojownika prerii nie było również nic zdrożnego w zwykłym rozboju. Największą sławą okrywali się ci śmiałkowie, którzy oprócz powalenia dużej liczby wrogów potrafili ukraść najwięcej koni. Amerykanie przyznawali wprost, iż nie dorównują Komanczom ani pod względem indywidualnych zdolności woltyżerskich, ani w walce na broń białą, nie mówiąc już o strzelaniu z zupełnie archaicznego łuku.

Do takiego właśnie świata przybyli z dalekiego Illinois Parkerowie. Byli wielopokoleniową, krewniaczą rodziną żyjącą w absolutnej dziczy w pobliżu dzisiejszego Dallas, gdzie skarlałe drzewa zaczynają ustępować miejsca prerii. Nie zamykali wrót do swojego fortu, na pole chodzili często bez broni. 19 maja 1836 r. o godz. 10 rano osada została otoczona przez duży oddział Indian, którego wódz zażądał krowy. Zaoferowano mu zamiast tego trochę jedzenia i kazano iść precz. Jeden z krewnych Cynthii Ann już zamierzał oddalić się do fortu, ale w mgnieniu oka został zaatakowany włóczniami. Jak pisze dalej w monografii Komanczów S.C. Gwynne pt. „Imperium księżyca w pełni": „Otrzymał cios maczugą, przebito go z bardzo bliska strzałami z łuków, a potem, gdy prawdopodobnie jeszcze żył, został oskalpowany". Cynthia widziała jeszcze, jak Indianie mordują i skalpują pozostałych czterech mężczyzn w forcie, w tym jej ojca.

Gwynne kontynuował: „Potem napastnicy oddali się zajęciu szczególnie odpowiadającemu konnym Indianom z Wielkich Równin: łapaniu uciekających i krzyczących ofiar. Starszy John Parker, jego żona Sallie i jej córka Elisabeth Kellog, młoda wdowa zdołali ujść trzy czwarte mili, kiedy Indianie ich dopadli. Otoczyli całą trójkę i zdarli z nich ubrania. […] Starego mężczyznę Indianie zaatakowali tomahawkami, a starszą panią Parker, która usiłowała odwracać wzrok, zmusili do oglądania tego, co z nim robią. Oskalpowali go, odcięli mu genitalia i zabili go – nigdy się nie dowiemy, w jakiej kolejności. Potem zajęli się jego żoną: przyszpilili ją do ziemi włóczniami, zgwałcili, wbili jej nóż głęboko w pierś i zostawili, by zmarła". Sallie Parker przeżyła jednak owe tortury, zaś Elizabeth Kellog dołączyła jako branka do Cynthii Ann. Jest zatem wielce prawdopodobne, że bohaterka naszej opowieści wiedziała o koszmarze, który wydarzył się z dala od fortu.

Nie był to koniec jeszcze cierpień Cynthii. W czasie podróży w głąb dzikiej prerii była regularnie bita i szarpana przez kobiety Komanczów. Widziała też, jak jej krewne – Elizabeth Kellog i Rachel Plummer – są systematycznie gwałcone. Razów nie oszczędzono 14-miesięcznemu synkowi Rachel, który cały czas przebywał u boku matki podczas owych okropności. Ostatecznie mały James Pratt Plummer został zabrany przez inną grupą Komanczów i matka więcej go nie zobaczyła. Pewnego dnia oszalała z rozpaczy Rachel zaczęła atakować kobiety Komanczów, licząc na szybką śmierć w walce. Była od nich silniejsza, prawie zatłukła dwie z nich. Gdy rozdzielono kobiety, wódz grupy oświadczył osłupiałej Rachel, że jako zadośćuczynienie za swoją agresję musi… naprawić tyczkę od tipi, którą złamała w czasie bójki. Ot, logika prerii.

Asymilacja

Dlaczego Cynthii oszczędzono maltretowania, które stało się udziałem jej krewnych? Nie był to żaden kaprys, lecz wynik swoistych wytycznych, których Komancze trzymali się od dawien dawna. Porwane niemowlęta trzeba było zabić – nie było z nich pożytku, spowalniały marsz. Robiono to przeważnie, dusząc je szmatami. Dziewczyny, które były już płciowo dojrzałe, stawały się ofiarami chuci wojowników i często były okaleczane. Natomiast spore szanse na przeżycie miały dzieci, które już nie wymagały codziennej opieki dorosłych, a nie osiągnęły jeszcze dojrzałości. Bardzo często takich brańców adoptowano i wychowywano na pełnoprawnych Komanczów. Kobiety Indian prerii rodziły bowiem mało, siedząc w siodle często roniły, a wojownicy masowo padali w boju choćby i zwycięskim. Trzeba było zatem uzupełniać ubytki w populacji w każdy możliwy sposób.

Cynthia znajdowała się właśnie w takiej „bezpiecznej" kategorii. Stała się „kochanym więźniem", jakkolwiek absurdalna byłaby to koncepcja. Jej cierpienia skończyły się wraz z adopcją przez jedną z rodzin. Z miesiąca na miesiąc Komancze przestawali być więc oprawcami, a stawali się obrońcami i opiekunami zapewniającymi podstawowe potrzeby młodej dziewczyny. Cynthia stopniowo

eprasa.pl 33efe048ab

zapominała angielskiego, a jej głównym językiem stawała się mowa Komanczów – prosta zresztą do opanowania. Nie wiadomo, jak dokładnie przebiegało życie Cynthii, ale jako 19-letnia kobieta była już żoną wodza Peta Nocony.

Wielu Amerykanów, którzy od małego przebywali wśród Indian, twierdziło, iż było to życie dużo barwniejsze, ciekawsze, pełniejsze przygód w porównaniu z mozolnym i nudnym pochylaniem się nad pługiem, które było udziałem przeciętnego białego. Cynthia Ann nie mogła narzekać na brak przygód, ale harówki było w jej życiu tyle samo co wśród białych kobiet. Zwijanie obozu, rozkładanie tipi, oprawianie bizona, garbowanie skór, grzebanie w kościach i kończynach w poszukiwaniu szpiku i ścięgien. Cynthia Ann była zatem często od stóp do głów pokryta bizonią juchą, a ręce miała umazane w kawałkach zwierzęcych wnętrzności. Musiała znaleźć jeszcze czas, aby zająć się dziećmi, nic więc dziwnego, że pod koniec dnia padała za zmęczenia. Nie była to hollywoodzka sielanka polegająca na namiętnym galopie przez prerie u boku ukochanego wojownika. To, co było jednak udziałem dorosłych, nie musiało dotyczyć indiańskich dzieci: te wszak nie musiały spędzać całych godzin w szkolnej ławce, patrząc z utęsknieniem za okno, jak ich biali rówieśnicy.

Poszukiwania

Pierwszy zobaczył ją płk Leonard Williams, agent do spraw Indian, który dzięki pomocy Delewarów i Wichitów odnalazł jedno z większych obozowisk Komanczów. Szukanie zaginionej Parkerówny nie było jego zadaniem – miał skłonić Komanczów do podpisania traktatu z Teksasem, ale gdy zobaczył Cynthię, serce zabiło mu żwawiej. Rozpoznał ją od razu, bywał wszak gościem u Parkerów, a o jej porwaniu mówił cały Teksas. Podobno zaoferował za nią dwanaście mułów, czy też – jak chcą inni – 500 dol. i mnóstwo precjozów. Indianie za nic w świecie nie chcieli sprzedać Cynthii. Ta uciekła przed agentem z płaczem w najdalszy koniec obozu. Raport zwierzchników Williamsa z typowym pogardliwym protekcjonizmem mówił: „Jeden z Komanczów uważa tę młodą kobietę za żonę. To wpływ jej rzekomego

Cynthia Ann Parker FOT. WIKIMEDIA COMMONS

męża albo postawa jej samej są powodem, że nie chce opuścić ludzi, wśród których przebywa".

Potem w ciągu lat za pomocą pośredników próbowali ją wykupić agent Robert Neighbors i handlarz Victor Rose. Z podobnym co poprzednio skutkiem. Parkerówna nie uciekała już przed Amerykanami, lecz łamaną angielszczyzną starała się przekonać niedoszłych wybawców, aby porzucili jakiekolwiek próby jej wykupienia, ponieważ wśród Komanczów jest jej dobrze. Wykupieni zostali natomiast wszyscy porwani krewni Cynthii. Rachel Plummer i Elizabeth Kellog w ciągu kilku miesięcy od porwania, zaś James Pratt Plummer i John Richard Parker w 1843 r. Wszystko to zasługa wuja Cynthii – Jamesa. Człowieka niezmordowanego, ale jednocześnie pijaka i oszusta. James spotkał potem płk. Williamsa, który opowiedział mu o nietypowej postawie Cynthii. Nieustępliwy wuj zakończył więc poszukiwania.

Znów u białych

Tymczasem w kolejnych latach Cynthia Ann wraz z Petem przemieszczali się coraz bardziej w dzicz, wiążąc się z kolejnymi komanckimi szczepami – byle dalej od białego człowieka i jego strasznych chorób, które zabijały Indian straszniej niż karabiny i rewolwery. To w czasie owych peregrynacji, gdzieś pod koniec lat 40., urodził się syn Quanach, a dwa lata po nim kolejny syn – Orzeszki. Jak pisze Gwynne: „Oba imiona są nietypowe i sugerują, że Cynthia Ann […] i jej mąż postąpili wbrew komanckiemu zwyczajowi, sami nadając imiona dzieciom".

W listopadzie 1860 r. Komancze pod wodzą męża Cynthii zaatakowali farmę Shermanów. Młoda ciężarna Martha Sherman została schwytana, zgwałcona i oskalpowana żywcem. Był to czyn brutalny nawet jak na komanckie kryteria. Osadnicy zapałali rządzą zemsty. Kilku z nich ruszyło po świeżych śladach koni uprowadzonych przez Indian. Wycieńczeni odkryli wielką wioskę Komanczów nad Mule Creek. Zapamiętali to miejsce i wrócili 19 grudnia z wyprawą odwetową składająca się z ochotników, kawalerzystów i rangersów pod dowództwem Lawrencea Rossa, późniejszego gubernatora Teksasu. Komancze nie wystawili wart. Nie spodziewali się białych w swoim mateczniku. Zostali kompletnie zaskoczeni i zmasakrowani.

Finał owego starcia był godny uwiecznienia na wielkim ekranie. Opisuje go Gwynne: „Ross i por. Tom Kelliheir ścigali ostatnich trzech Indian, którzy wskoczyli na dwa konie. Po przejechaniu mili dogonili jednego z nich […]. Ross miał już strzelić, kiedy Komancz, a właściwie Komanczka – jak się okazało – trzymająca na ręku małe dziecko, zatrzymała konia i – zależnie której wersji wierzyć – albo rozchyliła nakrycie z bizoniej skóry, żeby pokazać piersi, albo krzyknęła „Americano!", „Americano!". […] Kobieta była brudna, pokryta odpadkami i tłuszczem z powodu zajmowania się olbrzymią ilością krwawiącego mięsa. Ale ku swemu zdziwieniu Ross zauważył, że ma niebieskie oczy. Dostrzegł też pod grubą warstwą brudu jej krótko obcięte włosy jaśniejsze od włosów indiańskich. Była biała!". Była to oczywiście Cynthia Ann.

Tak rozpoczęła się 11-letnia tułaczka odzyskanej Amerykanki po kolejnych domach jej dawnych krewnych. W jednym miejscu wystawiono ją nawet na skrzynce na deptaku jako lokalną ciekawostkę. Uratowana Parker miała permanentną depresję i nigdy nie kryła, że jej marzeniem jest dołączyć z powrotem do Komanczów. Co pewien czas zadawała sobie ból i obcinała nożem włosy. Oferowała nawet swoje ciało rangersowi handlującemu z Indianami w zamian za skryte przewiezienie jej z powrotem w dzicz. Próbowała się ostatecznie zasymilować. Jako tako nauczyła się z powrotem angielskiego, nieźle szyła ubrania i garbowała skóry. W 1864 r. jej córka Kwiat Prerii zachorowała na grypę i zmarła. Parker zaczęła się głodzić i w 1871 r. dołączyła do krewnych w miejscu, gdzie język, kultura i wygląd nie mają już żadnego znaczenia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 33efe048ab

Maciej Rosalak

1018 r. / Wyprawa polskiego księcia na Kijów

Seksmariaż Chrobrego

Bolesław zdobył Kijów dla siebie (a nie dla zięcia). Dowodem – jego triumfalny wjazd do miasta, zajęcie kniaziowskiego tronu oraz... zgwałcenie Peredsławy...

Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa na obrazie Jana Matejki FOT. WIKIPEDIA

Badacze wyprawy Bolesława Chrobrego na Kijów w 1018 r. dochodzili na ogół do paru podstawowych ustaleń. Po pierwsze: celem Bolesława Chrobrego było przywrócenie kijowskiego stolca (w znaczeniu: tronu) swemu zięciowi Świętopełkowi, którego pokonał jego młodszy brat Jarosław. Po drugie: obrabowanie Rusi z bogatym Kijowem na czele. Po trzecie – zhańbienie córki Włodzimierza Wielkiego, a siostry Jarosława – Peredsławy. Jej ręki odmówiono bowiem wcześniej Bolesławowi, i z tego powodu dyszał zemstą i żądzą.

Przebieg wyprawy był szybki: po rozgromieniu wojsk Jarosława nad granicznym Bugiem Chrobry zajął bez większych kłopotów Kijów, skąd zabrał wiele bogactw, a także wspomnianą Peredsławę. Czy posiadł ją niejako „z marszu", czy zabrał do Polski jako nałożnicę, czy tylko jako zakładniczkę – jak inne kobiety z Jarosławowego dworu, bojarów i duchownych – zdania są podzielone. Branki stanowiły dla Bolesława tym większą wartość, że w rękach obalonego władcy Rusi znajdowała się jego córka, a żona nieudolnego Świętopełka, zwanego przez rodaków Przeklętym. Po odjeździe teścia już w następnym roku Jarosław, któremu Rusini nie bez przyczyny nadali przydomek Mądrego, pogonił starszego brata z Kijowa definitywnie. A w rękach Chrobrego zostały – obok branek i łupów – odbite Grody Czerwieńskie, które w 981 r. zabrał Piastom wielki kniaź Włodzimierz. Jakie były dalsze losy ruskiej księżniczki – nie wiemy.

Mimo błyskotliwego sukcesu w 1018 r. dalekosiężny cel wyprawy, jakim byłoby uzależnienie Rusi Kijowskiej od Polski, nie został osiągnięty. Już w 1019 r. kijowskie władztwo jego zięcia zostało obalone po zwycięstwie Jarosława nad Altą, a kilka lat po śmierci Bolesława wszyscy pobici przezeń sąsiedzi zniszczyli w odwecie państwo jego syna – Mieszka II. Fakt ten do naszej powszechnej świadomości dociera z trudem. Jak również to, że na Kijów ruszyło pod wodzą Bolesława 300 rycerzy niemieckich, przysłanych przez cesarza Henryka II na mocy bardzo korzystnego dla Polski układu pokojowego w Budziszynie, zawartego w styczniu tegoż 1018 r. Równoprawny układ, który cesarza niemieckiego z wroga zmienił w przyjaciela, stanowił największe osiągnięcie naszego władcy.

Poniżej przedstawiam związane z wyprawą Chrobrego fragmenty podstawowych trzech źródeł: kronik Thietmara, Nestora i Galla Anonima. Najbardziej wiarygodna jest z pewnością „Thietmari merseburgiensis episcopi chronicon"

eprasa.pl 33efe048ab

(Kronika Thietmara biskupa merseburskiego), który odnotowywał wydarzenia A.D. 1018 niemal „na gorąco", bo żył do 1 grudnia tegoż roku, a umarł w wieku 43 lat.

Sto lat późniejsze są dwie kroniki, pisane jakby z obu stron konfliktu. Autorem pierwszej jest Nestor z Kijowa, mnich pieczerskiego monasteru. On to stworzył jeden z najstarszych ruskich latopisów (roczników) – „Powieść minionych lat" pisaną w języku staroruskim kronikę wydarzeń od przybycia Ruryka do Nowogrodu. Druga jest dziełem Galla Anonima, mnicha o nieustalonej narodowości, piszącego dzieje Piastów w hołdzie Bolesławowi Krzywoustemu. Hołd ów ma nazwę „Cronica et gesta ducum sive principum Polonorum", a popularnie zwie się „Kroniką polską" lub „Kroniką Galla Anonima". Jeszcze później spisywano – i w Polsce, i na Rusi – kolejne kroniki, które nie pomijały kijowskiej wyprawy 1018 r., ale im później powstawały, tym mniej wnosiły wiarygodnych konkretów.

Na koniec zostawiam krótkie omówienie rewelacyjnego eseju znakomitego mediewisty prof. Jacka Banaszkiewicza, który w błyskotliwy sposób uzasadnia tezę, że celem Bolesława było objęcie władzy w Kijowie przez niego samego. I – co więcej – formalnie zostało to dokonane.

Oczami Niemca

Thietmar – od 1009 r. biskup Merseburga – od 1012 r. pisał kronikę najważniejszych jego zdaniem wydarzeń, od połowy X w. poczynając. Dla nas – mimo nieukrywanej niechęci biskupa wobec państwa piastowskiego, a zwłaszcza jego władcy Bolesława – dzieło Thietmara stanowi świadectwo tym cenniejsze, że przynosi wiadomości o początkach Polski (autor pierwszy użył nazwy: Polacy). Najbardziej wartościowe fragmenty pochodzą z tradycji ustnej oraz z własnego doświadczenia jako dobrze zorientowanego świadka wydarzeń.

Księga VIII, 1018 r.: […] „Kiedy Bolesław doszedł nad pewną rzekę [chodzi o Bug – przyp. red.] – pisze kronikarz – nakazał on swemu wojsku rozbić obóz, jak również przygotować potrzebne do przeprawy mosty. Z drugiej strony rzeki rozłożył się ze swoimi król Rusów (czyli Jarosław), oczekując z niepokojem na wynik zapowiedzianej przez obu przeciwników walki. Tymczasem Polacy, wyzywając nieprzyjaciela, skłonili go do walki i z niespodziewanym szczęściem odepchnęli go od rzeki, którą obsadził. Zgiełk walki podniecił Bolesława. Zachęciwszy swych towarzyszy do gotowości do walki i pośpiechu, przeprawił się szybko, choć z wielkim trudem, przez rzekę. Wojsko nieprzyjacielskie, ustawione naprzeciw w zwartych oddziałach, nadaremnie usiłowało bronić swojej ojczyzny. Albowiem ustąpiło już przy pierwszym starciu i nie stawiało potem silniejszego oporu. Poległa tam bardzo duża liczba spośród uciekających, mała zaś spośród zwycięzców. Zginął po naszej stronie znakomity rycerz Eryk, którego cesarz trzymał przez długi czas w więzieniu. Od tej chwili Bolesław ścigał z wymarzonym wprost powodzeniem znajdujących się w rozsypce nieprzyjaciół, a mieszkańcy przyjmowali go wszędzie z wielkimi honorami i darami.

Tymczasem Jarosław zajął siłą jeden gród, należący do jego brata [oczywiście Świętopełka – przyp. red.], i uprowadził jego mieszkańców. Bardzo potężne zaś miasto Kijów stało się z poduszczenia Bolesława ofiarą ustawicznych ataków ze strony wrogich Pieczyngów i duże poniosło straty wskutek silnych pożarów. Jego mieszkańcy bronili go, lecz niebawem otwarli bramy obcej potędze.

Opuszczony mianowicie przez swego władcę, który uciekł, Kijów przyjął w dniu 14 sierpnia Bolesława oraz wygnanego od dawna księcia Świętopełka, który pozyskał sobie cały ten kraj, wykorzystując strach przed naszymi. Kiedy wkraczali do miasta, tamtejszy arcybiskup [Jonasz – przyp. red.] powitał ich uroczyście z relikwiami świętych oraz innymi różnymi okazałościami w monastyrze Świętej Zofii, który spłonął w poprzednim roku wskutek nieszczęśliwego wypadku. Obecne były przy tym: macocha wspomnianego księcia, jego żona oraz dziewięć jego sióstr, z których jedną, dawniej sobie upatrzoną [Peredsławę, Przecławę, o której rękę ubiegał się Bolesław Chrobry po śmierci Emnildy, zanim poślubił córkę margrabiego Ekkeharda I Odę jako swą czwartą żonę – przyp. red.], ten stary wszetecznik Bolesław uprowadził bezwstydnie, zapominając o swojej ślubnej małżonce. Równocześnie ofiarowano mu niezliczoną ilość pieniędzy, z których dużą część rozdzielił między swych sprzymierzeńców i ulubieńców, pewną zaś część odesłał do ojczyzny.

Wśród posiłków, jakie znajdowały się przy boku wspomnianego księcia, było od nas trzystu, od Węgrów pięciuset, od Pieczyngów wreszcie tysiąc ludzi. Wszystkich tych ludzi odesłał tamtejszy władca do domu, gdy mógł stwierdzić z radością, jak mieszkańcy kraju garną się do niego i swoją wierność mu okazują. W tym wielkim mieście, które jest stolicą owego państwa, jest więcej niż czterysta kościołów i osiem rynków, mieszkańców zaś liczba nie dająca się wyrazić. Jak w całym tym kraju, mieszkańcy owi składają się z dużej liczby niewolników, którzy zewsząd tu zbiegli [wielu wśród nich było kupcami – przyp. red.], oraz w szczególności z obrotnych Duńczyków. Pieczyngom, którzy ich ciągle nękali, stawiali oni dotąd skuteczny opór i innych także gromili nieprzyjaciół.

Bolesław, uniesiony tym powodzeniem, wysłał tamtejszego arcybiskupa do Jarosława z żądaniem odesłania mu córki [a więc żony księcia Świętopełka, uwięzionej razem z nim i biskupem Reinbernem jeszcze przez wielkiego księcia Włodzimierza i zatrzymanej obecnie przez Jarosława – przyp. red.] i obietnicą zwrotu w zamian za to jego żony wraz z macochą i siostrami.

Fragment obrazu Matejki z przyniesioną w lektyce Peredsławą FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 33efe048ab

Następnie wyprawił z bogatymi darami swego ukochanego opata Tuni do naszego cesarza, aby zaskarbić sobie nadal jego łaskę i pomoc oraz okazać gotowość wypełnienia wszystkich jego życzeń w przyszłości. Wysłał także posłów do pobliskiej Grecji (tj. Bizancjum), którzy mieli zapewnić tamtejszego cesarza [był nim Bazyli II Bułgarobójca – przyp. red.] o jego życzliwości, jeżeli cesarz ze swojej strony zechce dotrzymać wierności i przyjaźni. W przeciwnym wypadku – mieli mu oświadczyć – Bolesław stanie się jego zdecydowanym i nieustępliwym wrogiem. Niechaj Bóg wszechmogący pośredniczy w tych wszystkich sprawach i wskaże łaskawie, co Jemu się podoba, a nam korzyść przynieść może".

Rus i Anonim

Nestor z Kijowa był mnichem pieczerskiego monasteru, który w 1113 r. zredagował jeden z najstarszych ruskich latopisów (roczników) – „Powieść minionych lat". Nestor opisał historię Rusi od IX do XII w., z przybyciem Ruryka wraz ze skandynawskimi Waregami na ziemie ruskie, początkami Rusi Nowogrodzkiej i rodu Rurykowiczów oraz powstaniem Wielkiego Księstwa Kijowskiego, aż po czasy mu współczesne. Jego latopis zawiera także wiadomości o początkach innych państw, m.in. Polski.

„Rozdział 30. Wyprawy Włodzimierza na Polskę i Jaćwingów. Roku 6489 [wedle nowożytnego kalendarza – 981. Daty oryginału – od stworzenia Ziemi wedle Biblii – przyp. red.] poszedł Włodzimierz ku Lachom i zajął grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są i do dziś dnia pod Rusią. Tegoż roku i Wiatyczów zwyciężył i nałożył na nich dań od pługa, jaką i ojciec jego brał.

Rozdział 47. Walka Jarosława ze Światopełkiem. […] Roku 6524 [1016]. przyszedł Jarosław na Światopełka, i stanęli naprzeciw po obu stronach Dniepru, i nie śmieli wystąpić ni ci przeciw owym, ni owi przeciw tym, i stali trzy miesiące naprzeciw siebie. I począł wojewoda Światopełkowy, jeżdżąc wzdłuż brzegu, szydzić z Nowogrodzian, mówiąc: Przeczzeście przyszli z tym chromym? Wszak cieśle jesteście? Postawimy was domy nasze budować! To usłyszawszy Nowogrodzianie rzekli do Jarosława: Jutro przeprawimy się do nich; jeśli kto nie

„Bolesław Chrobry" – portret Marcella Bacciarellego FOT. DOMENA PUBLICZNA

pójdzie z nami, sami porąbiemy go. Były już przymrozki. Światopełk stał między dwoma jeziorami i całą noc pił z drużyną swoją. Jarosław zaś, nazajutrz uszykowawszy drużynę swoją, ze świtem przeprawił się. I wysiadłszy na brzeg, odtrącili łodzie od brzegu, i natarli, i zeszli się natychmiast. Była walka zacięta, i niepodobna było Pieczyngom pomagać przez jezioro; i przycisnęli Światopełka z drużyną do jeziora, i wstąpili na lód, i załamał się z nimi lód, i zwyciężać począł Jarosław. Widząc to, Światopełk zbiegł, i zwyciężył Jarosław. Światopełk zaś uciekł do Lachów. Jarosław zaś osiadł w Kijowie na stolcu ojcowskim i dziadowym.

Rozdział 48. Wyprawa Bolesława Chrobrego na Kijów. Roku 6526 [1018]. przyszedł Bolesław ze Światopełkiem na Jarosława, z Lachami. Jarosław zaś zebrawszy Ruś i Waregów, i Słowien, poszedł przeciw Bolesławowi i Światopełkowi, i przyszedł ku Wołyniowi [gród], i stali po obu stronach rzeki Bugu. I miał Jarosław piastuna i wojewodę imieniem Budy, i począł on lżyć Bolesława, mówiąc: Oto ci przebodziem oszczepem brzuch twój tłusty. Był bowiem Bolesław wielki i ciężki, że i na koniu ledwo mógł siedzieć, lecz był roztropny. I rzekł Bolesław do drużyny swojej: Jeśli was ta obelga nie obraża, to ja polegnę sam. Wsiadłszy na koń wjechał do rzeki, a za nim wojsko jego. Jarosław zaś nie zdążył uszykować się, i zwyciężył Bolesław Jarosława. Jarosław zaś zbiegł z czterema mężami do Nowogrodu. Bolesław zaś wszedł do Kijowa ze Światopełkiem.

I rzekł Bolesław: Rozprowadźcie drużynę moją po grodach na leże; i było tak. Jarosław zaś, przybiegłszy do Nowogrodu, chciał uciekać za morze, lecz posadnik Konstantyn, syn Dobryni, porąbał z Nowogrodzianami łodzie Jarosławowe, mówiąc: Chcemy się jeszcze bić z Bolesławem i ze Światopełkiem. Poczęli pieniądze zbierać, od męża po cztery kuny, a od starostów po dziesięć grzywien, a od bojarów po osiemnaście grzywien. I przywiedli Waregów, i dali im pieniądze, i zebrał Jarosław wojsko mnogie. Gdy zaś Bolesław siedział w Kijowie, przeklęty Światopełk rzekł: Ile tylko Lachów jest po grodach, zabijajcie ich. I pobili Lachów. Bolesław zaś uciekł z Kijowa6, zabrawszy skarby i bojarów Jarosławowych, i siostry jego, a Anastazego z Dziesięcinnej cerkwi przystawił do skarbów, bowiem [ten] pochlebstwem pozyskał jego zaufanie. I ludzi mnóstwo uprowadził ze sobą, i grody czerwieńskie zajął dla siebie, i przyszedł do swego kraju Światopełk zaś począł władać w Kijowie. I poszedł Jarosław na Światopełka, i zbiegł Światopełk do Pieczyngów [w następnym roku – jak zanotował Nestor – przegrał bitwę z Jarosławem i wkrótce odszedł z tego świata ścigany przez siły nieczyste. Niewykluczone, że w zakończeniu życia pomógł mu własny teść, który rychło nawiązał poprawne stosunki z Jarosławem – przyp. red.]".

Gall Anonim pisał pierwszą, nieukończoną zresztą polską kronikę prawdopodobnie w latach 1113–1116 – a więc niemal w tym samym czasie, kiedy powstał ruski latopis Nestora. Dedykował ją polskiemu księciu Bolesławowi III, zwanemu Krzywoustym. Kronikę pisał w stylu wybitnie hagiograficznym. Widzimy to zresztą w rozdziałach poświęconych Bolesławowi I, którego czasy nazwał „wiekiem złotym". Oto jak on ujął interesujący nas temat.

„[7] Jak Bolesław z wielką mocą wkroczył na Ruś. Najpierw tedy zapisać należy z kolei, jak sławnie i wspaniale pomścił swą krzywdę na królu Rusinów, który odmówił mu oddania swej siostry za żonę. Oburzony tym król Bolesław najechał z wielką siłą królestwo Rusinów, a gdy ci usiłowali zrazu stawić mu zbrojny opór, ale nie odważyli się na stoczenie bitwy, rozpędził ich przed sobą jak wicher kurzawę. Nie opóźniał jednak swego pochodu natychmiastowym zajmowaniem miast i gromadzeniem łupów, jak to zwykle czynią najeźdźcy, lecz pospieszył na Kijów, stolicę królestwa, aby pochwycić jego ośrodek i króla samego. […]

Bolesław bez oporu wkroczył do wielkiego i bogatego miasta i dobywszy z pochew miecza, uderzył nim w Złotą Bramę, gdy zaś ludzie jego się dziwili,

eprasa.pl 33efe048ab

czemu to czyni, wyjaśnił [im to] ze śmiechem, a wcale dowcipnie: »Tak jak w tej godzinie Złota Brama miasta ugodzoną została tym mieczem, tak następnej nocy ulegnie siostra najtchórzliwszego z królów, której mi dać nie chciał. Jednakże nie połączy się z Bolesławem w łożu małżeńskim, lecz tylko raz jeden, jak nałożnica, aby pomszczona została w ten sposób zniewaga naszego rodu, Rusinom zaś ku obeldze i hańbie«. Tak powiedział i co rzekł, to spełnił. Król Bolesław więc, zawładnąwszy przebogatym miastem i potężnym królestwem ruskim, przez przeciąg dziesięciu miesięcy niestrudzenie przesyłał stamtąd pieniądze do Polski, aż jedenastego miesiąca, ze względu na to, że władał wielu królestwami, a syna swego Mieszka jeszcze nie uważał za zdolnego do sprawowania rządów, ustanowił tam panem w swoim zastępstwie pewnego Rusina ze swego rodu i powracał z resztą skarbów do Polski".

Tu następuje opis wielkiej bitwy nad Bugiem, stoczonej rzekomo jeszcze raz z Jarosławem, której wynikiem miała być krwawa rzeź nieprzyjaciół. Czy nasz Gall Anonim pomylił koniec z początkiem wyprawy? Czy monstrualnie wyolbrzymił rozbicie jakiegoś Jarosławowego podjazdu na naszych wschodnich rubieżach? A może po prostu poniosła go wyobraźnia i postanowił mocnym akcentem zakończyć opis wyprawy A.D. 1018 – nie wiemy.

Triumf, tron i łoże

Profesor Jacek Banaszkiewicz jest autorem eseju „Bolesław i Peredsława. Uwagi o uroczystości stanowienia władcy w związku z wejściem Chrobrego do Kijowa", w którym udowadnia, że Bolesław Chrobry objął schedę po Włodzimierzu Wielkim. Profesorowi pomogła wszechstronna znajomość źródeł polskich, niemieckich, ruskich, skandynawskich czy czeskich, komparatystyczna umiejętność korzystania z nich oraz intuicja uczonego. Zidentyfikował znaczenie kolejnych poczynań polańskiego księcia w Kijowie, który prawem zdobywcy pominął przy tym roszczenia zarówno Jarosława, jak i Świętopełka. Bo to on – a nie jego nieudany zięć – dokonał triumfalnego wjazdu do Kijowa i zasiadł na książęcym stolcu-tronie. Na koniec posiadł córkę Włodzimierza.

O tym czynie Chrobrego Banaszkiewicz pisze, że jest jak najdalszy „od uruchamiania dla przedstawionego przypadku interpretacji freudowsko-psychoanalitycznej, gdzie brama, wejście, ugodzenie mieczem znajdowałyby swoje odpowiedniki seksualne i pendant w następującym nocą akcie wzięcia księżniczki przez zdobywcę". Zdaniem uczonego „mamy do czynienia z zaaranżowaną uroczystością, której sens i cel były dobrze znane miejscowym i przybyszom […]. Rozegrała się ona najpewniej według planu przytoczonego m.in. przez latopis Nowogrodzki IV czy Sofijski I – wejście Bolesława w obręb miasta, jego zasiąście na tronie Włodzimierzowym, położenie sobie Peredsławy na łożu".

Uczony zastrzega także: „Ów końcowy akt uroczystości przejmowania władzy w Kijowie przez Bolesława nie jest, naszym zdaniem, kaprysem króla czy jakąś szykaną wobec kraju i dynastii, która nim rządziła. Przeciwnie, mieści się on bez reszty w całym procesie uwierzytelniania osoby zdobywcy jako zwierzchnika wspólnoty kijowskiej, ma jak najdobitniej uświadomić nowym poddanym, że związek małżeński z córką Włodzimierza – którego fizyczny aspekt został podkreślony – jest także poślubieniem kijowskiego władztwa wraz z jego godnością królewską".

Inne inauguracyjne wjazdy do Kijowa – pomijając seksmariaż – podczas których książę obejmował swą ziemię we władanie, wyglądały podobnie. Profesor przypomina tu adventus régis Włodzimierza Monomacha w 1113 r. czy Izjasława w 1146 r. Zmierzał on – jak Bolesław w poprzednim wieku – do cerkwi św. Sofii, gdzie prawdopodobnie znajdował się ów tron-stolec. Wcześniej witały go u bram miasta radosne tłumy i całe duchowieństwo z relikwiami i chorągwiami. „Już – pisze Banaszkiewicz – dla mniej więcej połowy XI w. latopisy ruskie dają wzmiankę o ceremonii ingresu władcy do Kijowa […]. Akcja taka przypada zwykle na niedzielę, dzień świąteczny, właściwy dla sakralnych i podniosłych uroczystości, wybierany także w czasach merowińskich dla przeprowadzenia ceremonii inauguracji władcy".

Czas pobytu Bolesława w Kijowie A.D. 1018 wyznaczają dwie daty: adventus regis z 14 sierpnia i śmierć Thietmara 1 grudnia. Przed tą ostatnią datą zdążył on bowiem napisać o powrocie naszego bohatera do Polski. Kiedy dokładnie zakończyła się wyprawa? Profesor stwierdza: „To pytanie, na które odpowiedź przynoszą różne oceny czasu przebiegu informacji z Kijowa lub z miejsca przebywania drużyny Bolesława. W każdym razie w okresie nie krótszym niż dwa miesiące Bolesław Chrobry pozostawał w mieście i […] trzeba powiedzieć, że w Kijowie sprawował władzę ponad Świętopełkiem". A więc nad Rusią Kijowską…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

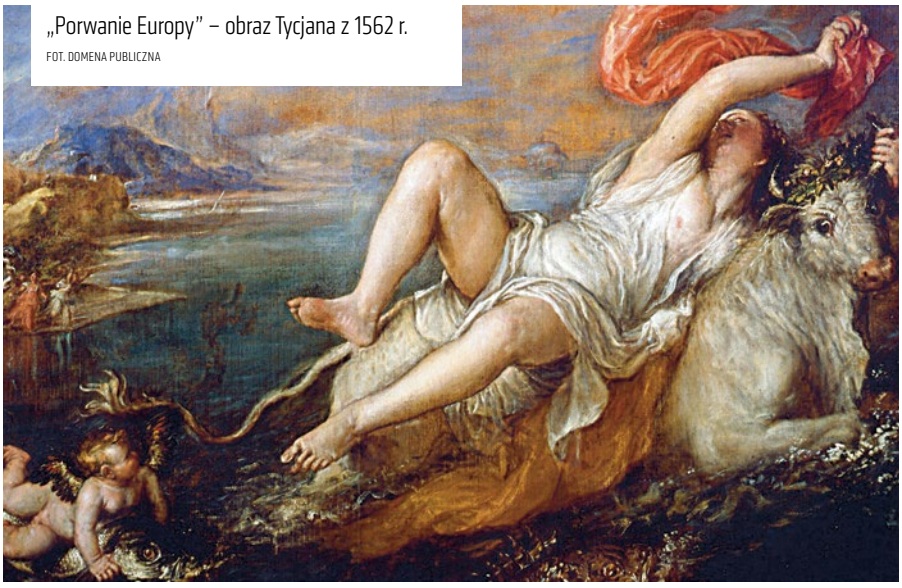

„Porwanie Europy" – obraz Tycjana z 1562 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 33efe048ab

1913–1985 / Heroiczne życie żony Józefa Mackiewicza

Arcyanty–komunistka

Tomasz Kornaś

To, jak zmagająca się ćwierć wieku z rakiem Barbara Toporska potrafiła zorganizować mężowi codzienność na bieda–emigracji, adiustować jego powieści i artykuły oraz samej napisać liczne ponadczasowe teksty, jest tajemnicą siły ludzkiego ducha

FOT. WYDAWNICTWO KONTRA

eprasa.pl 33efe048an

Bez jej ofiarności dorobek wybitnego pisarza – antykomunisty Józefa Mackiewicza – byłby zapewne wyraźnie skromniejszy. Ale przecież jej zasługi dla polskiej literatury to nie tylko organizowanie życia na trudnej, biednej emigracji niemającego może szwungu do prozaicznych spraw Mackiewicza, nie tylko poprawianie roboczych wersji jego tekstów, lecz także – przede wszystkim – jej własne osiągnięcia. Urodzona w 1913 r. Toporska była autorką pięciu powieści (nie licząc trzech, które zaginęły), zbioru wierszy oraz wielu tekstów publicystycznych publikowanych nie tylko u Grydzewskiego w „Wiadomościach" i u Giedroycia w „Kulturze", lecz także w wielu innych, zapomnianych już dzisiaj kompletnie pismach pojałtańskiej emigracji.

Od roku 1934 mieszkała w Wilnie i pracowała w najważniejszym chyba dzienniku II Rzeczypospolitej – w „Słowie", którego naczelnym był Stanisław Cat-Mackiewicz. Co z perspektywy czasów późniejszych ciekawe – do współpracy (luźnej, bo luźnej, ale zawsze) ze „Słowem" wciągnęła młodego, piszącego podówczas wiersze komunistę, po wojnie długoletniego członka KC PZPR i czerwonego nadzorcę Związku Literatów Polskich Jerzego Putramenta. Nie było to, rzecz jasna, wynikiem jakichś jej bolszewickich inklinacji czy słabości, co to, to nie – tych Toporska nie miała nigdy. Było to wynikiem liberalizmu pisma, które – zwłaszcza w odniesieniu do literatury – było bardzo otwarte i chętne do drukowania młodych, nawet tych jak najdalszych od konserwatywnej linii dziennika. Toporska niedługo po wojnie z melancholią i nostalgią wspominała: „Nasz przedwojenny liberalizm [był] naiwny, lekkomyślny, niczego nieprzeczuwający. A jednak chciałabym, żeby poszła w las wojenna nauka i jest mi tego liberalizmu najbardziej szkoda i najbardziej żal".

3 maja 1939 r. Toporska wzięła ślub z Józefem Mackiewiczem; zamieszkali pod Wilnem, w Czarnym Borze. Ale rzeczywistość nie pozwoliła na żadne sielanki, liberalizmy czy choćby spokojny względnie żywot. Po wybuchu wojny i przejęciu Wileńszczyzny przez Litwinów kilka miesięcy małżonkom udawało się pozostawać publicystami – Barbara pisała do „Gazety Codziennej", której wydawcą i naczelnym był Józef. Okupację bolszewicką i nazistowską małżonkowie spędzili w Czarnym Borze. Józef pracował jako drwal i furman, a Barbara o swoim sposobie na przetrwanie pod tamtymi okupacjami wspominała po wojnie: „Moim głównym zajęciem w czasie wojny był handel wymienny po wsiach" (handlowała m.in. mydłem własnej produkcji), wspominała też, że… hodowała świnie.

A kiedy nawała bolszewicka w 1944 r. parła na zachód, małżonkowie na „wyzwolenie" nie czekali. Uciekli przed bolszewikami najpierw do Warszawy, potem kilka miesięcy mieszkali w Krakowie, a później schronili się w Rzymie, gdzie Toporska znowu zaczęła pisać – tym razem do „Orła Białego" i „Ochotniczki". Z Rzymu Mackiewiczowie przenieśli się do Londynu, a w 1955 r. do Monachium, gdzie mieszkali do śmierci.

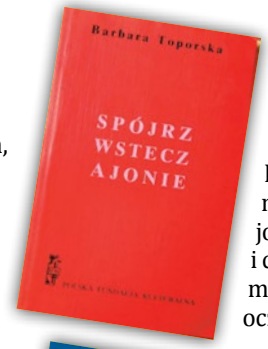

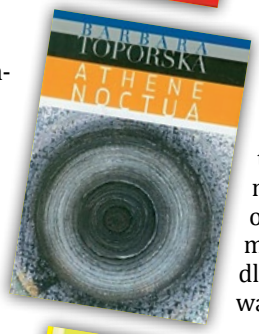

Bieda i nowotwór

Biedowali. Józef żył z pisania, ale dochody z powieści, z publicystyki były mikre. Barbara pracowała dla rozgłośni Głos Ameryki, aczkolwiek praca ta była niesformalizowana i coraz słabiej płatna – o ile w 1955 r. zarabiała 300 dol. miesięcznie, o tyle 10 lat później już tylko 70, a niedługo potem w ogóle zaprzestano z nią, w niezbyt sympatycznych okolicznościach, współpracy (nawet zastanawiała się nad procesem z rozgłośnią, ale zwyczajnie nie było jej stać na adwokatów i konieczne opłaty). Jej dorobek radiowy jest pokaźny, chociaż niestety w większości się nie zachował (m.in. przepadły trzy napisane dla rozgłośni powieści). Po utracie pracy w radiu próbowała dostać się do fabryki Siemensa, ale jej nie przyjęto.

Publicystka i pisarka dochody czerpała m.in. z repasacji pończoch, co zaczęła robić jeszcze w Londynie. Pod koniec życia wspominała: „Jedną z nich [klientek] była p. Wanda W[ohnout], żona pisarza emigracyjnego. Przesiadywała u nas zazwyczaj nader długo. Przychodziła bowiem z całym naręczem pozbieranych u znajomych pończoch do reperacji i czekała, aż ja »podciągnę« maszynową igłą spuszczone oczka, co ona już zwykłą igłą na miejscu zamocuje. Zarobkiem dzieliłyśmy się pół na pół".

Szczególnie trudne były ostatnie lata żyjących – jak pisał Czesław Miłosz w „Kulturze" – w skrajnym ubóstwie małżonków. Wspomagała ich opieka społeczna; dzięki niej mogli się leczyć, chociaż Barbara dla Józefa czasem z tego rezygnowała. W listopadzie 1983 r. pisała do Wiwy Trościankowej: „Wszyscy umierają, tylko ja jakimś cudem (moja lekarka twierdzi, że siłą woli) jakoś się trzymam. Pewno ma rację, bo chodzi mi o Józefa. Ten jest już bardzo kiepski, a na domiar nieszczęścia traci wzrok. Nie może już ani czytać, ani pisać. Więc ja w tym roku zrezygnowałam z wyjazdu do mego sanatorium, chociaż mnie tam dwukrotnie wzywali, bo nie mogę go samego w tym stanie zostawić. I tak się martwię, że mam za mało czasu, żeby mu głośno czytać". W sanatorium Toporska miała się leczyć, bo od roku 1960 chorowała na raka, który z różnym nasileniem atakował, cofał się, powracał, towarzyszył jej przez ćwierć wieku. Przeszła aż cztery operacje.

Na pohybel jednomyślności

Mimo tych arcytrudnych okoliczności Toporska pisała też sporo do prasy emigracyjnej. I to jak! Opublikowane przez nią teksty – za które otrzymywała skromne honoraria – poświadczają ogromną wiedzę, intelekt i erudycję. Recenzowała książki (znać, że czytała dużo), pisała na tematy polityczne (znać, że bacznie śledziła rzeczywistość) i przede wszystkim pisała eseje, w których rozważała problematy polityki, demokracji i świata

eprasa.pl 33efe048ab

zatruwanego ideami bolszewickimi, na którego to bolszewizmu naturę i niebezpieczeństwo miała pogląd konsekwentny, jednoznaczny – taki, z jakiego znany był zawsze jej mąż.

Te jej publicystyczne teksty czytane po latach zadziwiają absolutną ponadczasowością; wiele z jej tez, stwierdzeń, opinii brzmi nie mniej aktualnie niż w epoce, kiedy pisała. „Dlaczego się łudzić, że żyjemy w świecie liberalnym i tolerancyjnym, skoro jest to dziś świat kolektywnego myślenia z prawem wyłamywania się tylko na lewo?" – pisała w 1959 r. „Albo się robi w historii, albo się robi w propagandzie" – pisała w 1962 r. o „cenzorach polskiego patriotyzmu". W swoich tekstach – znowu jakżeż mądrze! – walczyła z demonami jedności, zwartości, jednomyślności, które tak dewastują wolną myśl: „Nie ma nic niebezpieczniejszego dla demokracji, nic bardziej stawiającego w wątpliwość jej rację bytu niż owczy pęd, co w języku ludzkim nazywa się »jednomyślnością«, »jednomyślność« nie jest dowodem słuszności jakichkolwiek sądów. Nie oznacza nic poza tym, że pewnej grupie ludzi, w określonym miejscu i czasie, coś się tak, a nie inaczej wydawało; z zasady, z zamkniętymi oczami, jestem przeciw jednomyślnym rezolucjom".

Frapujący jest wyraziście pojawiający się w jej artykułach pierwiastek religijny połączony z refleksją kulturowo-cywilizacyjną. Sama raczej nie była osobą głęboko religijną, ale była świadoma, że chrześcijaństwo w wymiarze może nie konfesyjnym, ale na pewno w sferze moralności, kultury jest podwaliną rzeczywistości, w jakiej funkcjonujemy: „Mówiąc »moralność«, nie zdajemy sobie często sprawy, że mamy na myśli konkretnie »tę moralność«, moralność kultury judeo-grecko-chrześcijańskiej, która jest naszą kulturą").

Kapitalne jest jej wspomnienie o ojcu: „Mój ojciec był niewierzącym. Przecież: ociągał się wprawdzie z chrztem córek, awanturował się po kancelariach szkolnych i urzędach, gdy jednak sprawę o »metryki« przegrał, i fakt [tzn. chrzest] został dokonany z pompą i hurtem (trzy [siostry] naraz, ja miałam już lat siedem) – dbał bardzo o nasze religijne wykształcenie. W lata później, prawie już dorosła, spytałam go w okresie mego »kryzysu wiary«, dlaczego to robił. Pytanie to brzmiało jak wyrzut i zarzut. Mój ojciec odpowiedział, że zdecydował się na takie nasze wychowanie po długich rozmyślaniach i że decyzja nie była dla niego łatwa. Ale – powiedział – nie znalazł poza religią żadnych wyczerpujących racji na odpowiedź, dlaczego człowiek ma postępować moralnie".

W „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" w roku 1959 pisała: „Mniej więcej od czasów rewolucji francuskiej zaczęła się walka z religią, prowadzona w imię nauki, rozumu, uwalniania od przesądów, i tak dalej, i tak dalej [...]. Jednocześnie, od pierwszej nieomal chwili zaatakowania religii, zaczął się istny wyścig w produkowaniu namiastek".

Ostatnia powieść II Rzeczypospolitej

Toporska wydała pięć powieści. Pierwsza – opublikowana przez Giedroycia w 1966 r. – to „Siostry"; otrzymała za nią nagrodę jury „Wiadomości" za najlepszą powieść wydaną na emigracji. Ciekawe jest to, że w niektórych jej fragmentach tworzywem do fabuły były dla Toporskiej jej własne przeżycia (pobyt w Krakowie, ucieczka przed bolszewikami do Włoch). Jej następne dwie (krótkie) powieści („Poczwarka i motyle" i „Martwe zwierciadło") ukazały się w 1970 r. w jednym wydaniu zatytułowanym „Na wschód od dzisiaj". W drugiej z tych powieści znowuż „skorzystała" z fragmentów własnych przeżyć – na literacki język przetworzyła doświadczenia handlowe z czasów okupacji.

W 1981 r. natomiast ukazała się najobszerniejsza powieść Toporskiej „Spójrz wstecz, Ajonie!", która według mnie jest absolutnie najlepszą jej powieścią, jej opus vitae i w ogóle jedną z najwspanialszych polskich powieści. Na swój własny użytek nazywam ją ostatnią (i wielką!) powieścią II Rzeczypospolitej. Może to się wydać (nie przeczę) dziwaczne. Jakżeż to?! II Rzeczpospolita jest wspomnieniem, od blisko 40 lat Polską rządzą bolszewicy, jak zatem po tylu latach nieistniejąca II Rzeczpospolita może mieć swoją literaturę?! A jednak! Stopa Toporskiej nigdy nie postała na ziemi rządzonej przez PKWN i późniejsze polskojęzycz-

eprasa.pl 33efe048ab

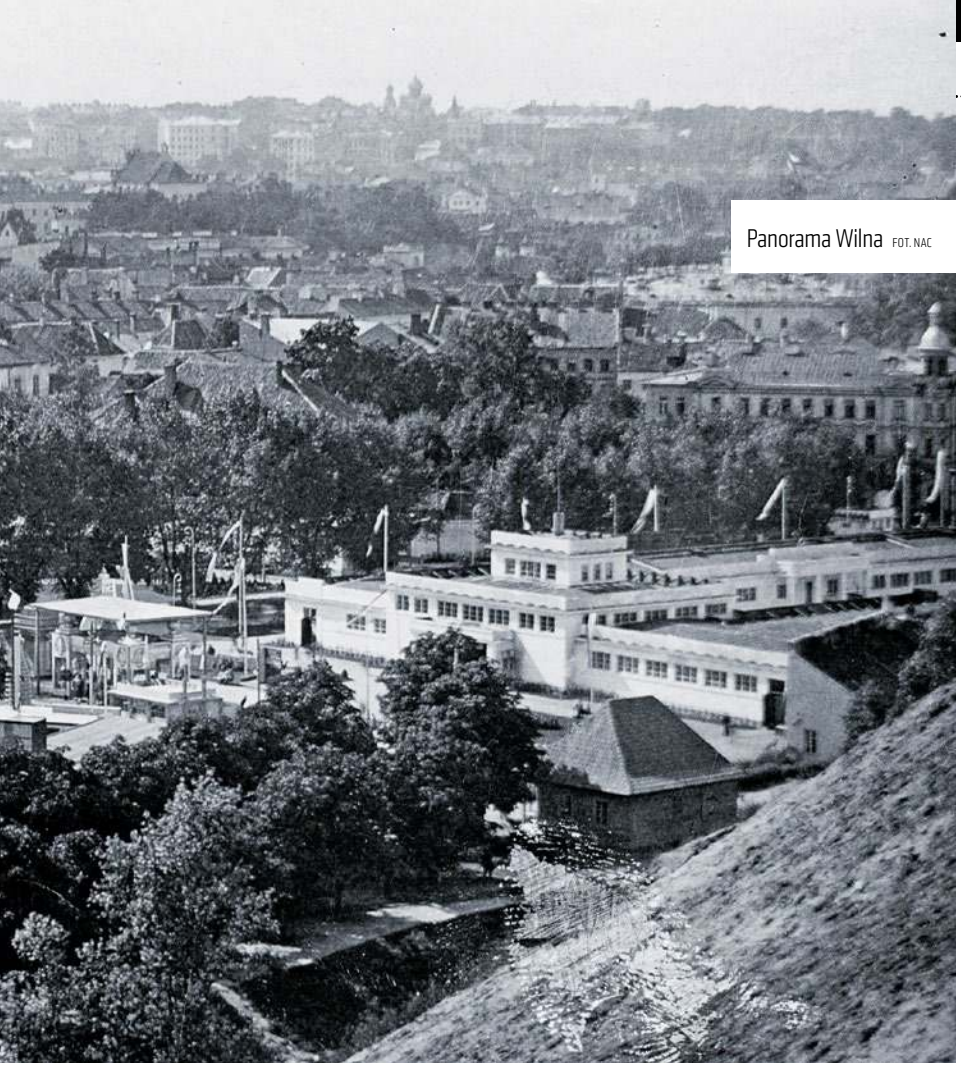

Panorama Wilna FOT. NAC

ne, komunistyczne (nowo)twory. Była (w latach 70.) zapraszana przez znajomą do odwiedzenia jej w Katowicach, ale z jej integralnym antykomunizmem (sama nazwała się arcyantykomunistką) w ogóle nie wchodziło to w grę.

Jedyna Polska, jaką znała, w której mieszkała, to była II Rzeczpospolita i to „pochodzenie" od Polski niepodległej pobrzmiewa w każdym zdaniu, każdym akapicie tej zachwycającej powieści. Fabuła zanurzona jest w obyczajowości, kulturze, realiach Polski przedwojennej, Polski prawdziwej. Przedstawiony w powieści świat to uniwersum, w którym dla czerwonych (w wymiarze politycznym) nie ma miejsca, w którym nazwać kogoś bolszewikiem jest najgorszą z możliwych obelg. Ciekawe są też – kojarzące się z konstrukcją „Z dnia na dzień" Ferdynanda Goetla – wplecione w powieść odautorskie refleksje, akapity, w których Toporska na krótko „zostawia" fabułę i przytacza różne epizody ze swojego życia.

Ostatnia jej powieść – „Na mlecznej drodze" – taki trochę kryminał, trochę powieść obyczajowa, ukazała się rok po „Spójrz wstecz, Ajonie", w 1982 r. Nieprzypadkowo te dwie powieści ukazały się tak późno, kilka lat przed śmiercią. Pracowała nad nimi już dużo wcześniej, ale jakby z doskoku (jeden z rozdziałów jej ostatniej książki ukazał się w prasie jeszcze w 1959 r.). Zmagała się przecież z rakiem, organizowała sobie i Józefowi emigracyjne bieda-życie, zabiegała o zasiłki, mnóstwo uwagi poświęcała pracy męża (to zawsze był dla niej priorytet). Ale pod koniec lat 70., kiedy Józef był schorowany i coraz mniej pisał, Barbara wróciła do pracy nad powieściami („Daj mi, Boże, żeby mi się udało wykończyć dwie moje powieści, przerwane chorobą"). Dała radę je dokończyć i na szczęście Polska Fundacja Kulturalna zdążyła je wydać jeszcze za jej życia.

Dorobek autorki „Sióstr" uzupełnia wydany w 1973 r. zbiór wierszy „Athene noctua", który – czym była mile zdziwiona – nieźle jak na warunki emigracyjne się sprzedał. No i warto koniecznie dodać, że Toporska wykonała mrówczą pracę nad pamiętnikami Karola Wędziagolskiego, które na emigracji zrobiły furorę. Józef Mackiewicz pisał do Stefanii Kossowskiej: „Słynną książkę Wędziagolskiego […] napisała do druku moja żona. Tj. z ogromnego, właściwie tylko pół po polsku istniejącego rękopisu, wyjęła, skomponowała, podzieliła na rozdziały etc. I napisała po polsku".

Listę pozycji wydanych za jej życia zamyka wybór publicystyki jej i męża pt. „Droga Pani" wydany rok przed śmiercią małżonków. Zabierała się do spisania wspomnień, ale zamiaru nigdy nie zrealizowała. Dodajmy, że Toporska miała też artystyczne pasje. Lubiła rysować i malować, zaprojektowała okładkę do jednej ze swoich książek. Zaprzyjaźniony z Mackiewiczami dziennikarz Wolnej Europy, autor niesamowicie dowcipnych wspomnień z pracy w rozgłośni (do których napisania namówiła go Toporska) Zygmunt Jabłoński, wspominał z uznaniem o jej pasji malarskiej i z dumą informował, że kilka jej akwarel zdobi jego mieszkanie.

Zmarła w czerwcu 1985 r., kilka miesięcy po mężu. Najpiękniej pożegnał ją zaprzyjaźniony z Mackiewiczami Kazimierz Zamorski: „Wiedzieliśmy, że od lat cierpiała na bezlitosną chorobę. Mimo to poza mężem nie widziała świata, wyrzekła się wielu rzeczy, własnej wygody, własnej sławy. Mogła bardziej, niż to miało miejsce, poświęcić się literackiej i artystycznej działalności. Przecież była nie tylko utalentowaną pisarką, ale i malarką. Nie, ona pracowała na utrzymanie: sekretarzowała we Włoszech, łapała oczka w Londynie, pisała do radia w Monachium […]. Przed kilku miesiącami ta ciężko chora kobieta zebrała resztki sił na podróż do Londynu, by wziąć udział w uroczystości złożenia urny z prochami Jej męża. Wytłumaczyć to tylko można bezgranicznym oddaniem jemu i jego pamięci. Chciała koniecznie być obecna na tej uroczystości żałobnej, a potem »jest mi wszystko jedno« oświadczyła".

Na przestrzeni kilku lat, w okolicy 100. rocznicy urodzin pisarki, niezwykle ofiarna i zasłużona kustoszka pamięci i twórczości Mackiewiczów Nina Karsov (wydawnictwo Kontra) wznowiła wszystkie powieści i zbiór wierszy Toporskiej, do tego wydała bardzo bogaty wybór jej publicystyki (tom „Metafizyka na hulajnodze"), opublikowała sporo listów Toporskiej. Na zdrowy, konserwatywny rozum powinno być głośno o tych książkach, o Toporskiej w 100. rocznicę jej urodzin, ale było i jest cicho…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

27 grudnia 1979 r. / Obalenie prezydenta Afganistanu Amina

Sztorm w pałacu

Pałac prezydencki w Kabulu po szturmie FOT. WIKI-WIKI.RU

Grzegorz Janiszewski

Operacja ta do dzisiaj służy jako jedyny w historii działań specjalnych przykład opanowania tak dużego i silnie chronionego obiektu przez garstkę zmotywowanych i śmiałych napastników

Pułkownik Bojarinow jednym susem wyskoczył z transportera, przypadł do betonowej płyty rowu odwadniającego i ostrożnie wyglądnął ponad jej krawędzią. W ciemnościach nocy zobaczył, że pierwszy z BTR-ów stał nienaturalnie przechylony na przebitych, masywnych oponach. Z otwartych drzwi drugiego biły kłęby dymu, przetykane pomarańczowymi jęzorami płomieni. Pozostałe maszyny nie mogły się ruszyć, zablokowane przez pola minowe po obu stronach drogi. „Szyłki", samobieżne działa przeciwlotnicze, waliły smugowymi pociskami po ścianach stojącego na wzniesieniu pałacu prezydenckiego, kreśląc w powietrzu czerwone i zielone smugi. W oknach potężnego budynku pojawiały się niezliczone błyski wystrzałów. Kule świstały dokoła z przenikliwym wizgiem. Bojarinow wstał i z całej siły krzyknął do zalegających wokół transporterów specnazowców:

– Riebiata, wpieriod!

Bojcy leżeli jak przyklejeni do asfaltu i skał. W końcu powoli, grupkami, schyleni w pół, dźwigając szturmowe drabiny, zaczęli przedzierać się w kierunku pałacu.

Prezydent Amin ubrany jedynie w białe, krótkie szorty szedł chwiejnym krokiem przez salę bankietową swojego pałacu. Dłonie, w których ciągle trzymał szklane butle z kroplówką miał uniesione wysoko do góry. Igły tkwiły wkłute w jego przedramiona. Nagle z bocznych drzwi wybiegł na oko pięcioletni chłopiec, głośno płacząc i wołając ojca. Mężczyzna na chwilę zatrzymał się. Chłopiec podbiegł do niego i mocno objął. Nie zważając na to, Amin jak w lunatycznym transie szedł dalej. Doktor Kuznieczkow podbiegł do nich i poprowadził do znajdującego się pod ścianą baru. Nagle drzwi się otwarły, a w sali z ogłuszającym hukiem zaczęły rozrywać się granaty.

Rewolucja bez paliwa

Afganistan od wieków kluczył między swoimi sąsiadami, nie pozwalając odebrać sobie niepodległości, ale z Rosją Sowiecką łączyły go specjalne stosunki. Afgańskie władze jako pierwsze już

eprasa.pl 33efe048ab

Oddział specnazu w Afganistanie

FOT. MIKHAIL EVSTAFIEV-CC BY-SA 2.5/WAR HISTORY ONLINE

w 1919 r. uznały państwo bolszewików. Od północnego sąsiada do kraju płynęły pożyczki, żywność, doradcy i sprzęt wojskowy. Rosjanie budowali elektrownie i drogi. Problemy zaczęły się, kiedy w 1978 r. władzę przejęli miejscowi komuniści. Chcieli przekształcić Afgańczyków w społeczeństwo proletariackie, nie oglądając się na fakt, że w kraju nie było zbyt wielu robotników. Nieudana reforma rolna, a zwłaszcza forsowana laicyzacja kraju i emancypacja kobiet sprawiły, że na początku 1979 r. w większości afgańskich prowincji tliły się zarzewia buntu. Kraj pogrążał się w chaosie. Władza centralna utrzymywała się tylko w większych miastach, stosując sprawdzone, stalinowskie metody.

Moskwa nie mogła zostawić gorliwych komunistów na łaskę losu i Amerykanów, którzy wchodzili w imperialne buty Brytyjczyków. Nie mogła też jednak pozwolić na tolerowanie jawnego terroru u sąsiada.

W wyniku frakcyjnych walk, we wrześniu 1979 r. przywódcą Afganistanu został Hafizullach Amin. Na jego polecenie – mimo ostrzeżeń Breżniewa – został uduszony potulny wobec ZSRS poprzedni prezydent Nur Mohammad Taraki. Kiedy Amin zaczął realizować tradycyjną, afgańską politykę lawirowania między mocarstwami, Moskwa zaczęła oglądać się za kimś bardziej uległym.

Sowieckie przygotowania do interwencji zaczęły się dużo wcześniej, bo na wiosnę 1979 r. Początkowo planowano niewielką operację, mającą na celu jedynie zmianę na szczytach władzy. Rosjanie nie byli do końca przygotowani do prowadzenia takich akcji. Mieli jednak tajną broń. Od lat na ściśle tajnych kursach wywiadu i dywersji „KUOS" pod Moskwą szkolono oficerów KGB. Kierował nimi weteran rosyjskiej dywersji z czasów drugiej wojny światowej płk Grigorij Bojarinow. Z absolwentów sformowano grupę „Zenit", która stała się trzonem organizowanej ad hoc jednostki przeznaczonej do wykonania operacji. Specjalnie sformowano też 154. samodzielny oddział specnazu, nazywany „batalionem muzułmańskim". Składał się on z żołnierzy pochodzących ze środkowoazjatyckich republik ZSRS, znających miejscowe języki i nieodróżniających się wyglądem od mieszkańców Afganistanu.

Latem 1979 r. na miejscu rozpoczęto rozpoznanie przed operacją. Kluczową rolę odgrywało wyeliminowanie Amina. Dziwnym trafem tydzień przed planowaną akcją prezydent pod wpływem swoich doradców przeniósł siedzibę z ufortyfikowanego pałacu Arg do rezydencji Tadż Bek na obrzeżach Kabulu. Nie oznaczało to wcale, że będzie dużo łatwiej. Pałac leżał na wzniesieniu górującym nad okolicą. Prowadziła do niego jedna kręta droga, której pobocza były zaminowane. Ściany budynku były odporne na ostrzał z ciężkiej broni. Pałacu broniło ponad 300 doborowych gwardzistów.

W pobliżu stacjonowała wyposażona w czołgi i artylerię brygada ochrony prezydenta, licząca ponad 2 tys. ludzi. Na górującym nad drogą wzniesieniu w ziemię wkopano trzy czołgi T-54. Na pomoc mogły szybko przybyć stacjonujące w Kabulu dwie dywizje piechoty i dwie brygady pancerne. Bojarinow po rekonesansie okolicy pałacu stwierdził tylko, że będzie to „twardy orzech do zgryzienia".

Obiad z menu KGB

Specnazowcy nie byli jednak całkiem bez szans. Amin ufał swoim sowieckim doradcom i nie spodziewał się od nich ciosu w plecy. W grudniu do Afganistanu przyleciał batalion muzułmański i został ulokowany w koszarach w pobliżu pałacu do „wzmocnienia" ochrony prezydenta. „Zenit" udawał jego pododdział inżynieryjny. Wchodzący w skład ochrony Amina funkcjonariusze KGB umożliwili swoim kolegom sporządzenie planu pomieszczeń. Na kilka dni przed planowanym atakiem żołnierze batalionu muzułmańskiego rozpoczęli nocne ćwiczenia. Strzelali w powietrze z automatów i rakiet oświetlających i ćwiczyli alarmy, żeby przyzwyczaić ochronę. 24 grudnia na miejsce dotarła grupa „Grom", sformowana z funkcjonariuszy jednostki antyterrorystycznej „A" 7. Zarządu KGB. Grupy miały na wyposażeniu liczne karabiny maszynowe, granatniki ręczne i automatyczne. Wspierały ich też cztery „Szyłki" – poczwórnie sprzężone działka plot kal. 23 mm na podwoziu gąsienicowym.

Całością operacji „Sztorm 333" dowodził płk Wasilij Kolesnik z GRU. Najważniejsze było wyeliminowanie wkopanych na wzgórzu czołgów, które wstrzelane, szybko mogły wyeliminować jadący transporterami 1. kompanii batalionu muzułmańskiego specnaz. Pozostałe dwie kompanie i jeszcze jedna – z 345. gwardyjskiego pułku powietrzno-desantowego, miały trzymać na dystans żołnierzy z brygady ochrony. Mniejsze grupy miały wyeliminować stojące w parku maszyn czołgi i odciąć ogniem granatników obsługi armat i karabinów plot.

Plan operacji nie został zatwierdzony ani przez głównego sowieckiego doradcę wojskowego w Afganistanie gen. Magometowa, ani przez doradcę KGB gen. Iwanowa. W razie niepowodzenia akcja miała być przedstawiona jako wybryk pijanego dowódcy batalionu muzułmańskiego Chabiba Chałbajewa i jego podkomendnych. Uprzedzono o tym samego zainteresowanego, który zyskał dodatkową motywację do walki.

Szturmować wnętrze pałacu miało zaledwie 30 „zenitowców" i 25 funkcjonariuszy z „Gromu". Zwierzchnie dowództwo nad grupami należało do Bojarinowa, który jako jedyny z atakujących

eprasa.pl 33efe048ab

Sowieckie samobieżne działo przeciwlotnicze ZSU 23-4 FOT. SGT. RYAN WARD, U.S. MARINE CORPS/WIKIPEDIA

brał udział w działaniach specjalnych jeszcze podczas drugiej wojny światowej.

Operację zaplanowano na 27 grudnia, kiedy Amin wydawał uroczysty obiad dla członków politbiura, ministrów i ich rodzin. Okazją było wkroczenie dwa dni wcześniej – na jego usilne prośby – sowieckiej armii do Afganistanu.

Jeden z rosyjskich kucharzy prezydenta – agent KGB – dodał do potraw środek obezwładniający. Miał zadziałać po upływie czterech–sześciu godzin. Coś jednak poszło nie tak i skutki pojawiły się już po pół godzinie. Kolejni goście odchodzili od stołu i tracili przytomność. Sam Amin był na diecie i nie zjadł wiele, ale i tak stracił świadomość. Jego ochroniarze wezwali lekarzy wojskowych z sowieckiej ambasady, którzy znaleźli dyktatora leżącego w samych slipach na tapczanie. Po płukaniu żołądka i podaniu kroplówek zaczął dochodzić do siebie. Przerażony szef ochrony pałacu Sabri Dżandad kazał ogłosić alarm i wzmocnić posterunki.

Śmiały zwycięża

Przed godz. 19 jadąca ciężarowym gazem 66 w kierunku okopanych czołgów grupa specnazu zauważyła, że w 3. afgańskim batalionie ochrony wydawana jest broń, a żołnierze ustawiają się w szyku. Gaz zahamował przed dowódcą batalionu, błyskawicznie wyskoczyło z niego kilku specnazowców i na oczach zebranych żołnierzy wrzuciło zaskoczonego oficera i jego zastępców na pakę. Samochód odjechał, zanim zdezorientowani Afgańczycy zaczęli strzelać. W tym czasie snajperzy zlikwidowali wartowników przy czołgach.

Słysząc strzały, Kolesnikow nie mógł już czekać na rozpoczęcie akcji w innych punktach Kabulu i kazał wystrzelić rakiety oświetlające. Rozpętało się piekło. Dwie „Szyłki" zaczęły ostrzeliwać pałac, w każdej sekundzie wbijając w jego granitowe ściany kilogramy śmiercionośnego ładunku. Dwie następne raziły afgańskie pozycje. Batalion muzułmański i spadochroniarze pokryli ogniem automatycznych granatników AGS 17 i karabinów maszynowych koszary, deszczem pocisków zatrzymując żołnierzy w środku. Reszta „muzułmanów" zabrała specnazowców na swoje BTR-y i ruszyła w kierunku bramy pałacu.

Zlikwidowanie zewnętrznych posterunków ochrony nie było trudne, ale kiedy tylko minęli zakręty, znaleźli się na otwartej przestrzeni, pod ogniem prowadzonym niemal ze wszystkich okien pałacu. W pierwszym transporterze momentalnie przebite zostały wszystkie opony. Drugi, trafiony, zapalił się i zatarasował drogę. Wyminięcie ich po zaminowanym poboczu było niemożliwe. Specnazowcy zaczęli się desantować spod dudniących od pocisków pancerzy transporterów i zalegli przy drodze, kryjąc się przed kulami. Bojarinow dwa razy wstawał, próbując pociągnąć ich za sobą, ale pod gradem kul nikt się nie ruszył. Pułkownik kazał przebijać się małymi grupami do wejścia. Jedno ze stanowisk karabinu maszynowego zostało zniszczone ogniem z „Szyłki" i atakujący doszli pod mury pałacu. Obrońcy zaczęli obrzucać ich granatami. Odłamki granitu oderwane od ścian pałacu boleśnie raniły nieosłonięte twarze i dłonie. Było już kilku zabitych i coraz więcej rannych.

W końcu specnazowcy znaleźli się w martwej strefie ognia przy głównym wejściu. Obrzucili hol granatami i zaraz potem wpadli do środka, nieustannie strzelając z automatów. Inne grupy wtargnęły do pałacu przez okno, boczne drzwi i dziurę w murze wyrwaną pociskiem z granatnika.

Specnazowcy rozbiegli się po pałacu, po kolei szturmując piętra. Szli od pokoju do pokoju, najpierw wrzucając granaty i zasypując pomieszczenia ogniem broni maszynowej. Od ognia „Szyłek" na drugim piętrze zaczął się pożar. Specnaz ubrany był w afgańskie mundury, z przewiązanymi na ramionach białymi opaskami. Gwardia Amina nosiła wyróżniające się białe mankiety. W gasnącym od wybuchów świetle lamp i kłębiącym się dymie trudno było odróżnić atakujących od obrońców. Specnazowcy nawoływali się hasłem „Misza-Jasza", a przede wszystkim klęli rosyjskim matem. Afgańczycy, słysząc, że atakują ich „sojusznicy", zaczęli się poddawać.

Amin prawie do końca był przekonany, że pałac atakują buntownicy, i kazał adiutantowi dzwonić po sowieckie posiłki. Kiedy ten tłumaczył, że to specnaz, dyktator rzucił w niego popielniczką i sam próbował wezwać na pomoc wojsko, ale telefon milczał. Węzeł łączności w pałacu został zniszczony na początku operacji.

W końcu jakaś kobieta zaczęła wołać Amina po imieniu, co sprowadziło specnazowców do jednego z pomieszczeń. Dyktator siedział schowany za cienkim drewnianym słupem, z przytulonym do siebie pięcioletnim synem. Obaj byli martwi. Ochrona broniła się jeszcze zaciekle na trzecim piętrze. Trzeba było zdobywać pokój po pokoju, ale wkrótce było po wszystkim. Akcja trwała 45 minut. Do niewoli oddało się ok. 1,7 tys. afgańskich żołnierzy. Reszta zginęła albo uciekła w góry i przyłączyła do mudżahedinów.

Po walce ciało płk. Bojarinowa zostało znalezione przy głównym wejściu do pałacu. Kula rykoszetowała od kołnierza jego kamizelki kuloodpornej i trafiła prosto w serce. Prawdopodobnie stał się ofiarą własnych żołnierzy, którzy mieli strzelać do wszystkich wychodzących z pałacu. Oprócz niego „Zenit" i „Grom" straciły jeszcze po dwóch funkcjonariuszy, a batalion muzułmański siedmiu żołnierzy, z czego większość od własnego ognia. Zginęło też dwóch spadochroniarzy. Ogółem było 35 rannych.

Na podstawie doświadczeń zebranych podczas akcji, a przede wszystkim od ludzi biorących w niej udział, została sformowana legendarna jednostka specjalna KGB „Wympieł". Sama operacja do dzisiaj służy jako jedyny w historii działań specjalnych przykład opanowania tak dużego i silnie chronionego obiektu przez garstkę zmotywowanych i śmiałych napastników, przy tak niewielkich stratach.

Specnazowcom wmawiano przed szturmem, że Amin był agentem CIA. Jeżeli była to prawda, to doskonale wykonał swoją pracę, wciągając mocno opierający się ZSRS w wojenną awanturę, która była jednym z ostatnich gwoździ do trumny upadającego imperium.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

REPUBLIKA

PIĄTKOWE PASMO W TV REPUBLIKA
ODDECH DLA UMYSŁU

SPECJALIŚCI OD wszystkiego

21:00

REPUBLIKA PYTA

22:00

21:30

KULISY MANIPULACJI

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 33efe048ab

Krzysztof Masłoń

Lwów – to Zbierzchowski/ Zbierzchowski – to Lwów... (Marian

Nie wpadłoby mi do głowy sięgnąć do – zdawałoby się – stareńkich, zapomnianych utworów Henryka Zbierzchowskiego, gdyby nie wydawnictwo Wysoki Zamek, które właśnie dopełniło edycję „Tamtego Lwowa" Witolda Szolgini, zmarłego ćwierć wieku temu fantastycznego człowieka, wybitnego architekta, znakomitego znawcy dziejów grodu nad Pełtwią, autora cudownych wspomnień „Dom pod Żelaznym Lwem", jak najsłuszniej przez Jerzego Janickiego nazywanego „lwowskim rebe", gdyż o Lwowie wiedział absolutnie wszystko. Ukazały się właśnie „Rozmaitości", szósty tom „Tamtego Lwowa", zrodzony – jak cały ten cykl – z cotygodniowych radiowych gawęd pana Witolda zatytułowanych „Krajobrazy serdeczne".

I oto na samym początku owych „Rozmaitości" natknąłem się na jego, całkowicie prywatny, poczet najwybitniejszych lwowian XX w. W tej siódemce arcylwowian obok Stefana Banacha – genialnego matematyka, Rudolfa Weigla – pogromcy duru i niedoszłego noblisty, znakomitego architekta i wizjonera – Janusza Witwickiego i przedsiębiorcy o złotej lwowskiej duszy – Waldemara Markowskiego umieścił Szolginia trzech ludzi pióra: Mariana Hemara, Jana Parandowskiego i, właśnie, Henryka Zbierzchowskiego.

Mało tego, to od Zbierzchowskiego rozpoczął prezentację swoich arcylwowian, nazywając go „ostatnim bardem lwowskim, który na tak zaszczytny tytuł rzeczywiście, w pełni i bez żadnych zastrzeżeń zasłużył. Jeśli ktokolwiek i kiedykolwiek będzie chciał was, moi drodzy współziomkowie, przekonywać (a bywają tacy, bywają), że po Zbierzchowskim byli, a i są nadal, różni inni godni owego zaszczytnego tytułu – nie wierzcie im. Owi inni tak właśnie czasem określani – to tylko odlegli jego epigoni

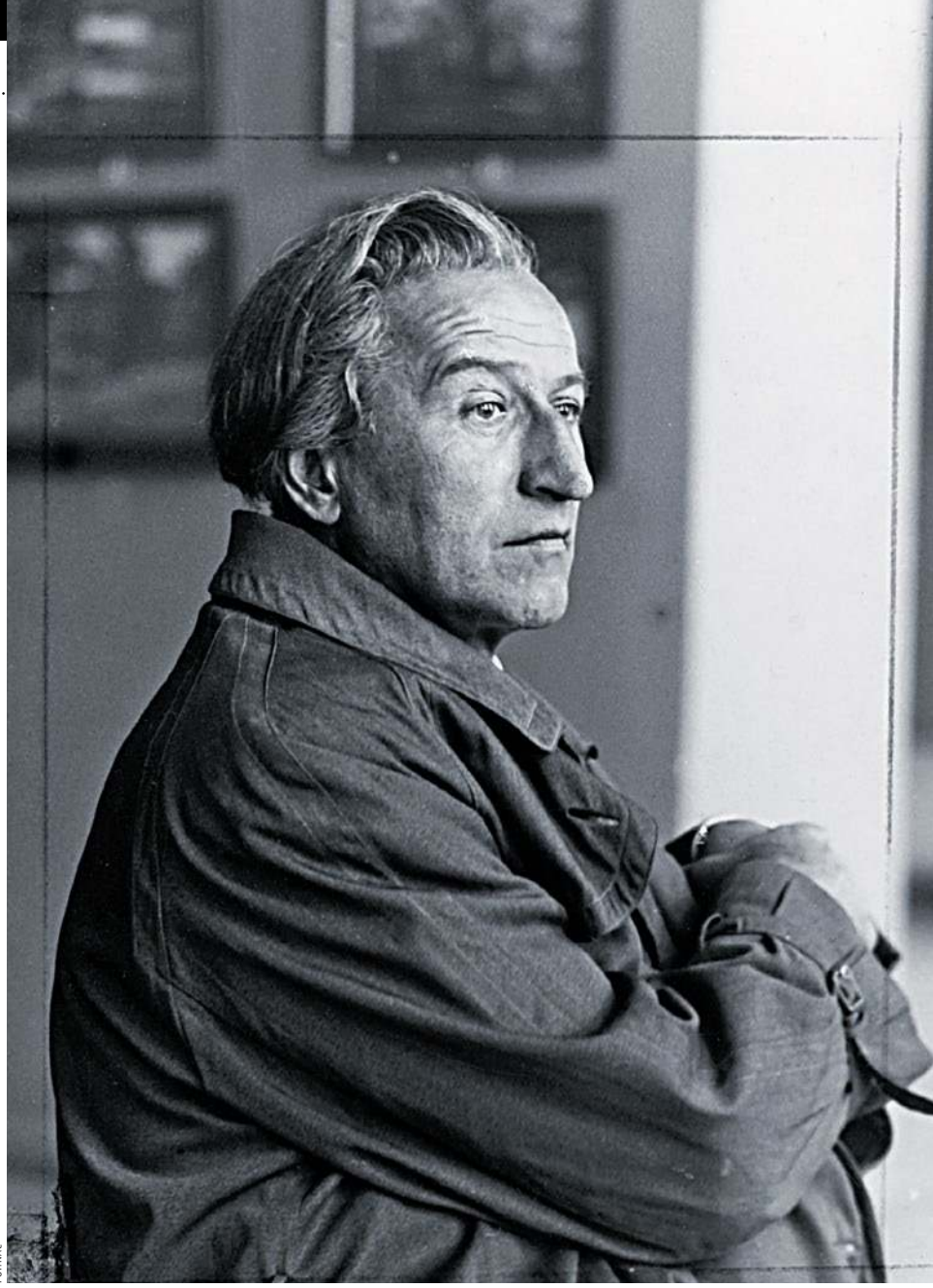

FOT. NAC

1881–1942 / Życie i wiersze prawdziwego poety

Ostatni bard tamtego Lwowa

eprasa.pl 33efe048ab

FOT. DOMENA PUBLICZNA

lub po prostu mitomani. Zbierzchowski był unus et ultimus – jedyny i ostatni".

Jak można się było spodziewać, opinia ta wywołała liczne głosy sprzeciwu, powszechnie bowiem za lwowskiego poetę numer jeden, a co za tym idzie – ostatniego barda dawnego Lwowa – uchodził Marian Hemar. Witold Szolginia obstawał jednak przy swoim, akcentując, „że Zbierzchowski był ostatnim bardem d a w n e g o Lwowa, żyjącym działającym i tworzącym tu, na miejscu, w jego i naszym Mieście, w trwałej, organicznej ze Lwowem symbiozie. A dla mnie (i jak sądzę, nie tylko dla mnie) dawny Lwów trwał w tej swojej rodzimej, czystej lwowskości polskości tylko do września 1939 roku".

Gdy ciemność zapada

„Przy Hemarze – wywodził Witold Szolginia – targanym gwałtownymi, płomiennymi uczuciami, pełnym najgłębszego zaangażowania we wszystko, czym się przejmuje i o czym pisze – Zbierzchowski wydaje się łagodnym, sentymentalnym, romantycznie upozowanym na ostatniego młodopolskiego poetę przedstawicielem dawno minionej epoki, bez sprzeciwu afirmującym otaczającą go i wygodną dlań rzeczywistość. Bardzo malowniczym, uroczo staromodnym i dającym się bardzo lubić… no, kim? Ano – bardem właśnie. I takim też bardem t a m t e g o, dawno minionego Lwowa, bardem rzeczywiście ostatnim, pozostał na zawsze.

Do Mariana Hemara określenie »bard« jakoś mi nie pasuje – za wiele w nim, jak na barda w klasycznym tego słowa znaczeniu, namiętnego zaangażowania, płomiennej pasji, a i świętego gniewu też. Już prędzej nazwałbym go trybunem, gdyby mi to określenie nie dźwięczało nazbyt już populistycznie i politycznie".

A Marian Hemar poświęcił swojemu poprzednikowi wiersze: „Valse Brune" i „Wnuczka". W tym pierwszym pisał:

Za dawnych dni młodopolskich i lwowskich,
Gdy jeszcze radia nie było i kin,
Cygan-poeta, pan Henryk Zbierzchowski,
Przywiózł z Paryża melodię „Valse Brune".
Usiadł w kawiarni i machnął od ręki,
Przy czarnej kawie, swój tekst „polskich słów"
I w tydzień nutą tej nowej piosenki
Szumiał i brzmiał cały Lwów:
„Gdy ciemność zapada
I światła latarń zapłoną,
Do naszych serc się zakrada
Jakaś tajemna moc.
Hej, serce nam bije,
W winie niech troski zatoną!
Szerzej i piękniej się żyje –
Cudna, ach, cudna jest noc…".
[…]
Dzieckiem słyszałem te piosenkę we Lwowie.
Po tylu latach pamiętam ją dziś
I tak mi chodzi czasami po głowie
I taka czasem dokucza mi myśl,
Takie sam sobie zadaję pytanie –
Gdy się pół wieku rozwieje jak mgła –
Czy z moich piosnek choć jedna zostanie
W czyjej pamięci, jak ta –
„Gdy ciemność zapada
I światła latarń zapłoną,
Do naszych serc się zakrada
Jakaś tajemna moc" […].
I to Hemar właśnie napisał o nim najkrócej
i najcelniej:
Pisarz tak lwowski,
Że dość mu trzech słów:
Lwów – to Zbierzchowski,
Zbierzchowski – to Lwów…

To trzy słowa, a jeśli byśmy chcieli
dodać jedno więcej, to odzywa się już sam
Zbierzchowski swoim, jakże wymownym,
„Czterowierszem":
Jeden oktawy wielbi Słowackiego,
Drugi znajduje cały smak w sonecie,
Da mnie zaś cztery wódki Baczewskiego
Tworzą najlepszy czterowiersz na świecie.

To przy stoliku w legendarnym Atlasie (róg Rynku i ul. Grodziskiej) powstawała większość utworów lwowskiego barda, które – cytuję Szolginię – „przyniosły mu po wielu latach jego twórczości, w roku 1928, Literacką Nagrodę Miasta Lwowa, a dziesięć lat później, w roku 1938 – Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury »za wybitną twórczość literacką«. Wbrew bowiem pozorom jego rozwichrzonej, romantycznej, młodopolskiej »cygańskości« oraz potocznym opiniom lwowskich filistrów i mieszczuchów, zgorszonych i oburzonych jego nieraz kilkudniowymi alkoholowymi »posiadami« u »Atlasa« – Zbierzchowski stał się z czasem autorem 20 tomów powieści, nowel, opowiadań, zbiorów poezji, kilkunastu utworów scenicznych (dramatów, komedii i sztuk o tematyce patriotycznej) oraz niezliczonych wierszy okolicznościowych i ulotnych, piosenek, fraszek i satyr".

Sen pana radcy

Profesor Artur Hutnikiewicz, autor m.in. „Od czystej formy do literatury faktu", oczywiście lwowianin, wspominając Łyczaków, pisał: „Z centrum placu [Świętego Antoniego – przyp. K.M.] rozbiegały się na kształt gwiazdy ulice: Świętego Antoniego w górę, ku ulicy Kurkowej i wznoszącemu się na wysokiej skarpie uroczemu kościółkowi ss. Franciszkanek. Tuż obok wystrzelała stronę wzgórz Kajzerwaldu ulica Słodowa, rozwidlająca się w pewnym miejscu w ulicę Leśną i Piaskową. Leśną zamykała u wylotu wyniosła stromizna, u której szczytu wychodziło się na pierwszą kondygnację tarasowato wznoszącej się nad miastem płyty podolskiej.

Idąc tym płaskim wzgórzem polną drogą, można było wyjść na tyły zdziczałego po trosze i zapuszczonego ogrodu, w którego zielonych spławach bieliła się tajemniczo wśród kamiennych

eprasa.pl 33efe048ab

światowidów willa poety Henryka Zbierzchowskiego. Żył jeszcze wówczas, widywałem go niekiedy – starszego pana o siwiejących skroniach i o pięknej, rasowej głowie, chodzącą legendę lwowskiej Młodej Polski. Pisywał jeszcze wciąż, regularnie co dzień jeden wiersz dla miejscowej gazety lub dla krakowskiego »Kuriera« i pracował – w urzędzie podatkowym! O, ironio przedziwnych rzeczy tego świata!".

Jego urzędniczej pracy nie mógł się również nadziwić Kazimierz Schleyen, który we „Lwowskich gawędach" tak pisał o Zbierzchowskim: „Zawsze młody i zawsze zakochany. Poeta, autor powieści, sztuk scenicznych i piosenek kabaretowych. Piosenkarz i kompozytor. Redaktor naczelny »Szczutka« i współpracownik wielu pism. Kierownik literacki teatrzyku, uczestnik wszystkich poważniejszych imprez i birbantek, nieporównany cicerone lwowskich lokali. Zawsze spokojny, uśmiechnięty, bez pieniędzy, zawsze ma czas. Doba we Lwowie miała również tylko dwadzieścia i cztery godziny. Jak przy tym wszystkim Henio mógł jeszcze pełnić funkcję ni mniej, ni więcej, tylko naprawdę urzędującego radcy Izby Skarbowej, tego nawet najbliżsi przyjaciele pojąć nie mogli, nawet ci, dla których znalazł czas na rolę czarującego gospodarza na oszklonej werandzie willi państwa Zbierzchowskich przy ulicy Piaskowej".

Nieco światła na urzędowanie Henryka Zbierzchowskiego rzuca przywoływana przez Witolda Szolginię anegdota, którą – jako ponoć prawdziwą, niezmyśloną usłyszał od swego ojca, który przez jakiś czas był związany z tą samą Izbą Skarbową, mieszczącą się przy ulicy Rutowskiego w byłym kolegium jezuickim. Otóż Zbierzchowski, czytamy w „Tamtym Lwowie" Witolda Szolgini, „urzędnikiem skarbowym był raczej, hm, tytularnym. Była to dla niego doprawdy znakomita posada, miał bowiem na niej wystarczająco dużo… bezpłatnego papieru, atramentu i piór do pisania swoich poetyckich i prozatorskich utworów. Ponieważ jednak często całe dnie i noce spędzał w różnych lwowskich restauracjach i kawiarniach, głównie […] w literacko-artystycznej knajpie Atlas – niedobory snu odsypiał potem najczęściej w swoim miejscu »pracy«. Zdarzyło się pewnego dnia, że jego szef przerwał mu jednak głęboki sen, oznajmiając przebudzonemu grzecznie: »Przepraszam, że pana budzę, ale właśnie odchodzę na emeryturę i chciałbym się pożegnać…«".

Wyspany w pracy Zbierzchowski wyżywał się wieczorami artystycznie (i nie tylko) i to „u Jaegera lub w Atlasie mógł go znaleźć chłopak redakcyjny z nieśmiałym przypomnieniem: »Psze pana radcy, wierszyk…«. Pan Henryk – wspominał Kazimierz Schleyen – brał wtedy papierową serwetkę ze stolika i nie odrywając od niej ołówka, pisał. A nazajutrz ukazywał się w gazecie naprawdę piękny wierszyk o głębokiej myśli. Przez dziesiątki lat ukazywały się te krótkie wierszyki z pseudonimowym podpisem Nemo. Umiał wypowiedzieć swą myśl pięknie, zwięźle i szczerze, bez płytkości i tanich efektów, a nade wszystko bez odrobiny patosu".

Na rozkaz Abrahama

No, z tym brakiem patosu to Schleyen mocno przesadził. Szczególnie w utworach patriotycznych, a pozostawił ich po sobie Zbierzchowski multum, od wielkich słów jest gęsto. Ale też trudno się im dziwić; był poeta piewcą Orląt Lwowskich, a z ich historią patos jest nierozłączny. Czasem jednak wystarczały proste słowa… Jak w „III Odcinku":

Biliście się jak diabli!
Każdy z nas to pamięta.

Na ostrzu waszej szabli
Krew była niezaschnięta.

Lecz także śmierci brama
Wciąż była wam otwarta.

Hej! Chłopcy Abrahama!
Hej! Kuzynowie czarta!

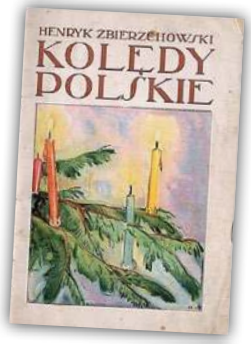

Padaliście jak kwiaty
Od kosy uderzenia.

Jakie mieliście straty –
Powie Góra Stracenia.

Te czyny się nie prześnią.
Legenda mówi sama.

Jak wyście biegli z pieśnią
Na rozkaz Abrahama.

Był autorem ukształtowanym przez Młodą Polskę. I niezależnie od faktu, że na marginesie swej twórczości uprawiał coś, co Artur Hutnikiewicz nazwał „produkcją wierszopiską", odnotowującą rozmaite wydarzenia z życia dawnej stolicy Galicji i Lodomerii czy rymowane utworki typowo reklamowe, warto pamiętać, że w ówczesnych wyobrażeniach o literaturze jako najwyższym wyrazie działalności artystycznej poezja zajmowała pozycję wyjątkową. To ona nobilitowała literata, jak również ukształtowany przez niego image. A ten był, w wydaniu Henryka Zbierzchowskiego, wyjątkowy. W jego domu znalazł przystań życiową Feliks Wygrzywalski, malarz, a i mistrz stolarski, który – jak pisał Jerzy Masior, też malarz i poeta, ale przede wszystkim lekarz, i jeszcze jeden arcylwowiak – „prócz drewnianej galanterii powszechnego użytku konstruował w swym warsztacie kajaki, pływające potem Dniestrem i po jeziorkach Gródka Jagiellońskiego".

Uosabiał Zbierzchowski cyganerię artystyczną samym swoim wyglądem: „Wysoki, o pociągłej twarzy, zdobnej wydatnym, iście »cyranowskim« nosem – opisuje go Witold Szolginia – o rozwianym włosie, z zawiązanym pod brodą romantycznym, czarnym fontaziem, odziany w aksamitną kurtkę,

eprasa.pl 33efe048ab

w narzuconej na ramiona artystowskiej, szumnej pelerynie i w szerokoskrzydłym kapeluszu na głowie – był charakterystycznym, niejako modelowym typem młodopolskiego cygana. Nigdy nie zmieniał swego romantycznego wyglądu – wizualnie pozostał taki aż do pamiętnego września 1939 r., do momentu, w którym t a m t e n cały jego (i nas wszystkich starych lwowian…) świat legł w gruzach".

Krew z krwi twojej

„Jedynym chyba materialnym dorobkiem Zbierzchowskiego – pisał Jerzy Masior – było nabycie w latach 20. willi w Krynicy, którą ochrzcił swoim literackim pseudonimem »Nemo«. Dziwnie się drogi lwowian ze sobą zbiegają, gdyż projektantem tej willi był inżynier Zaremba, ojciec Lusi Zarembianki, zamordowanej przez Gorgonową. W przeuroczo położonym na skraju lasu domu, w przeszklonej, słonecznej werandzie, w dniu 6 listopada 1942 r. dokonał żywota. Był już wtedy starszym, schorowanym człowiekiem, ponieważ pierwsze lata wojny we Lwowie nie szczędziły mu trosk i chorób. Wiemy, że leczył się w szpitalu wojskowym przy Łyczakowskiej, że dokuczała mu Wanda Wasilewska i że skorzystał z pierwszej okazji, aby po wkroczeniu Niemców do Lwowa przenieść się wraz z rodziną w zacisze krynickich wzgórz. Przebywała tu z Nim żona i córka Izabella, dołączyła wnuczka Krystyna, która wyemigrowała w latach późniejszych do Anglii, jest lekarzem […]".

Przez tak wiele lat, gdy ze Lwowa ściągali, głównie do Warszawy, jego najwybitniejsi obywatele, Henryk Zbierzchowski tkwił w tym mieście „zawsze wiernym" też jako „semper fidelis". A zmarł w Krynicy, w wieku 61 lat, i tam też został pochowany. Niby nie tak daleko, a przecież za, przynajmniej fizyczną, granicą oddzielającą go od miasta, o którym tak pisał w swoim bodaj najlepiej znanym utworze:

Kocham Cię, Lwowie, miasto mej młodości,
Która się dotąd w moich żyłach pieni,
Bom krew z krwi twojej i kość z twojej kości,
Bośmy na wieki z sobą połączeni
I coś do serca mego sobie rości
Najlichszy z bruku twojego kamieni,
Który źrenicą całowałem jasną
I wydeptałem stopą swoją własną.
I nieraz pytam, dokąd mi iść, dokąd,
Gdy już widziałem tyle świata stolic
I ani uśmiech uwodzący Giocond,
Ni czar przedziwny nadmorskich okolic,
Ani Mont Blancu śnieżysty prostokąt,
Patrzący słońcu złocistemu do lic,
Nie był mi droższy niż ty, moje miasto,
Gdziem żył i szczęście swe dzielił z niewiastą.

Więc jeśli kiedyś na gwiazd pójdę połów
I zamknie moje znużone powieki
Śmierć swoją dłonią tak zimną jak ołów,
Jeszcze zobaczę, jak obraz daleki,
Te białe wieże twych cudnych kościołów,
Jak wynurzają się z oparów rzeki
I jak się pławią w wieczornej godzinie
W bladym, przeczystym niebios seledynie.
Kocham Cię, Lwowie!

Wały Hetmańskie we Lwowie
FOT. NAC

A chowano go, niejako, dwukrotnie. Spoczywał bowiem na starym cmentarzu w Krynicy w – jak pisał Jerzy Masior – „piwniczce, zwanej szumnie kryptą, która była właściwie składem narzędzi ogrodniczych. Tylko „kartonowa tabliczka z nazwiskiem, wykazem nagród literackich i stosownymi datami przetrwała w swym papierowym, przedartym na pół majestacie do 26 listopada 1990 r., tj. do dnia ekshumacji zwłok". Rok później, w listopadzie 1991 r. odbył się – staraniem Towarzystwa Miłośników Lwowa i osobiście Jerzego Masiora – drugi pogrzeb lwowskiego barda. „Spoczął w świeżej mogile – czytamy dalej – w nowej trumnie, jednakże to, co do niej przeniesiono, było już nikłymi szczątkami, ponieważ wilgoć, która wytworzyła się pod zalewą gipsową, nie służyła samozakonserwowaniu zwłok. W miejscu wskazującym na położenie dłoni, w przedziwnie dobrym stanie tkwił malowany na szkle obrazek Czarnej Madonny. Przełożyliśmy tę Matkę, której był wierny do końca, do nowej trumny". Spoczął Henryk Zbierzchowski w godnym miejscu, wśród zmarłych szczególnie zasłużonych dla Krynicy, w tym i artystów, bo tam pochowany jest m.in. Nikifor, ale jego dusza błąka się po cmentarzu Łyczakowskim, gdzie leżą Konopnicka i Grottger, Zapolska i Bełza.

W 2000 r. Witold Waszczuk wydał w Lublinie książkę „Pisarz wobec koniunktury. Twórczość literacka Henryka Zbierzchowskiego", ale – co z przykrością skonstatowałem – dziewięć lat później w antologii „Moje serce zostało we Lwowie", pięknie opublikowanej przez wydawnictwo Bosz, z fotografiami Adama Bujaka, nie znalazł się ani jeden (!) wiersz ostatniego barda t a m t e g o Lwowa. A jeszcze w 1993 r. w „Sercu wydartemu z polskiej piersi" Danuty B. Łomaczewskiej (w latach 80. sygnującej swe prace pseudonimem Jerzy Wereszyca) było tych utworów pięć.

Pamiętajmy o pięknych ogrodach, także o Ogrodzie Jezuickim, o parku Stryjskim. I pamiętajmy o poetach. Prawdziwych, jak Henryk Zbierzchowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Zawisza Czarny w walce z Turkami
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Książka miesiąca / Historyk wobec legendy

Zawisza Czarny według Komudy

Jacek Komuda, znakomity znawca historii staropolskiej, uznany autor powieści historycznych, wziął na pisarski warsztat postać Zawiszy Czarnego, legendarnego rycerza, mężnego, wytrwałego w walce, znającego tajniki sztuki wojennej, ideał cnót rycerskich z honorem na czele.

„Zawisza. Czarne krzyże" są mocno osadzone w realiach historycznych, jednak jest to beletrystyka. Pisarz biorący się za opisywanie bohatera z dawnych wieków z jednej strony jest w kłopocie, jeśli przekazy źródłowe pozostawiają – znaczne czasami – luki w jego biografii. Z drugiej jednak – te luki dają pole do popisu wyobraźni. I tak też właśnie rzecz ma się z książką Komudy. Jest to powieść o losach Zawiszy na Żmudzi, dokąd udał się, by wykupić swego brata z rąk Krzyżaków i o wojnie z zakonem.

Zawisza Czarny służył u Zygmunta Luksemburskiego, króla Czech. Do kraju wrócił na krótko przed wojną z Krzyżakami. Zapewne patriotyzm grał dużą rolę w tej decyzji, jednak powieściowy Zawisza porzuca lukratywną służbę, dlatego, że – wprowadzony w błąd przez ludzi króla – dokonuje czynu nielicującego z honorem. A powieść jest doskonałą ilustracją rycerskich cnót Zawiszy, waleczności, męstwa i właśnie honoru.

Jednak Jacek Komuda podejrzewa, że piszący dotąd o Zawiszy nadmiernie go idealizowali. Dlatego robi swoim piórem pewne skazy na pancerzu rycerza z Garbowa. Skazy, ze współczesnego, a nie ówczesnego punktu widzenia.

Gdy przerażony Krzyżak, dopiero co pasowany na rycerza, nie chce stanąć do walki z Zawiszą, polski rycerz zarzuca mu tchórzostwo, niegodne rycerza i każe swojemu giermkowi po prostu zarąbać za to Niemca. Tuż przed bitwą pod Grunwaldem Polacy i Litwini zdobywają Dąbrówno, urządzając bezlitosną rzeź mieszkańców, w tym kobiet i dzieci. A „Zawisza może by nawet interweniował, powstrzymywał swych braci przed rzezią, lecz nie mógł. Opanowała go zimna wściekłość, dziwne, nieludzkie uczucie, którego doświadczał już nie raz na polu walki. Wywlekało ono duszę z ciała, sprawiało, że stawał się częścią tłumu, który uderzał, bił, mordował. W każdym obliczu starca, dziecka czy niewiasty widział krzyżackie, brodate gęby".

Komuda tłumacząc wyidealizowany nad miarę obraz Zawiszy, wprowadza do powieści postać spisującego dzieje wyprawy na Żmudź mnicha Peregryna, który chciał wiernie przedstawić czyny i zachowania Zawiszy i towarzyszącego mu młodego Zbigniewa Oleśnickiego. Lecz bp Oleśnicki ciągle koryguje i cenzuruje opowieść mnicha, któremu każe pisać nie jak było, lecz jak być powinno. Aż wreszcie rozzłoszczony, oddala go i powierza pisanie kroniki Janowi Długoszowi. „Mierne ma pióro, ale wierne – mówi biskup. – Niech on to jakoś ogarnie".

To powieść akcji, rycerz z Garbowa niejednokrotnie używa miecza i kopii, szczęk broni przewija się przez liczne strony książki. Niezwykle ekscytujący jest, pełen dramatyzmu, pojedynek Zawiszy z krzyżackim komturem. Jeśli polski rycerz wygra, w odwecie zostanie zamordowany jego giermek. Alternatywą jest śmierć Zawiszy na udeptanej ziemi. Największe emocje czekają czytelników pod koniec lektury. Znakomicie udało się bowiem autorowi brawurowe wręcz, emocjonujące opisanie bitwy pod Grunwaldem, są to najlepsze strony powieści.

Wartością samą w sobie są przypisy, a raczej objaśnienia Komudy dotyczące historycznych postaci, wydarzeń, strojów, uzbrojenia. W jednym z nich autor stwierdza, że nie wiadomo, kto zabił Ulricha von Jungingena, tylko poszlaki wskazują na Mszczuja ze Skrzynna. Dlatego też to powieściowy Zawisza Czarny zabija wielkiego mistrza. ©℗ *Tomasz Stańczyk*

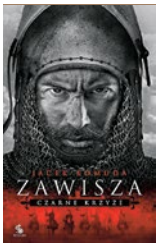

JACEK KOMUDA
„ZAWISZA. CZARNE KRZYŻE"
FABRYKA SŁÓW

eprasa.pl 33efe048ab

Grużewski przypomniany

Marek Gałęzowski tą niewielką książką zrobił bardzo wiele. Przywrócił pamięć o znakomitym publicyście i pisarzu politycznym – Tadeuszu Grużewskim (1870–1938). Początkowo był on związany z ruchem narodowym, jednak stwierdziwszy słabość legalnej walki o sprawę polską, przeszedł do obozu niepodległościowego.

Każda publicystyka polityczna jest świadectwem swojego czasu i tak też można rozpatrywać pisarstwo Grużewskiego. Co zaskakuje, nie jest ono jedynie tylko szacownym dokumentem epoki. Grużewski zajmował się współczesną mu, przedrewolucyjną Rosją. „Dzieje państwa, zwłaszcza od reformy Piotra I, to nic innego jak stała a bezwzględna dyktatura. Dla umysłu Rosjanina pozostał też mniej lub więcej obcym zasób pojęć, na jakich wychował się Europejczyk. Dotyczy to zwłaszcza stosunku jednostki do państwa i do władzy zwierzchniej, niezależności i godności osobistej obywatela".

Grużewski stwierdzał, że wszelkie reformy w Rosji dokonywały się z inicjatywy władz, nie były konsekwencją aktywności społecznej. „Każda reforma była prowadzona tak, by wzmocnić państwo, co rozumiano jako budowanie potęgi samowładztwa i jego aparatu władzy, a nie wyzwolenie energii czy zaktywizowanie biernego społeczeństwa". Konsekwencją tego była wygodna dla władzy obojętność ludzi na sprawy publiczne, zasklepianie się w kręgu interesów osobistych. Wszelka zaś aktywność społeczna była traktowana przez władze niechętnie i podejrzliwie.

Gdy czyta się tego rodzaju poglądy, trudno nie zadać sobie pytania: Czy po ponad stu latach od ich sformułowania wiele się w Rosji zmieniło?

Grużewski pisał także o wpływie Rosji na Europę. Zauważał, że ukrywanie słabych stron jest jedną z najważniejszych sztuk polityki rosyjskiej. „Rosja – twierdził – daleko więcej zawdzięcza swej polityce, niż swej armii, więcej osiągnęła przez hipnotyzowanie świata swą olbrzymią rzekomo siłą, niż przez użycie jej bezpośrednie". Publicysta zauważał też, że w Europie są silne sympatie prorosyjskie. Czy bardzo się sytuacja zmieniła od tamtego czasu?

Marek Gałęzowski zwraca uwagę na opinię Grużewskiego o tym, że w społeczeństwie europejskim „zmniejsza się poczucie związku z przeszłością i czci wobec niej. Tym samym słabnie jeden z najważniejszych i najczystszych pierwiastków uczucia narodowego". Mamy z tym zjawiskiem do czynienia także i dziś. ©℗

Tomasz Stańczyk

MAREK GAŁĘZOWSKI
„ZAPOMNIANY ZNAWCA ROSJI. WOKÓŁ DZIAŁALNOŚCI I POGLĄDÓW TADEUSZA GRUŻEWSKIEGO NA MONARCHIĘ ROSYJSKĄ I SPRAWĘ POLSKĄ"
PWN

Pershing kontra Panthera

Od Wału Zachodniego do Zagłębia Ruhry posuwała się na czele amerykańskiej 3. Dywizji Pancernej „Spearhead" wyborowa szpica czołgowa. Załoga shermana toczy nierówne pojedynki z czołgami Niemców, wyposażonymi w potężne działa i pancerze, których nie mogły przebić pociski amerykańskie. Przy zniszczeniu jednej panthery (czołg średni, 45-tonowy o długolufowej armacie 75 mm) lub tygrysa (ciężki, o znakomitym dziale 88 mm) tracono kilka shermanów. Sytuacja poprawia się, gdy załoga otrzymuje nowiutkiego M 26 pershinga (20 sztuk trafiło do US Army w 1945 r.) o wadze 40 ton, z armatą 90 mm. ©℗ ***(m.r.)***

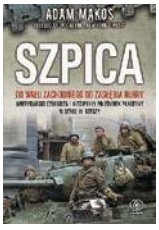

ADAM MAKOS
„SZPICA"
REBIS

BARTOSZ JANUSZEWSKI
„KINO POD OKUPACJĄ. WOJENNE LOSY I POSTAWY POLSKICH FILMOWCÓW (1939–1945)"
IPN

LOSY LUDZI KINA

Przemysł filmowy w II RP był bardzo rozwinięty i działał prężnie. Książka Bartosza Januszewskiego opowiada o losach ludzi polskiego kina pod dwoma okupacjami. Losy te układały się różnie. Wielu aktorów zginęło z rąk Niemców lub Sowietów, inni zdecydowali się na grę w oficjalnych teatrach i kabaretach. Pasjonująca książka. ©℗ ***(p.z.)***

WIKTOR DZIERŻYKRAJ-STOKALSKI
„DZIEJE JEDNEJ PARTYZANTKI Z LAT 1917–1920"
MILES

KRESOWI ZAGOŃCZYCY

Książka stanowi wznowienie wydanych w II RP wspomnień oficera oddziału Feliksa Jaworskiego, postaci o naturze Kmicica. Podczas chłopsko-sołdackiej anarchii na Ukrainie „jaworczycy" bronili życia polskich ziemian i ich pracowników. Partyzancki oddział, wcielony do III Korpusu Polskiego, prowadził z napastnikami krwawą walkę, w której nie było litości. Następnie ruszył na wojnę z bolszewicką Rosją. ©℗ ***(t.s.)***

MAREK BARAŃSKI
„WSPOMNIENIA 1943–1989"
PIW

GODNE ŻYCIE W PRL

Autobiografia mediewisty Marka Barańskiego – profesora UW i UKSW – jest przykładem godnego życia w PRL. Wspomnienia dzieciństwa w rodzinie prawdziwej polskiej inteligencji, nauk w Liceum im. Reytana i w harcerskiej „Czarnej Jedynce", uprawiania sportu i turystyki, studiów historycznych oraz działań antykomunistycznych rysują postać człowieka budzącego szacunek i sympatię. Spełnionego – mimo represji, jakich doznał w PRL. ©℗ ***(m.r.)***

eprasa.pl 33efe048ab

Enkawudziści FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czerwoni kaci

W czasach, gdy nadal odżywają na Zachodzie – ale i w Polsce – komunistyczne resentymenty, z satysfakcją należy przyjąć książkę znakomitego francuskiego badacza i publicysty historycznego Thierry'ego Woltona. Właśnie ukazał się w Polsce pierwszy tom – o katach – tego zakrojonego na imponującą skalę dzieła poświęconego dziejom komunizmu (dwa kolejne tomy dotyczą ofiar oraz piewców tej zbrodniczej ideologii).

Autor precyzyjnie i przystępnie przedstawia bolszewicką rewolucję – z jej przebiegiem i „bohaterami". Widzimy także owoce jej zatrutych ziaren: mękę i śmierć milionów Rosjan oraz innych narodów ujarzmianych przez nich na terenie imperium carskiego, a następnie w Europie Środkowej oraz eksport rewolucji do Azji, Ameryki Łacińskiej i Afryki. Wolton nawiązuje do samych korzeni komunizmu, czyli do XIX-wiecznej koncepcji Karola Marksa, wedle którego przewrót proletariacki będzie nieuchronnym następstwem rozwoju przemysłowego, a jego wynikiem staną się rządy socjalistów stosujących „przejściową przemoc" wiodącą do wprowadzenia ustroju sprawiedliwości społecznej i urzekającego szczęścia ludzkości.

„Twórczy" wkład Lenina i Stalina polegał na przechwyceniu władzy w steranej pierwszą wojną światową Rosji – kraju zacofanym i głównie rolniczym – a następnie zastosowaniu terroru, jakiego świat wcześniej nie widział. Przy czym terror nieustannie wzmagał się wraz z rzekomym „nasileniem walki klasowej" i przerażeniem zagrożonych państw demokratycznych. Katowaniu milionów ludzi służyły masowe rozstrzeliwania, obozy GUŁagu i deportacje na śmierć i poniewierkę – oczywiście w obronie „zdobyczy rewolucji". Procederowi temu towarzyszył bezczelny imperializm rosyjski, znajdujący wyraz od wojny z Polską lat 1919–1920, poprzez drugą wojnę światową, właściwie do dziś.

Godzi się zauważyć, że francuski autor z wnikliwą znajomością rzeczy i po prostu uczciwie przedstawia tragiczną sytuację Polski, która od 1939 . broniła odzyskanej niespełna 20 lat wcześniej suwerenności, a przegrała przez zdradę aliantów w Teheranie i Jałcie. Wolton nie omieszkał przypomnieć układu Ribbentrop-Mołotow, zbrodni katyńskiej, braku sowieckiej pomocy podczas powstania warszawskiego, podstępnego ujęcia 16 przywódców wolnej Polski, kaźni patriotów i półwiekowej komunizacji.

Przypomniał też, że zanim postanowienia jałtańskie weszły w życie, pierwszy władzę komunistów w Polsce uznał oficjalnie gen. Charles de Gaulle. Warto, aby pracę Woltona popularyzować nie tylko na Zachodzie, lecz także wśród naszej młodzieży, niedokształconej i indoktrynowanej lewackimi hasłami. ©℗

Maciej Rosalak

THIERRY WOLTON
„HISTORIA KOMUNIZMU NA ŚWIECIE. KACI"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Szczęście na wojnie

Kto miał pecha, ten zginął, kto miał szczęście, ten ocalał. Podczas bitwy pod Monte Cassino ustawiono tabliczkę przy drodze z napisem: „Nie bądź głupi, nie daj się zabić". Łatwo powiedzieć! Bohaterami książki Piotra Korczyńskiego są weterani drugiej wojny światowej, żołnierze Armii Krajowej, armii Andersa i Berlinga, więźniowie obozu Auschwitz. Autor spotykał się z nimi, przeglądał rodzinne archiwa, czytał wspomnienia żołnierzy. W efekcie powstały zebrane w książce opowieści.

Fuks to inaczej szczęście. Ale Fuks to także nazwisko jednej z opisywanych osób. Marian Fuks został oskarżony przez NKWD o szpiegostwo, sabotaż i kontrrewolucyjną działalność. Szantażowano go, że zostanie rozstrzelany, jeśli nie przyzna się do winy. Ostatecznie wylądował w łagrze. Ostatniego dnia wojny o mało nie stracił życia, gdy ciężarówka, w której się znajdował, najechała na minę. O szczęściu może mówić Antoni Łapiński, żołnierz II Korpusu, sanitariusz. Pod Monte Cassino ścieżka, którą transportował rannych, była pod ostrzałem, Niemcy nie zważali, że ma na rękawie opaskę z czerwonym krzyżem.

Szczęście na wojnie miały żołnierki z batalionu kobiecego im. Emilii Plater, gdyż generał Berling oparł się naciskom Sowietów, by oddział ten wysyłać na pierwszą linię frontu. A tych, którzy oglądali serial „Czterej pancerni i pies" zainteresuje rozdział o Wacławie Feryńcu, dowódcy czołgu o numerze 102, który ukradł leśniczemu psa, nazwanego Kulką, Szarikiem. ©℗ *(t.s.)*

PIOTR KORCZYŃSKI
„PRZEŻYŁEM WOJNĘ... OSTATNI ŻOŁNIERZE WALCZĄCEJ POLSKI"
ZNAK

eprasa.pl 33efe048ab

Zidentyfikowano 654 Sprawiedliwych

Wyniki badań nad Holokaustem są nieustannie w Polsce przedmiotem ostrych sporów i polemik. Wszystkim zainteresowanym tą tematyką warto polecić publikację, która ukazała się pod tytułem „Represje za pomoc Żydom na okupowanych ziemiach polskich w czasie II wojny światowej". Książka przedstawia 654 wymienionych z imienia i nazwiska obywateli polskich (obok Polaków znalazło się tam kilku Ukraińców, Niemców i jeden volksdeutsch) represjonowanych za pomoc udzieloną Żydom w czasie niemieckiej okupacji.

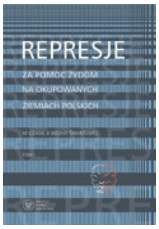

Z grupy tej 341 osób – a pięć prawdopodobnie – poniosło z tego powodu śmierć z rąk niemieckich okupantów. Zdecydowana większość z nich, bo aż 258, została zabita na miejscu, rozstrzelana w zbiorowych egzekucjach bądź zmarła w wyniku postrzelenia, natomiast trzem ofiarom udało się egzekucję przeżyć. Pozostałych w liczbie 53 sądy specjalne skazały na karę śmierci, choć wyroki wykonano na 24 osobach (w tym na dwóch prawdopodobnie), 16 osób decyzją generalnego gubernatora Hansa Franka ułaskawiono, trzech wyroków nie wykonano, a o 10 nie ma żadnych informacji. Dodatkowo do tej śmiertelnej statystyki należy dopisać 61 osób zmarłych lub zamordowanych w obozach koncentracyjnych oraz w więzieniach. Kolejne 64 osoby trafiły na krótki czas do aresztów, a wobec 57 zastosowano inne formy represji w postaci pobicia, deportacji na roboty przymusowe czy konfiskaty mienia.

Wszyscy wymienieni nieśli pomoc 847 osobom pochodzenia żydowskiego, które zostały zamordowane. Wypada dodać, że opisywane wydarzenia rozgrywały się zasadniczo na terytorium Generalnego Gubernatorstwa, niewielka tylko część dotyczyła Bezirk Bialystok i RKU Ostland. Należy podkreślić, że zdecydowana większość ujawnionych przypadków pomagania Żydom wiązała się z faktem złożenia donosu, a tylko niewielka ich część była wynikiem zdarzeń przypadkowych i nieostrożności.

Powstaje pytanie, co wynika z zaprezentowanych badań. Przede wszystkim, jak się okazuje, zmniejszyła się o ponad połowę podawana dotychczas liczba 872 zweryfikowanych przypadków osób znanych z nazwiska, które poniosły śmierć w następstwie pomocy udzielanej ukrywającym się Żydom. Największym jednak odkryciem jest zasadniczo fakt, iż za przestępstwo udzielania pomocy Żydom, za które groziła zgodnie z dekretem z 15 października 1941 r. generalnego gubernatora Hansa Franka kara śmierci, faktycznie lub z dużym prawdopodobieństwem utraciło życie 53 proc. spośród wszystkich represjonowanych.

„REPRESJE ZA POMOC ŻYDOM NA OKUPOWANYCH ZIEMIACH POLSKICH W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ", TOM I
PRACA POD RED. M. GRODZKIEJ-REJAK I A. NAMYSŁO
WYDAWNICTWO IPN

Ta statystyka wskazuje, że na tym etapie badań nie znajduje potwierdzenia dotychczas przedstawiana teza, sugerująca, iż obywatele polscy ujęci przez okupantów na procederze pomocy Żydom, byli za to automatycznie pozbawiani życia. Okazuje się więc, że czynnikiem warunkującym stosowanie kary przewidzianej przez prawo okupacyjne w tym zakresie był zasadniczo czynnik ludzki. I to poszczególni funkcjonariusze władz okupacyjnych decydowali według własnego uznania o losie osób przyłapanych na łamaniu wprowadzonych przez Niemców zakazów. Oczywiście ta konstatacja nie oznacza, że można stwierdzić, iż udzielanie pomocy nie było ryzykowne. Nigdy bowiem ci, którzy to ryzyko podejmowali, nie mogli być pewni, jakie okupanci zastosują wobec nich represje. Wiedzieli natomiast z pewnością, że czyny, których się dopuszczają, zagrożone były karą śmierci, w praktyce często stosowaną. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

HISTORYCZNE BITWY

A.D. 1205

Tę bitwę nazywano – z uwagi na błyskotliwy pogrom najezdniczych wojsk wschodniego sąsiada – pierwszym cudem nad Wisłą. Wojnę 1205 r. rozpoczął książę halicko-włodzimierski Roman, który zerwał sojusz z Leszkiem Białym, by wesprzeć Władysława Laskonogiego. Napadł on synów Kazimierza II Sprawiedliwego – książąt Leszka Białego i Konrada – mimo że zawdzięczał im władzę nad znaczącymi, zachodnioruskimi księstwami. Wiódł od 5 tys. do 7 tys. zbrojnych, „jeśli uznać – jak pisze autor – że w wyprawie wzięły udział zarówno oddziały halickie, jak i wołyńskie oraz że ściągnięto piechotę…". Siły Piastowiczów tworzyły: „księstwo sandomierskie, hufce ochotników i posiłki mazowieckie, przybyłe w trakcie trwania kampanii… Razem: 2–2,5 tys. wojska, z czego najwyżej jedna czwarta ciężkozbrojnej konnicy rycerskiej". Autor używa trybu warunkowego w całej książce, co wynika z braku wiarygodnych świadectw z epoki. W zamian dokonuje ciekawej rekonstrukcji wydarzeń – z przebiegiem samej bitwy włącznie. Jego zdaniem Rusini przeprawiali się przez Wisłę znanym brodem pod Zawichostem, co zauważyli zwiadowcy wojewody mazowieckiego Krystyna. Skrycie rozmieścił on na wzniesieniu lewego brzegu łuczników, a jazdę w odwodzie. Gdy stwierdził, że na czele desantu pod grodowym wzgórzem znajduje się sam Roman – strzały z łuków, a następnie błyskawiczne uderzenie polskich rycerzy rozgromiły Rusinów. Pozostali na prawym brzegu bez skutku usiłowali pomóc ginącym. Podczas ucieczki zginął wiarołomny ruski książę. ©℗

Maciej Rosalak

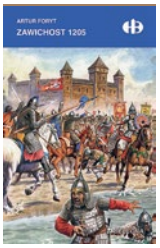

ARTUR FORYT
„ZAWICHOST 1205"
BELLONA

eprasa.pl 33efe048ab

Pałac w Żemłosławiu FOT. MATERIAŁY WYDAWCY - IPN

XX–XXI w. / Dziedzictwo kultury

Na ziemi Mickiewicza i partyzantów AK

Tomasz Stańczyk

Wszystko o zamkach, pałacach i dworach Nowogródczyzny

Gdy w 2017 r. ukazał się pierwszy tom „Kresowych rezydencji" (IPN), obejmujący przedwojenne województwo wileńskie, było oczywiste, że powstaje fundamentalne dzieło. Opisania zamków, pałaców i dworów na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej podjął się Grzegorz Rąkowski. Nie jest historykiem ani historykiem sztuki. „Kresowe rezydencje" to praca amatora, jednak nie w powszechnym tego słowa znaczeniu. „Amator" to słowo wywodzące się z łaciny, określające miłośnika. A Grzegorz Rąkowski jest od lat miłośnikiem Kresów Wschodnich.

eprasa.pl 33efe048ab

Jego pierwsze publikacje dotyczyły tej ich części, która znajduje się obecnie w Polsce. Jeśli bowiem Kresy Wschodnie kojarzą się z wielokulturowością, to ich skrawek jest przecież w dzisiejszych granicach naszego kraju. Mieszkają tam, na wschodniej ścianie, Polacy, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, obok kościołów są cerkwie, a także synagogi – ślad po ludności żydowskiej. W obecnych granicach znajduje się część ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego, a także księstw ruskich.

Grzegorz Rąkowski jest autorem wydanego ponad 20 lat temu znakomitego przewodnika po terenach leżących wzdłuż naszej granicy wschodniej, od Suwalszczyzny do Bieszczad. Nosi tytuł „Polska egzotyczna", może nie najszczęśliwszy, gdyż egzotyka kojarzy się z dalekimi kontynentami, innym kręgiem kulturowym. Z drugiej jednak strony trudno zaprzeczyć, że dziś owa kresowa wielokulturowość w Polsce jest dla większości z nas egzotyką.

Po wędrówce, której plonem była „Polska egzotyczna", Grzegorz Rąkowski przekroczył granicę wschodnią i zaczął podróże po „kresach odciętych", a rezultatem były przewodniki turystyczne po Polesiu, Wołyniu, Wileńszczyźnie, Karpatach Wschodnich, ale także sprofilowane: „Ilustrowany przewodnik po zabytkach kultury na Białorusi" i „Ilustrowany przewodnik po zabytkach na Litwie". Był to rodzaj wstępu, przygotowania się do podjęcia dzieła, którym jest zamiar opisania kresowych zamków, pałaców i dworów.

Poprzednik Aftanazy

Tytuł dzieła Rąkowskiego – „Kresowe rezydencje" – nawiązuje do dzieła jego wielkiego poprzednika, Romana Aftanazego „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej", wydanego w 11 tomach. On także był amatorem, czyli miłośnikiem świata kresowych siedzib ziemiańskich, świata, który przestał istnieć. Postanowił samotnie, przez kilkadziesiąt lat, w Polsce Ludowej, na własny koszt zebrać wszelkie możliwe materiały dotyczące ziemiańskich siedzib. Wysłał i odebrał tysiące listów od i do byłych właścicieli lub ich potomków, dzięki czemu mógł zawrzeć w swoim dziele szczegółowy opis zamków, pałaców i dworów, zgromadzonych w ich murach dzieł sztuki, pamiątek narodowych, archiwów i bibliotek. Żadna instytucja w czasach komunistycznych nie mogła się zająć takim tematem i strach pomyśleć, jak bardzo uboga byłaby nasza wiedza o kresowych rezydencjach, gdyby nie benedyktyński trud Romana Aftanazego. Praca Aftanazego ukazała się w ostatnich latach PRL jako „Materiały do dziejów rezydencji", gdyż cenzura nie godziła się, by w tytule pojawiło się określenie „kresy wschodnie" lub „dawne ziemie Rzeczypospolitej".

Grzegorz Rąkowski mówił podczas promocji pierwszego tomu swoich „Kresowych rezydencji", że praca Aftanazego był dla niego inspiracją, korespondował z nim. Aftanazy widział w Rąkowskim swojego następcę. Historia kresowych rezydencji nie była przecież skończona, domagała się dopisana dalszego ciągu, aż do naszych dni. Roman Aftanazy nie pisał o losach rezydencji i ich właścicieli po pierwszej wojnie światowej, czyni to natomiast Grzegorz Rąkowski.

Aftanazy nie mógł też w czasach komunistycznych podróżować po dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, dokumentować, także na zdjęciach, aktualnego stanu zabytków. Wielkim walorem pracy Rąkowskiego jest zaś to, że zjeździł, także w ostatnich latach, także z aparatem fotograficznym, dawne Kresy Wschodnie. W dwóch dotąd opublikowanych tomach „Kresowych rezydencji" znajdziemy nie tylko zdjęcia zamków, pałaców i dworów. Rezydencje były bowiem ośrodkami majątków ziemskich, są więc w dziele autora także fotografie stajni, gorzelni, spichlerzy, stodół. A także zdjęcia świątyń fundowanych przez właścicieli majątków.

Dwór we Florianowie

FOT. MATERIAŁY WYDAWCY - IPN

Rzekomi kolonizatorzy

Drugi tom „Kresowych rezydencji" obejmuje teren dawnego województwa nowogródzkiego, znajdujący się dziś niemal w całości na Białorusi. Grzegorz Rąkowski pisze, że w zdecydowanej większości właścicielami ziemskimi byli Polacy. Owszem, były rodziny wywodzące się z etnicznych ziem polskich, znad Wisły, Warty czy Wieprza, autor wymienia jednak także znacznie więcej spolonizowanych rodów o korzeniach litewskich. Są to m.in. Radziwiłłowie, Pacowie, Gieysztorowie, Domeykowie, Narbuttowie, Pusłowscy. A także wylicza rody o korzeniach ruskich: Chodkiewi-

eprasa.pl 33efe048ab

czów, Chreptowiczów, Czetwertyńskich, Tyszkiewiczów, Sapiehów, Wańkowiczów.

Rody o tych właśnie litewskich i ruskich korzeniach z całą pewnością stanowiły większość polskich rodów na Nowogródczyźnie, jak zresztą na całych Kresach Wschodnich. Gdy się czyta rejestr tych nazwisk, kolejny raz śmieszna i groteskowa okazuje się narracja o „polskiej kolonizacji" Kresów Wschodnich, ziem litewskich, ukraińskich, białoruskich. Litewski czy ukraińskich szlachcic nie był przecież kolonizatorem dla litewskiego czy ukraińskiego chłopa. Obaj żyli od zawsze na tej samej ziemi. A to, że szlachcic ten mówił po polsku, gdyż przyjął polską kulturę, nie ma nic do rzeczy. Nie narzucał chłopom ani języka polskiego, przeciwnie, uczył się litewskiego, białoruskiego, ukraińskiego (niektórzy z ziemian powrócili do swych korzeni), ani wiary. Nie mówiąc już o tym, że Wiśniowieccy i Radzwiłłowie nie podbijali przecież ziem, na których żyli od zawsze, ani też Rzeczpospolita nie podbiła ziem litewskich i białoruskich. Opowieści o „polskich kolonizatorach" są w ustach jednych wynikiem premedytacji, w ustach drugich – ignorancji. Albo też lenistwa umysłowego, bezmyślnego przykładania schematów kolonizacji francuskiej czy brytyjskiej do całkiem innych warunków.

Drugi tom „Kresowych rezydencji" – tak jak pierwszy i każdy następny, który się ukaże – mówi o zabytkach, polskiej kulturze i losach polskiego ziemiaństwa, szczególnie w burzliwym XX stuleciu. By pamięć trwała, nawet gdy znikną jej materialne nośniki, czyli mury zabytków, Grzegorz Rąkowski uwzględnia także i te rezydencje, które przestały istnieć. W drugim tomie opisał ponad 120 miejsc z zespołami rezydencjalnymi, lecz jedynie w 65 zachowały się pałace i dwory. Wiele zniszczeń przyniosły obie wojny światowe, czasy sowieckie, lecz – jak zauważa autor – może największe ubytki dokonały się po upadku Związku Sowieckiego, gdy likwidowano kołchozy i sowchozy, których biura znajdowały się w dawnych domach ziemiańskich. Opuszczone dwory i pałace w szybkim tempie niszczały.

Stosunek władz białoruskich do dziedzictwa materialnego dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego jest niejednoznaczny, częściowo uwarunkowany tym, że odwołuje się do niego opozycja. Niemniej jednak zostały odrestaurowane zamki w Nieświeżu i Mirze. Zrekonstruowano, postawiono od nowa dwór Mickiewiczów w Zaosiu, w ich dworze w Nowogródku istnieje muzeum. Do budujących, choć dość odosobnionych przykładów należy dbałość firmy rolniczej nie tylko o dwór, lecz także zabudowania gospodarcze w Możejkowie Małym. Firma produkuje wódkę o nazwie Pański Dwór z wizerunkiem tamtejszej rezydencji.

Dwór w Gojecieniszkach FOT. MATERIAŁY WYDAWCY - IPN

W przeciwieństwie do Litwy na Białorusi jest znacznie mniej nowych prywatnych właścicieli obiektów zabytkowych. Wyróżnia się właściciel dworu w Sule. Odtworzył on dwór wysadzony w powietrze przez Armię Czerwoną i stworzył muzeum poświęcone jego przeszłości oraz dawnym polskim właścicielom. Dwór we Florianowie kupił mieszkaniec tej miejscowości, stworzył izbę pamięci o dawnych właścicielach i ich gościach. Autor pisze, że Tadeusz Bochwic prowadził pensjonat, który zasłynął jako salon towarzyski, a bywali w nim Eliza Orzeszkowa, zaprzyjaźniona z Bochwicem, i Władysław Reymont.

Wojenne losy

Dwór we Florianowie to jedna z rezydencji związanych z wybitnymi i znanymi Polakami. W Hruszówce, majątku Reytanów – choć dwór pochodzi z końca XIX w. – zachowała się w jego pobliżu Murowanka, budynek, w którym ostatnie lata życia spędził Tadeusz Reytan, głośny z protestu na sejmie rozbiorowym w 1773 r. Grzegorz Rąkowski przypomina, że w 1921 r. Henryk Reytan też protestował podczas obrad Sejmu, wówczas gdy posłowie upoważnili Naczelnika Państwa do ratyfikacji traktatu ryskiego. Hruszówka wprawdzie znalazła się w granicach II Rzeczypospolitej, lecz granica odcięła od Polski setki tysięcy naszych rodaków. We wrześniu 1939 r. Henryk Reytan został zabity przez miejscowych chłopów.

Wejście Armii Czerwonej na Nowogródczyznę we wrześniu 1939 r. oznaczało dewastację, grabież pałaców i dworów, natychmiastową lub odłożoną w czasie śmierć ich właścicieli, zsyłki na Sybir. Gdy aresztowany został Adam Czarnowski, właściciel dworu w Worończy, jego syn zgłosił się do NKWD z propozycją, by uwięzili jego zamiast chorego ojca. W efekcie obaj zostali deportowani i umarli na zesłaniu. Żona Adama Czarnowskiego została zamordowana w 1943 r. przez sowieckich partyzantów, zginęła w podpalonym przez nich dworze. Bywało jednak i tak, jak w Sule, gdy chłopi obronili Elżbietę Wasilewską przed zesłaniem na Sybir.

Dwory na Nowogródczyźnie były oparciem dla partyzantów Armii Krajowej, ziemianie byli też jej członkami. Trudno się nie zgodzić z refleksją, że byli oni późnymi wnukami powstańców styczniowych walczących na tej samej ziemi 80. lat wcześniej. Dwór Domeyków w Żyburtowszczyźnie stanowił bazę dla nowogródzkiego oddziału AK, jego członkiem był Leon Domeyko. Dwór Kostrowickich w Kościeniewie pełnił podobną funkcję. Zygmunt Czarnocki z majątku w Naczy Bryndzowskiej zaopatrywał w żywność oddział AK. Ryszard Kiersnowski, syn ostatniego właściciela Podweryszek, Ryszard Kiersnowski, późniejszy profesor, walczył w operacji „Ostra Brama", której celem było opanowanie Wilna przez AK. Razem z cichociemnym Maciejem Kalenkiewiczem „Kotwiczem" dowódcą oddziału partyzanckiego, zginął w sierpniu 1944 r. pod Surkontami w walce z Sowietami wywodzący się z dworu w Czombrowie Bohdan Karpowicz.

eprasa.pl 33efe048ab

Niestety, nie zachowały się do naszych czasów dwory związane z wieloma wybitnymi postaciami. Nie ma śladu po dworze w Czombrowie, który spłonął w 1943 r., podpalony przez sowieckich partyzantów. Rządcą był tam dziad Adama Mickiewicza – Majewski, a babka była „panną apteczkową". Jak pisze Grzegorz Rąkowski, dziadek poety brał udział w zajazdach, a dwór uchodził za pierwowzór Soplicowa. Nie zachował się przedwojenny film „Pan Tadeusz", kręcony właśnie w Czombrowie.

Podczas przejścia frontu w 1944 r. przestał istnieć dwór wybitnego malarza Ferdynanda Ruszczyca w Bohdanowie, gdzie się urodził i zmarł. Znajdujące się we dworze zbiory zrabowali częściowo Sowieci na przełomie 1939 i 1940 r., reszta spaliła się cztery lata później. Nie zachował się dwór w Tuhanowiczach, związany z Mickiewiczem i Marylą Wereszczakówną, zniszczony podczas pierwszej wojny światowej. W ruinie, po zawaleniu się dachu 10 lat temu, znajduje się dwór w Żyburtowszczyźnie, należący do stryja Ignacego Domeyki. Filomata, przyjaciel Mickiewicza i znakomity uczony, mieszkał u stryja po śmieci swojego ojca, na starość odwiedził z synami rodzinne strony i Żyburtowszczyznę. Po drugiej wojnie światowej rozebrane zostały ruiny pałacu w Szczorach, należącego do Joachima Chreptowicza, jednego z najznakomitszych przedstawicieli kresowego ziemiaństwa, ocalał jedynie – pusty – budynek biblioteki.

Powoli kończy się – miejmy nadzieję – pandemia, a wraz z nią ograniczenia w podróżach międzynarodowych. Jednak, niestety, klimat polityczny nie będzie zachęcał do podróży śladem dworów i pałaców na Białorusi. Reżim Łukaszenki rozpętał bowiem antypolską kampanię, wymierzoną zarówno w naszych rodaków żyjących na Białorusi, jak i w Polskę. Na razie więc pozostaje fascynująca lektura drugiego tomu „Kresowych rezydencji" Grzegorza Rąkowskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

GRZEGORZ RĄKOWSKI
„KRESOWE REZYDENCJE. T. 2: WOJEWÓDZTWO NOWOGRÓDZKIE"
IPN

Lwowskie wotum

Tomasz Stańczyk

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. i wojnie z bolszewicką Rosją pojawiły się inicjatywy upamiętnienia tych wydarzeń w postaci świątyń. Wybudowano w latach 1929–1931 w Warszawie, na Kamionku kościół Matki Boskiej Zwycięskiej, jako wotum za zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej. Miejsce wybrane na wzniesienie świątyni ma wagę symbolu, ponieważ w starym kościółku na Kamionku odprawił 13 sierpnia 1920 r. mszę świętą i spowiadał żołnierzy z 236. ochotniczego pułku piechoty ks. Ignacy Skorupka, który dzień później jako kapelan towarzyszył im i zginął pod Ossowem.

I Lwów ma swoją świątynię – wotum za zwycięstwo w wojnie z bolszewicką Rosją i „zachowanie kresów wschodnich przy Macierzy", jak głosiła tablica pamiątkowa. A miejsce, w którym ją wybudowano, na Górnym Łyczakowie, ma również wagę symbolu. Właśnie tam miał upaść jeden z pocisków wystrzelonych na miasto przez czerwonoarmistów. W sierpniu 1920 r. Lwów znalazł się w nie mniejszym niebezpieczeństwie niż Warszawa. Na miasto napierała Konarmia pod dowództwem Siemiona Budionnego. 17 sierpnia batalion złożony z lwowskich ochotników, cofając się ku miastu, stoczył dramatyczny bój z bolszewicką kawalerią pod Zadwórzem. Został niemal całkowicie wybity. I choć czasami przesadnie pisze się o tym, że batalion niemal uratował Lwów, to jednak nie da się zakwestionować ofiarności i determinacji ochotników z miasta nad Pełtwią.

Trwa pamięć o obrońcach Lwowa z listopada 1918 r., o Orlętach. Taka sama pamięć należy się lwowskim ochotnikom z roku 1920. W lipcu zaczęły powstawać we Lwowie Małopolskie Oddziały Armii Ochotniczej: trzy bataliony piechoty, oddziały kawalerii, karabinów maszynowych i samochodów pancernych. W szeregach znaleźli się także niedawni obrońcy Lwowa sprzed dwóch lat, a wśród nich Roman Abraham, późniejszy generał Wojska Polskiego. A wśród ochotników poległych pod Zadwórzem był Konstanty Zarugiewicz, z lwowskiej rodziny ormiańskiej, student politechniki. Jego matka wskazała trumnę z lwowskiego pobojowiska, która została złożona w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Inicjatorem budowy świątyni wotywnej – nazywanej „bastionem religijno-narodowym" – pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej był arcybiskup lwowski Bolesław Twardowski. Konkurs wygrał architekt Adolf Szyszko-Bohusz, lecz ostatecznie kościół powstał według projektu lwowianina prof. Tadeusza Obmińskiego, a po jego śmierci prace kontynuował Wawrzyniec Dayczak. Budowla nawiązuje kształtem do bazylik wczesnochrześcijańskich. Świątynia powstała w latach 1931–1934, mimo panującego wówczas wielkiego kryzysu.

W listopadzie 1944 r. z lwowskiej katedry wyruszył do kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej kondukt pogrzebowy abp. Twardowskiego. Tam został pochowany. Niestety kilka lat później kościół został sprofanowany przez władze sowieckie, zamieniony na magazyn. Trumnę arcybiskupa przeniesiono wówczas do katedry. Od 1992 r. kościół służy wiernym, tym razem obrządku greckokatolickiego i nosi wezwanie Pokrowy (Osłony) Najświętszej Matki Bożej. ©℗

eprasa.pl 33efe048ab

Geopolityka i psychologia / Odrzućmy kompleksy wobec Zachodu!

Polacy nie są gorsi

RYS. KRZYSZTOF WĘCZKOWSKI

Jacek Bartosiak

Musimy wzmocnić poczucie własnej wartości. Brak szacunku do siebie samych powoduje także pogardę naszych wrogów wobec nas

Zacznę jednak od serii pytań.

1. ***Dlaczego Polacy muszą najpierw usłyszeć od kogoś z Zachodu o jakiejś sprawie, rzeczy lub obserwacji, aby uznać, że sami mogą o tym zacząć mówić?***

Przez wszystkie lata życia zawodowego, jeszcze od lat 90., obserwuję, że jest tak w wielu dziedzinach życia, w tym oczywiście w dziedzinie strategii, geopolityki, polityki międzynarodowej i bezpieczeństwa. W kwestiach, którymi zajmuje się S&F, opóźnienie polskiego świata eksperckiego wynosi co najmniej dwa lata. Tyle czasu zajmuje uznanie, że skoro na Zachodzie już się o czymś mówi na konferencjach i podczas debat, a także pisze w periodykach, to czas i u nas wprowadzić to coś do debaty. Dzieje się tak w tym naszym nieznośnie kolektywnym odruchu, że można o tych sprawach mówić bez narażenia się na… No właśnie, na co? Nie rozumiem tego. Własne doświadczenie związane chociażby z mówieniem wiele lat temu o nadchodzącej rywalizacji USA i Chin niejednokrotnie prowokowało mnie do przemyśleń na temat zjawiska braku pewności siebie polskiej kultury strategicznej.

2. ***Co jest w nas takiego, że zgadzamy się wewnętrznie na ten w istocie postkolonialny status dyskursu i dlaczego nie ma w nas wystarczającej siły oraz pewności co do własnych myśli i opinii, pomimo takiej historii i takiego dorobku strategicznego, a także ulokowania w tym zupełnie wyjątkowym miejscu na Ziemi?***

Chciałbym być dobrze zrozumiany – diagnoza ta nie dotyczy tylko naszych elit, środowisk eksperckich, gdzie wiem, że są chwalebne przykłady postawy odmiennej. Dotyczy ona niestety także szerokich rzesz społeczeństwa.

3. ***Dlaczego dopuściliśmy tym sposobem do utrwalenia sytuacji, w której ludzie z Zachodu perorują nam, powołując się na swoją domniemaną wyższość w hierarchii wiarygodności i wiedzy? Dlaczego prawie nigdy sami nie mówimy nic oryginalnego i wolimy świecić światłem odbitym?***

Proszę obejrzeć na przykład debatę Nowej Konfederacji z profesorem Mearsheimerem, który jest legendą w swojej dziedzinie. Proszę zwrócić uwagę, że eksperci z Zachodu nie wysilają się w takich sytuacjach nadmiernie, nie spodziewając się zbyt zaawansowanego poziomu. Tak jest dopóty, dopóki nie nabiorą w trakcie debaty (w przyspieszonym tempie) szacunku, widząc i słysząc, że my także czytamy, samodzielnie myślimy i podnosimy kluczowe strukturalne kwestie ważne dla nas jako oddzielnego samozadaniującego się podmiotu, a nie jakiegoś skrawka ziemi na peryferiach świata. Wtedy po otrząśnięciu się z szoku wrzucają często trójkę i czwórkę, i kto wie, który jeszcze bieg.

4. ***Dlaczego akceptujemy sytuację, że wystarczą „paciorki", czyli podstawowy zestaw wyświechtanych haseł i pobożnych życzeń, recytowanych jednym tchem?***

eprasa.pl 33efe048ab

To wykształciło u ludzi Zachodu przekonanie, że obsługują nas intelektualnie (a zatem także politycznie i strategicznie) jedną ręką, na typowej jedynce lub dwójce. Francuzi, Niemcy czy Amerykanie są podświadomie przekonani (pytanie, czy może my, Polacy, też nie mamy takiego przekonania), że jesteśmy od nich gorsi, a nasze myślenie jest gorszej jakości i musi takie być, bo jesteśmy „stąd", podczas gdy oni są „stamtąd", dokąd my dopiero „aspirujemy", a to nasze „aspirowanie" aż kłuje po oczach. Tymczasem wiedza i samodzielność myślenia budzą w szerokim świecie szacunek każdego, w tym bliskich sojuszników, przyjaciół, partnerów biznesowych itp. Nie ma powodu, by nie zadawać trudnych pytań, które wynikają z przygotowania merytorycznego, szerokich horyzontów, oczytania, troski i dobrego rozumienia naszych interesów. Taka postawa powoduje, że zaczynają z Polakami rozmawiać normalnie. Wtedy, co ciekawe, nagle okazuje się, że na Zachodzie jednak czytają książki, znają pojęcia i terminy, które były „niepoprawne" jeszcze 15 lat temu, gdy postępy globalizacji i „koniec historii" wciąż utrzymywały nas w strategicznej drzemce. Wtedy dopiero zaczyna się rozmowa na poziomie, często na offie.

5. Dlaczego nie mają takiego zdania o samych sobie Turcy czy Rosjanie? Za to oni pytają nas, dlaczego mamy takie słabe zdanie na własny temat.

Zerwijmy wreszcie z tą nieznośną manierą. Taki brak szacunku do siebie samych powoduje także pogardę naszych wrogów wobec nas. Właśnie dlatego Rosjanie uważają nas za niewartych uwagi, pozbawionych charakteru i sprawczości, a Turcy zastanawiają się, jaki jest nasz, Polaków, cel bycia takimi.

Dlaczego zatem? Dlaczego sobie to robimy? Dlaczego tak bardzo brakuje nam szacunku wobec samych siebie i wobec własnych przemyśleń? Zrozumiałbym, gdybyśmy mówili, iż mamy słabiej rozwinięty przemysł, gorsze wynalazki, niższą kapitalizację, mniejszy majątek, słowem jesteśmy gorsi pod względem statusu materialnego. Choć to się akurat szybko zmienia.

Ale dlaczego uważamy, że słabiej, wolniej oraz mniej „strategicznie" myślimy i nie możemy wyprzedzić ekspertów z Zachodu w przewidywaniu zdarzeń?

Jakbyśmy byli gorsi. Taka postawa słabego ma ogromny wpływ na nasze społeczeństwo i na nasze państwo.

Z tym zjawiskiem jest oczywiście związany szerszy kontekst wynikający z napięcia centrum–peryferie, innymi słowy imperia i obszary im podległe. Niestety na Zachodzie i (obecnie) na Wschodzie zaliczają nas wyłączenie do tej drugiej kategorii. Pytanie, gdzie my sami siebie zaliczamy, kim właściwie jesteśmy w swoich oczach?

Zajmując się od dłuższego czasu strategią i geopolityką, miałem i mam często do czynienia z zagraniczną, w tym w szczególności zachodnią, kulturą i myślą strategiczną. Brałem udział w niezliczonych konferencjach, rozmowach, naradach i symulacjach w międzynarodowym gronie. Wtedy zdałem sobie boleśnie sprawę, że na Zachodzie nie myśli się o naszym obszarze w kategoriach jego samodzielności strategicznej i nie uwzględnia się jego podmiotowości geopolitycznej.

W przeciwieństwie do imperium tureckiego, niemieckiego lub rosyjskiego zapomniany został na Zachodzie konstrukt imperium lądowego Rzeczypospolitej, który wpływał przez wiele wieków na równowagę na kontynencie, tworząc oddzielny obszar rdzeniowy w kluczowym miejscu Europy oraz Eurazji i kształtując odrębną cywilizację, a także obsługującą go kulturę strategiczną.

W związku z tym smutnym faktem zachodni eksperci nie biorą pod uwagę naszych dylematów strategicznych, traktując nasz obszar jako część obozu własnego (po 1991 r.) albo wrogiego (przed rokiem 1991), a nie samodzielny podmiot wchodzący w XXI w. z rosnącym potencjałem oraz znakomicie położony w kluczowym miejscu strategicznym Eurazji. W Rosji po 1991 r. zaczęto nas traktować jako obszar pozostający pod kuratelą strategiczną Stanów Zjednoczonych, choć podejrzewa się nas (chyba niestety na wyrost) o własne skrywane ambicje na całym pomoście bałtycko-czarnomorskim, które to ambicje chcielibyśmy zaspokajać kosztem Rosji. Chiny z kolei, rozumiejąc konsekwencje wagi położenia geopolitycznego Rzeczypospolitej, dopiero się nas uczą i wyrabiają sobie w ostatnich latach własny osąd co do tego, jak rozstrzygane są sprawy dotyczące naszego obszaru. Ostatnio chyba myślą w Pekinie wprost, że sprawy te są rozstrzygane przez Niemcy, co jest zresztą potwierdzeniem wszystkiego, co napisałem wcześniej.

A jest mnóstwo powodów, by myśląc, czerpać obficie z dziedzictwa Rzeczypospolitej, z analizy jej interesów, mierząc się z imperialną (nie bójmy się tego słowa) historią Rzeczypospolitej, jej geografią oraz wielkim, niedocenianym obecnie potencjałem geopolitycznym. Te czynniki „zmuszają" do myślenia z dużym rozmachem, by należycie obsługiwać interesy państwa polskiego.

Wspólnie przywróciliśmy w ciągu kilku minionych lat w polskiej debacie fundamentalne prawidła oraz pojęcia geopolityczne i geostrategiczne. Daliśmy też odczuć w wielu miejscach za granicą, że wiemy, o co chodzi w grze międzynarodowej, i że „paciorki" nie wystarczą. Teraz czas zerwać z mentalnością bycia gorszym w myśleniu. Zachód się często myli. Pomylił się wiele razy, także w swojej ocenie rozwoju Chin.

W myśleniu na temat Polski zresztą też się pomylił. Proszę sobie przypomnieć, co o nas mówili w latach 90. XX w. i co przewidywali, że się z nami stanie. A tymczasem nasze społeczeństwo, pomimo rozwoju gdzieś na peryferiach imperium europejskiego i na limes świata atlantyckiego oraz pomimo wysysania energii populacyjnej w kierunku centrum systemu w Londynie, Paryżu i Berlinie, dzięki swojej ogromnej pracowitości i pomysłowości było w stanie się zmodernizować.

Trochę się dorobiliśmy, polepszyliśmy styl życia, zadbaliśmy o estetykę naszego otoczenia, odmalowaliśmy płoty i obejścia, zobaczyliśmy kawałek świata. Powinniśmy porzucić to nasze poczucie gorszości. Jak powiedział mi kiedyś George Friedman o nadchodzących czasach i o miejscu w nich Polski: „Musimy zaśpiewać nową pieśń". Dzięki niej będziemy wiedzieć, kim jesteśmy teraz, kim chcemy być za 30 lat oraz jak mamy się w tym celu organizować i modernizować nasze życie nad Wisłą i Wartą. Innymi słowy – jacy chcemy być w roku 2050?

Ten nowy etap będzie wymagał w mojej ocenie porzucenia uwłaczającego nam myślenia o domniemanej przewadze Zachodu na wszystkich polach i o naszej chronicznej gorszości. O ile przewaga Zachodu może wciąż istnieć obiektywnie z powodów materialnych, o tyle nie rozumiem, dlaczego miałaby wciąż, wręcz chronicznie, dotyczyć potęgi myślenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Piotr Semka

/ Felieton

Był sobie morski zew

/ Świat emocji związanych z morzem jawi się dziś jak zaginiona Atlantyda

Spacerowałem po Gdyni podczas niedawnego festiwalu filmowego Niepokorni Niezłomni Wyklęci i trafiłem do miejscowego antykwariatu. Przeszukując półki, natrafiłem na powieść nieznanego mi wcześniej francuskiego pisarza marynisty Éduarda Peissona. Jego „Mroczny kurs" to poruszająca opowieść o kapitanie wielkiego transatlantyku, który ślepnie, ale kapitańska duma nie pozwala mu się do tego przyznać załodze. Pochłonąłem tę książkę w jeden wieczór. Po powrocie do Warszawy w mojej dzielnicowej bibliotece odkryłem, że Wydawnictwo Morskie w Gdańsku wydało w latach 60. i 70. aż pięć powieści tego zapomnianego pisarza.

Odkrycie książek Peissona – godnego następcy Josepha Conrada-Korzeniowskiego – skłoniło mnie do nostalgicznej myśli. Gdzie podział się świat, w którym powieści o morzu rozchodziły się w wielotysięcznych nakładach? Duma z odzyskania najpierw niewielkiego pasa wybrzeża w II Rzeczypospolitej, a po 1945 r. ogromnego pasa wybrzeża od Świnoujścia do Krynicy Morskiej rozpierała pokolenia moich dziadków i rodziców. Przed wojną Liga Morska i Kolonialna święciły triumfy. Dni Morza były autentycznym świętem, na które przybywały tysiące ludzi. Sam pamiętam, jak moi starsi bracia zaczytywali się „miniaturkami morskimi" – małymi książeczkami o dziejach morskich wojen, katastrofach statków i wyczynach samotnych żeglarzy. Takich jak choćby Leonid Teliga i Teresa Remiszewska, którzy byli bohaterami całej Polski. W moim rodzinnym Gdańsku lokalna gazeta „Głos Wybrzeża" organizowała nawet plebiscyt „Rejs roku", w którym brały udział tysiące ludzi. Młodzi żeglarze przykuci byli do telewizorów, gdy emitowano magazyn „Latający Holender", a festiwale morskich pieśni – szant – cieszyły się ogromną popularnością. Kapitan Krzysztof Baranowski był symbolem seksu lat 70., a jego skrywany romans ze znaną prezenterką Bogumiłą Wander elektryzował Warszawkę.

Tematykę morską uwielbiali też filmowcy, którzy na polskich statkach stworzyli nawet osobny gatunek filmu morskiego z takimi dziełami jak „Martwa fala" z 1970 r., „Krab i Joanna" z 1980 r. i „Spokojne morze" (1983 r.). Sukcesy odnosili też tacy malarze maryniści, tacy jak Marian Mokwa i Adam Werka. Kapitanowie polskich statków bywali wtedy ludźmi o humanistycznej żyłce i sami chwytali za pióro. Do klasyki przeszli kapitanowie Olgierd Borchardt i Gabriel Piotr Oleszek. Kto dziś pamięta o rybaku Czesławie Schabowskim, autorze całej serii książek o życiu na morzu?

Cały ten świat emocji związanych z morzem jawi się dziś jak zaginiona Atlantyda. Statków z polską banderą jest już bardzo mało. A marynarze polscy pływający na zagranicznych jednostkach przypominają dziś bardziej personel obsługi skompromitowanych maszyn niż ludzi zmagających się z żywiołami. Z ulic Gdyni powoli znikają sylwetki oficerów marynarki handlowej w ich galowych mundurach wzbudzających tyle westchnień kobiet. Wydawnictwo Morskie już nie istnieje – zlikwidowano je w 1992 r. Pismo „Morze" wyzionęło ducha w 2000 r.

Owszem, tradycja morska jeszcze żyje, ale kudy jej do masowości fascynacji morzem Polaków z lat 50., 60., 70.? I tylko powieść Éduarda Peissona bywa jeszcze do odnalezienia w niektórych antykwariatach. To chyba niewiele, prawda? ©℗

Ze względu na chorobę Piotra Semki publikujemy felieton, który ukazał się w „HDR" w 2016 roku

eprasa.pl 33efe048ab

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Demokracja w działaniu

O jednym z największych bohaterów w dziejach demokracji nie wiemy, czym się zajmował, kiedy się urodził ani umarł. Znamy tylko jego imię: Diodotos. I wiemy, że ocalił życie tysięcy ludzi i honor swego polis.

Rzecz miała miejsce ok. roku 428 przed Chrystusem, w czasie wojny peloponeskiej. Miasto Mitylena, wykorzystując niepowodzenia Aten, pustoszącą je zarazę i śmierć sławnego przywódcy, Peryklesa, zbuntowało się, pociągając za sobą inne. Bunt się nie powiódł, Ateny zdołały przetrwać trudny czas, a ich wojska obległy Mitylenę, którą głód zmusił w końcu do kapitulacji. Kolejny przywódca, Kleon, postawił na zgromadzeniu obywateli wniosek, by buntowników ukarać przykładnie: wszystkich mężczyzn wymordować, kobiety i dzieci sprzedać w niewolę, miasto zburzyć. W pierwszej chwili zgromadzenie wniosek zatwierdziło i wysłało do Mityleny ateńskie Einsatzkommando.

I tu właśnie pojawia się Diodotos. Skoro nie przetrwał żaden inny ślad jego działalności, to prawdopodobnie nie piastował żadnego urzędu i występował na zgromadzeniu jako jeden ze zwykłych, ale wszak równych sobie obywateli. Najwyraźniej jednak miał wpływ na innych, bo zdołał, jako przywódca ad hoc zwołanego stronnictwa, doprowadzić do powtórzenia zgromadzenia w dniu następnym i starłszy się na nim z Kleonem, przekonał uczestników, że zbrodnia się Atenom się opłaci. To ważne – wedle relacji historyka Diodotos nie szermował lękiem przed karą bogów, ale przeciwstawił retoryce zemsty argument praktyczny.

Zniszczenie miasta, które samo się poddało, sprawi, że na przyszłość każdy przeciwnik Aten będzie się bronił do ostatniej kropli krwi, co znacznie utrudni przyszłe wojny i podniesie ich koszt. Skoro wymordowani zostaną wszyscy mieszkańcy Mityleny, to zrównani zostaną w śmierci ci, którzy wymogli decyzję o kapitulacji z zajadłymi wrogami Aten, a w wojnie ze Spartą Ateny liczą przecież na pomoc demokratów w innych polis przeciwko tamtejszym prospartańskim oligarchom. No i ponadto: zamiast niszczyć miasto, czyż nie lepiej mieć jego zasoby, flotę i żołnierzy po swojej stronie, do czego okazanie wspaniałomyślności pokonanych zachęci?

Szczegóły (o ostatecznej decyzji zadecydować miał jeden głos, a druga trirema, wysłana w celu odwołania tej pierwszej, pacyfikacyjnej, dotarła ponoć w ostatniej chwili) zostały może dodane przez Tukidydesa dla dramaturgii. Ale faktem jest, że Mityleny nie zburzono i że wyszło to Atenom na dobre, bo potraktowani łagodnie Mityleńczycy zmienili władze na demokratyczne i byli potem wiernym oraz cennym sprzymierzeńcem.

Dziesięć lat później, w analogicznej sytuacji, zabrakło Atenom drugiego Diodotosa i popełniły one jedną z najgłupszych i najbardziej karygodnych zbrodni tej wojny, mordując wszystkich mieszkańców Melos – miasta, które nawet nie występowało przeciwko Atenom, a tylko odmówiło przyłączenia do nich, upierając się przy zachowaniu neutralności. Ta zbrodnia stała się początkiem końca dobrej passy Aten, poniewczasie potwierdzając logiczne argumenty Diodotosa.

Dokonanie tego ostatniego jest zaledwie wzmianką w długiej, pełnej szczegółów historii tej starożytnej wojny światowej. A jednak wartą podkreślenia, bo stanowi dowód, że system republikański potrafi czasem doskonale zadziałać. Niestety, nie zawsze znajdzie się Diodotos, który wykorzysta dawane przez demokrację możliwości. ©℗

eprasa.pl 33efe048ab

XX–XXI w. / Od ENIAC do smartfonów

Amerykański komputer ENIAC z lat 40. XX w. FOT. WIKIPEDIA

Komputery

Tymoteusz Pawłowski

Pierwszy komputer był niczym więcej jak rozbudowanym zegarem. Później pojawiły się mózgi elektronowe oparte na lampach. Dopiero jednak tranzystory i układy scalone pozwoliły komputerom zawitać pod strzechy

Do drugiej połowy XX w. obliczeń wytrzymałościowych – a także i innych, np. astronomicznych – dokonywano, posługując się tabelami matematycznymi. W tabelach matematycznych umieszczano wartości najważniejszych funkcji, mozolnie liczonych przez bezimiennych matematyków. Im większej wymagano dokładności, tym mozolniejsze były obliczenia. Inżynierowie nie mogli jednak ufać tabelom: nie chodziło nawet o to, że matematycy mogli pomylić się w obliczeniach, ale o pomyłki drukarzy, które były chlebem powszednim.

W 1822 r. młody angielski matematyk Charles Babbage zaprezentował model maszyny do obliczania wartości różnych funkcji. Mechanicznie przypominała duży zegar, a ze względu na zastosowaną metodę matematyczną nazwano ją maszyną różnicową. Udało mu się otrzymać olbrzymie dofinansowanie od rządu, ale pomimo kilkunastu lat pracy nie zdołał osiągnąć swojego celu.

Pomimo tego jego maszyna różnicowa nazywana jest przodkiem komputera, co nie do końca odpowiada prawdzie. Maszyna różnicowa miała bowiem zastąpić „bezimiennych matematyków". Ich polska nazwa to „obliczeniowiec", a angielska – „computer" (z łacińskiego computo, computare – obliczać). Maszyna różnicowa była więc komputerem w czasach, gdy słowo to miało zupełnie inne znaczenie niż dzisiaj.

Współcześnie słowo „komputer" oznacza maszynę liczącą, którą można programować, czyli zapisywać w jej pamięci listę instrukcji do wykonania. Powstanie pierwszych komputerów było związa-

eprasa.pl 33efe048ab

Komputer IBM z 1964 r.

FOT. WIKIPEDIA

ne z odczytywaniem niemieckich szyfrów i z tego powodu ściśle tajne przez wiele lat. Prace takie prowadzili w latach 30. XX w. także polscy kryptolodzy, tworząc urządzenie zwane „bombą". Na większą skalę kontynuowali je Brytyjczycy: Alan Turing, który nadzorował te prace pod względem naukowym, uchodzi za pioniera informatyki.

Maszyny kryptograficzne były jednak wysoce wyspecjalizowane, a komputery powinny być uniwersalne.

Tranzystory

Pierwszą taką maszyną był amerykański ENIAC. Jego nazwa jest skrótem – Electronic Numerical Integrator And Computer – i oznacza Elektroniczny, Numeryczny Integrator i Obliczeniowiec. Siła armii i marynarki amerykańskiej opierała się na artylerii, a do precyzyjnego strzelania potrzebne były tabele balistyczne, wymagające tysięcy godzin kalkulacji czynionych przez setki obliczeniowców (kobiety były uznawane za dokładniejsze i wyżej cenione od mężczyzn). ENIAC miał przyspieszyć prace – uruchomiono go 10 grudnia 1945 r. Wkrótce znaleziono dla niego kolejne zastosowania: pomagał m.in. w projektowaniu bomby wodorowej, prognozował pogodę czy wykonywał obliczenia astronomiczne. ENIAC nie był już urządzeniem mechanicznym, przekładnie zastąpiły lampy elektronowe.

Działanie komputerów na najniższym poziomie polega na dodawaniu do siebie dwóch liczb. Można to realizować za pomocą przekładni przenoszących ruch tylko w jednym kierunku (zliczane są wtedy impulsy mechaniczne) albo lamp przepuszczających elektrony tylko w jedną stronę (zliczane są wtedy impulsy elektryczne). Lampy elektronowe były skomplikowane, drogie i ciężkie. Dużo mniejsze były tranzystory.

W 1874 r. niemiecki naukowiec Karl Ferdinand Braun zauważył, że pewne kryształy przewodzą prąd tylko w jednym kierunku. Dwadzieścia lat później, w 1894 r., indyjski wynalazca Jagadish Chandra Bose zastosował metal o takiej charakterystyce – german – w radiostacji, nad którą pracował. Połączył go z drutem z cienkiego złota i otrzymał diodę o dwóch elektrodach.

W tym czasie zaczęto eksperymentować z tranzystorami, czyli z podobnymi do diody półprzewodnikami, mającymi jednak trzy elektrody. W ten sposób można było bardzo łatwo wzmocnić sygnał elektryczny. Jednym „bokiem" trójkąta płynie prąd – na przykład sygnał radiowy. Jako że jest to półprzewodnik, płynie tylko w jedną stronę. Żeby wzmocnić ten sygnał, z trzeciej strony również otwieramy przepływ prądu, tym razem silniejszego i mocniejszego, ale również płynącego w jedną stronę. Urządzenie takie mogło zastąpić lampy elektronowe.

Pierwszy tranzystor został zbudowany w 1947 r. w amerykańskim laboratorium Bella, a do 1951 r. opracowano już technologię produkcji. Pozwoliło to rozpocząć masową produkcję tanich i lekkich radioodbiorników, telewizorów, komputerów. Stopniowo tranzystory miniaturyzowano i scalano w pojedyncze układy – układy scalone.

ENIAC był olbrzymią maszyną: składał się z ponad 40 metalowych szaf, w których mieściło się 18,8 tys. lamp elektronowych, i ważył blisko 30 ton. Chłodzenie zapewniały wentylatory napędzane dwoma silnikami samochodowymi. Jego następcy wcale nie byli mniejsi: nawet po zastosowaniu tranzystorów i układów scalonych komputery zajmowały pomieszczenia wielkości sali gimnastycznej. Tak musiało być, skoro w połowie lat 60. XX w. 256 kB pamięci wymagało ponad 1,2 tys. układów scalonych.

Komputery naprawdę osobiste

W 1965 r. pojawił się komputer IBM 360, który na wiele lat stał się standardową maszyną, na której pracowali informatycy. Jego najlepsze wersje miały 6144 kB pamięci – 6 MB, a więc trzeba by tysiąca IBM 360, aby dorównać nowoczesnemu smartfonowi. Epatowanie liczbami pokazującymi, jak niską moc obliczeniową miały w przeszłości maszyny liczące, jest interesujące i na pewno stanie się podstawą nowej nauki – archeologii komputerowej – ale nie ma większej wartości poznawczej. Wystarczy wiedzieć, że dawne komputery były gorsze od komputerów współczesnych.

Na przełomie lat 70. i 80. XX w. podzespoły stały się na tyle tanie, a części na tyle niewielkie, że komputerów można było używać w domu. Korzystanie z nich było jednak dość skomplikowane, przede wszystkim z powodu trudności komunikowania się człowieka z maszyną: komputer nie rozumiał, co człowiek do niego „mówi", jeśli nie posługiwano się specjalnym „językiem". Dopiero zastosowanie interfejsów graficznych ułatwiło komunikację i sprawiło, że komputery stały się użyteczne nie tylko dla „nerdów", lecz także dla zwykłych ludzi. Interfejs graficzny to – jak sama nazwa wskazuje – narysowane na ekranie monitora elementy znajdujące się pomiędzy twarzą człowieka i „twarzą" komputera.

Dzisiaj komputery są wszechobecne, łatwiej byłoby wymienić, gdzie nie są stosowane, a nie to, gdzie się ich używa. Ich wpływ na nasze życie jest oczywisty. Są też nieoczywiste aspekty komputeryzacji. Do drugiej połowy XX w. – do czasów upowszechnienia się obliczeń komputerowych – przedmioty, pojazdy, budynki były projektowane z dużym zapasem bezpieczeństwa. Inaczej się nie dało: metody obliczeniowe były bardzo zawodne. Dopiero zastosowanie komputerów pozwoliło na projekty doskonale wyważone: o wystarczającej wytrzymałości i jak najmniejszej masie.

To właśnie dlatego amerykański bombowiec – zaprojektowany bez udziału komputerów – będzie w służbie dłużej niż jego następcy, zaprojektowani komputerowo. To właśnie dlatego przedmioty naszych rodziców są bardziej solidne od przedmiotów używanych przez ich dzieci. To właśnie dlatego może się wydawać, że współcześni producenci dbają o to, żeby ich wyroby psuły się tuż po upłynięciu terminu gwarancji. A oni po prostu korzystają z nowoczesnych metod obliczeniowych...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 33efe048ab

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

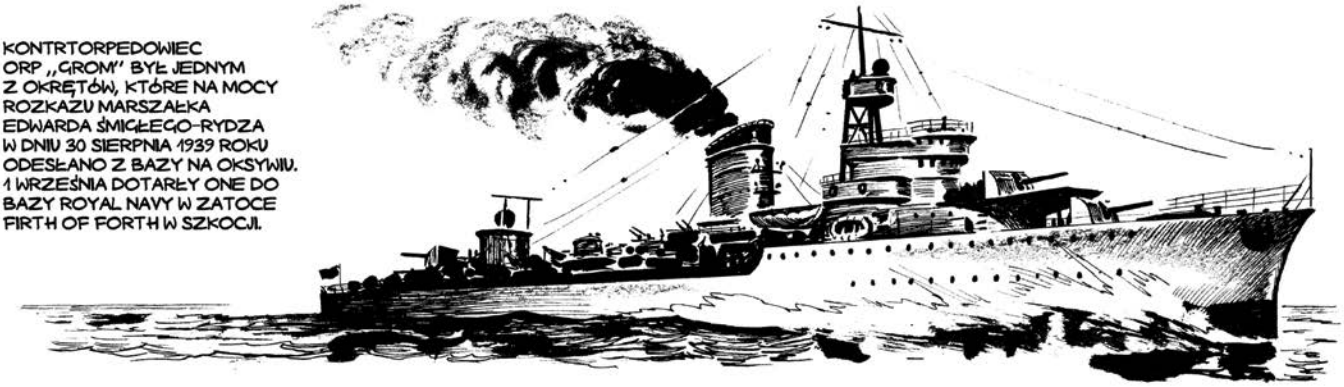

KONTRTORPEDOWIEC ORP „GROM" BYŁ JEDNYM Z OKRĘTÓW, KTÓRE NA MOCY ROZKAZU MARSZAŁKA EDWARDA ŚMIGŁEGO-RYDZA W DNIU 30 SIERPNIA 1939 ROKU ODESŁANO Z BAZY NA OKSYWIU. 1 WRZEŚNIA DOTARŁY ONE DO BAZY ROYAL NAVY W ZATOCE FIRTH OF FORTH W SZKOCJI.

STAMTĄD W KWIETNIU 1940 ROKU „BŁYSKAWICA", „BURZA" I „GROM" WRAZ Z WIELOMA INNYMI JEDNOSTKAMI ZOSTAŁY WYSŁANE W KIERUNKU WYBRZEŻA NORWEGII. BYŁA TO BRYTYJSKA REAKCJA NA PRZEPROWADZONY PRZEZ NIEMCÓW DESANT I ZAJĘCIE NAJWAŻNIEJSZYCH NORWESKICH MIAST.

ZADANIEM POLSKICH JEDNOSTEK BYŁO ZWALCZANIE NIEMIECKICH STANOWISK ARTYLERII I MOŻDZIERZY, A TAKŻE OSTRZAŁ LINII KOLEJOWEJ, KTÓRĄ BYŁO DOSTARCZANE ZAOPATRZENIE.

RANKIEM 4 MAJA 1940 ROKU.

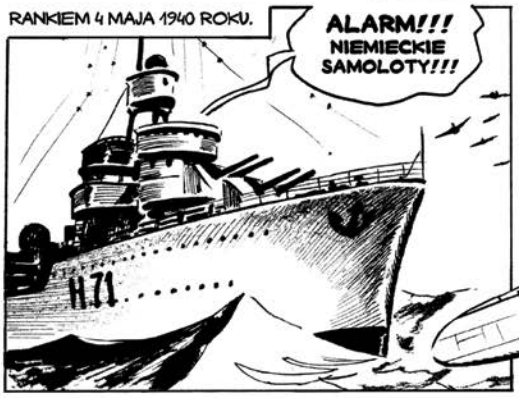

SAMOLOT HEINKEL HE 111 ZRZUCIŁ 6 BOMB Z WYSOKOŚCI 5 TYSIĘCY METRÓW.

DWIE BOMBY TRAFIŁY W POKŁAD ORP „GROM" WYRYWAJĄC DWUDZIESTOMETROWY KAWAŁ POSZYCIA PRAWEJ BURTY. Z ROZKAZU KOMANDORA ALEKSANDRA HULEWICZA ROZPOCZĘTO NATYCHMIASTOWĄ EWAKUACJĘ. ZDOŁANO SPUŚCIĆ TRZY SZALUPY. CZĘŚĆ ZAŁOGI POZOSTAŁA UWIĘZIONA POD POKŁADEM, CZĘŚĆ RATOWAŁA SIĘ, SKACZĄC DO LODOWATEJ WODY.

ABY UCHRONIĆ KOLEGÓW PRZED SKUTKAMI EKSPLOZJI KOTŁÓW, OFICER-MECHANIK POR. ALEKSY KRĄKOWSKI ZBIEGŁ DO KOTŁOWNI. W TYM CZASIE JEDEN Z MARYNARZY ZAJMOWAŁ SIĘ ZABEZPIECZANIEM BOMB GŁĘBINOWYCH. OBAJ ZGINĘLI.

PO TRZECH MINUTACH ORP „GROM" ZATONĄŁ. ŁĄCZNIE ZGINĘŁO 59 CZŁONKÓW ZAŁOGI, URATOWANO ZAŚ 154. OCALAŁYMI Z ORP „GROM" OBSADZONO PRZEKAZANY PRZEZ ANGLIKÓW NISZCZYCIEL ORP „PIORUN". W MAJU 1941 ROKU JEDNOSTKA TA BRAŁA UDZIAŁ W OPERACJI PRZECIWKO NIEMIECKIEMU PANCERNIKOWI BISMARCK.

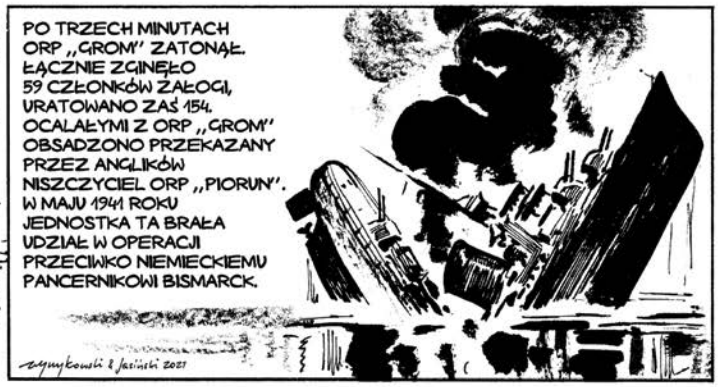

eprasa.pl 33efe048ab

/ Felieton

Sławomir Cenckiewicz

Powrót Komorowskiego

Od kilkunastu dni słyszymy o wielkim powrocie Bronisława Komorowskiego do polityki. Miałby zostać patronem politycznego „centrum", które pragnie budować wspólnie z PSL, by skutecznie walczyć z konserwatywnym PiS. Pomijając tu realność projektu (a raczej jego nierealność) i kompletną nieumiejętność komunikacyjną Komorowskiego, co całemu przedsięwzięciu nie wróży niczego dobrego, warto przypomnieć, że były prezydent RP uosabia cały patologiczny system III RP, w którym poza transformującym się w nieskończoność postkomunizmem nie ma wyraźnych celów naprawy i modernizacji państwa.

Jest natomiast pokusa korzystania z usług tajnych służb do poskromienia wewnętrznego przeciwnika, którym nie jest wcale działalność w Polsce takich czy innych obcych służb, ale opozycja. W tym kontekście warto raz jeszcze przepracować najważniejszy z tekstów niedocenionego szerzej wydania „Wprost" (18–24 sierpnia 2014 r.) na temat rzekomego aneksu z weryfikacji WSI. W artykule „Komorowski i nagroda od WSI" Michał Majewski opisał głębokie związki i interesy z WSI oraz skandaliczne praktyki, do których uciekał się Komorowski, będąc w 2000 r. szefem MON. Wyposażony w wiedzę operacyjną (haki i komunikaty z podsłuchów) na temat przeciwników i konkurentów polityczno-biznesowych Komorowski miał dążyć do ich eliminacji z życia publicznego (rzecz dotyczyła Stanisława Głowackiego – szefa sejmowej Komisji Obrony Narodowej), jeśli zagrażali wpływowym grupom interesu.

„Wykorzystując posiadaną pozycję, [Komorowski] próbował wdrożyć rozwiązania korzystne tylko dla określonej grupy interesów" (chodziło o Fundację Pro Civili, która „wyłudziła" z Wojskowej Akademii Technicznej kwotę blisko 400 mln zł) – czytamy we „Wprost". Innymi słowy, wkraczający do gry, były prezydent, który nieprzypadkowo przytulił w swojej kancelarii całą plejadę nieudaczników i sierot po nieboszczce Unii Demokratycznej/Unii Wolności budującej nową Polskę na umowie światłych lewicowców z Solidarności z reformatorami z PZPR, SB i WSW, pozostaje symbolem rekonstrukcji systemu III RP w najgorszej z możliwych wersji z lat 90., przeciwko której protestowali przecież nawet „trzej tenorzy" zakładający w 2001 r. Platformę Obywatelską.

Niemal bez końca można by opisywać związki Komorowskiego z ludźmi dawnego reżimu w ostatnim ćwierćwieczu, zadzierzgnięte z chwilą wejścia do MON w połowie 1990 r. Dla funkcjonującej w przeszłości na zapleczu jego prezydenckiej kancelarii nieformalnej grupy interesów wywodzącej się z Ludowego Wojska Polskiego oraz wojskowych i cywilnych tajnych służb PRL, obciążonej w dodatku dawnymi związkami z Moskwą, Komorowski jest swego rodzaju gwarancją bezpieczeństwa. Zresztą – już będąc prezydentem – Komorowski niejednokrotnie wysyłał temu środowisku sygnały świadczące o tym, że taka rola mu w pełni odpowiada.

> / Były prezydent pozostaje symbolem rekonstrukcji systemu III RP w **najgorszej z możliwych wersji lat 90.**

Swoje prezydenckie urzędowanie (jeszcze jako pełniący obowiązki głowy państwa) rozpoczął od wspólnej podróży z Jaruzelskim do Moskwy, Katynia i Smoleńska, a już po wyborach 2010 r. od konsultacji z nim w sprawie relacji polsko-rosyjskich. W międzyczasie zaczął otaczać się ludźmi powiązanymi w różny sposób z komunistyczną bezpieką, żeby odwołać się jedynie do przykładów desygnowanego na stanowisko szefa Narodowego Banku Polskiego Marka Belki (rejestrowanego w przeszłości przez rezydenturę wywiadu PRL w Nowym Jorku jako źródło osobowe o kryptonimie Bełch) czy mianowanie doradcą znanego antyamerykanisty Romana Kuźniara, rejestrowanego z kolei przez bezpiekę jako kontakt operacyjny o pseudonimie Univ.

Jednak w zaciszu pałacowych sal Komorowski był jeszcze odważniejszy. Co ciekawe, jako zwierzchnik sił zbrojnych poczuwał się do opieki nad Klubem Generałów WP, który w swoich szeregach skupia najwyższych rangą weteranów LWP. Podczas oficjalnie odnotowanego spotkania 19 września 2013 r. prezydent gościł u siebie delegację 55 generałów, wśród których znaleźli się najgorszego autoramentu bolszewicy, m.in.: gen. Józef Szewczyk, który – będąc Naczelnym Prokuratorem Wojskowym PRL – nadzorował śledztwo w sprawie płk. Ryszarda Kuklińskiego i odpowiadał za system represji w okresie stanu wojennego; gen. Zygmunt Zieliński – kierujący gabinetem marszałka Mariana Spychalskiego, szef Departamentu Kadr MON, który pozbawił Kuklińskiego stopnia oficerskiego w 1983 r., i sekretarz WRON; gen. Roman Misztal – szef Zarządu II (wywiadu wojskowego PRL) oraz gen. Franciszek Puchała – współtwórca planów operacyjnych stanu wojennego.

„Centrum" Komorowskiego to samo centrum postkomunizmu. ©℗

eprasa.pl 33efe048ab

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA • **KRAKÓW** DIETLA 51 • **ŁODŹ** MANUFAKTURA • **POZNAŃ** POSNANIA • **SZCZECIN** AL. PIASTÓW 53
WROCŁAW OŁAWSKA 16 • **WROCŁAW** ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49 • **WARSZAWA** WOLA PARK